

STAROSTA WARSZAWSKI.



STAROSTA WARSZAWSKI.

OBRAZY HISTORYCZNE Z XVIII WIEKU

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

Tom II.

WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

—
1877.



Дозволено Цензурою.
Варшава 22 Сентября (4. Октября) 1876 г.

Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

I.

Wiosna 1760 r. dosyć była wczesna... gdyż już w końcu marca drzewa się rozwijać zaczynały — a choć nocami trafiały się przymrozki, dni były słoneczne i ciepłe...

Pani starościna warszawska od wesela swojego zamieszkiwała w pięknym pałacyku w Młocinach, wśród ciszy i lasów, używając daleko większej swobody, niż w rodzicielskim domu. Brühl był wprawdzie najchłodniejszym z mężów, lecz pełnym uszanowania, grzeczności i usiłującym tęskne żonie uprzyjemnić życie. Nie mogła go kochać, ale się nań skarżyć nie miała powodu... Pożycie obojga było tajemnicą dla tych co na nie patrzali, mogli jednak widzieć, iż starosta najtroskliwiej starał się uprzedzać wszystkie życzenia żony, a publicznie obok

niej występując, okazywał jój największe uszanowanie. Mówiono po cichu tylko, że to było małżeństwo polityczne, że tam miłości podobno nie trzeba szukać było, ale oddawano sprawiedliwość obojgu, że ciężkie jarzmo włożone im na szyje, nosili nie dając poznać ludziom jego brzemienia, Smutek na twarzy starościny spokojny był i prawie pogodny... Miała swobodę wszelką... mogła się zabawiać i zajmować jak chciała — cóż, gdy jój nic nie bawiło. W towarzystwie była milcząca, chętnie usuwała się do swych pokojów i mechaniczną jakąś robotą zajęta, z głową spuszczoną spędzała godziny długie niekiedy tylko stając, gdy ją suchy kaszel, który się coraz powiększał, zmusił porzucić krosienka.

Ulubioném jój czytaniem było Naśladowanie i Św. Franciszek Salezy, książka jój panińska do nabożeństwa, a czasem jedna z tych nowości francuzkich, do których ciągnęła ciekawość, a dziwna ich lekkość i śmiałość odstręczała. W tém życiu znośném, jedyném utrapieniem dla lubiącej spokój i ciszę były konieczności jój położenia i stosunków z dworem... Młody Brühl musiał wozić żonę do Warszawy, przedstawiać ją królowi, który się o jój bytność na operze i uroczystościach upominał; musiał przyjmować i oddawać odwiedziny liczne. Ona poddawała się temu losowi bez oporu, lecz nie nabierając do rozrywek smaku nie szukając znajomości, zawsze łagodna, cicha ale nieśmiała i milcząca. Charakter ten przypisywano znanemu wychowaniu na

krystynopolskim dworze, gdzie wszystko żelaznej woli państwa województwa ulegać musiało...

Mąż nie zdawał się nawet próbować wpłynąć na usposobienie żony, szanował jej upodobania i wcale się im nie sprzeciwiał. Sam on zmuszony był życie prowadzić wcale inne, a nikt nad niego czynniejszym nie był. Od młodu zaprawiony do pracy, umysłu żywego i niespokojnego prawie, niezmordowanym był w spełnianiu obowiązków, w szukaniu rozrywek... Jako syn ministra i jego narzędzie, nieustannie prawie był w poselstwach, intrygach, na posyłkach jego u dworu lub w powozio i podróży. Wyjeżdżając przychodził po rozkazy żony która mu nigdy nic nie rozkazywała i o nic go nie prosiła, powróciwszy stawiał się spytać o jej zdrowie, na co mu rumieniec i kaszel odpowiadał. Jeśli miał parę dni wolnych, zamykał się w bibliotece, malował, grał, pisał i nie spróżnował chwili. Ale najczęściej godzin do tych rozrywek, które mu najmielsze były szukać musiał przede dniem, dopóki Młocin zwykły najazd nie zagarnął. Nie było bowiem dnia swobodnego od gości, nie było obiadu bez obcych... klientów, przyjaciół, posłańców...

Starościna wychodziła kiedy chciała do salonu, bardzo często wymawiała się niezdrowiem... Brühl chyba w ostatniej konieczności ośmielił się zapukać do jej drzwi, i prosić jej aby się ukazała przybyłym... Naówczas pani ubierała się posłuszna jak jej kazano, wychodziła krokiem mierzonym,

witała chłodnym uśmiechem, odpowiadała krótko i grzecznie, i dopełniwszy obowiązków gospodyni, pospiesznie wracała do gabinetu niebieskim wybitego atłasem, gdzie na nią czekały krosienka panieńskie, jój pare książek i samotność, z którą jój było najlepiej.

Młode panie warszawskie, rade zajrzeć do Młocin i być wtajemniczone w życie nowego małżeństwa, wpraszały się w przyjaźń i poufałość starościny, przyjmowała je z grzecznością, której nabrała od męża, lecz usta jój i piersi stały zamknięte... Każdy czuł patrząc na nią, że w sercu pogrzebała tajemnicę... Napróżno silono się ją odgadnąć...

Starosta, który żonę zrozumiał od pierwszych dni i zrezygnowany był na chłód i bierne posłuszeństwo, jakie mu okazywała, nie starał się o nic więcej nad to, aby się z jego winy nie mogła nazwać nieszczeliwą. Usiłował zgadnąć jój upodobania, obudzić zajęcie czémś, smak do czegoś, wszystko to było próżne. Starościna tak samo patrzyła na piękne obrazy, jak słuchała muzyki... nie dając znaku rozbudzenia i życia... Brühl po cichu zwał ją chodzącym posągiem, i szczerze litował się nad nią. On także to złamane życie, to wystygnięcie zawczesne przypisywał despotyzmowi rodzicielskiemu, który sercu nigdy się nie dał otworzyć... Starościna zdawała się nie mieć i nie chcieć mieć woli własnej... pytała o nią męża, a zostawiona sama sobie, widocznie pomieszana nie wiedziała co począć...

Była to przy wszystkich szczęścia warunkach, najnieszczęśliwsza w świecie istota...

Nadchodząca wiosna, poddała myśl staroście, że możeby żona jego polubiła ogród i kwiaty... Przed pałacikiem założony w ówczesnym stylu śliczny ogród, podzielony na kwatery, starannie bardzo utrzymywany, przyozdobiony fontanną i kilku rzeźbami przywiezionymi z Saksonii, schodził aż ku Wiśle, która właśnie szeroko rozlana, przedstawiała majestatyczny obraz... ciemnymi liniami borów zamknięty w mglistej dali. Obszerne szklarnie z których jeszcze drzewa wynosić było zawczasie, przytykały do pałacu... Ogrodnicy już się oczyszczaniem po zimie ścieżek i kwater zajmowali, gdy jednego ranka, starosta z myślą wyrwania żony z téj tęsknej samotności w której się zamykała, zapukał do drzwi jéj gabinetu...

Gdy wszedł uchylając drzwi powoli, zastał ją na kanapce z listem w ręku, zarumienioną mocno... Spostrzegłszy go, szybko schowała pismo, które czytała, i widocznie pomieszana... zerwała się z siedzenia. Baczny postrzegacz charakterów Brühl domyślił się łatwo, iż przyszedł nie w porę... list zaciekał go trochę, ale grzecznym był i miłosiernym, nie dał więc poznać po sobie, że spostrzegł cokolwiek... i z wesołą twarzą odezwał się, że dzień jest nadspodziewanie ciepły i piękny, że możeby starościna chciała go użyć wydając roz-

kazy w ogrodzie, który może urządzić wedle swego smaku...

Brühlowa nie zdawała się nawet rozumieć o co chodziło, pomieszanie jój zwiększało się...

— Ja, ja zupełnie się nie znam na ogrodzie — odezwała się zakłopotana — niech pan starosta rozporządzi jak zechce... jestem pewna, że to będzie najlepiej. Ja nie mam gustu — dodała skromnie.

— A to prawdziwe nieszczęście — odezwał się uśmiechając się Brühl — iż pani nie chcesz mieć w niczém upodobania. Radbym z duszy pobyt w Młocinach uczynić jój jak najprzyjemniejszym, a rozpaczam, żeby mi się to udało...

— Ale ja ręczę panu — śpiesznie odpowiedziała Marya — że tu nie mogłoby mi być lepiej.

— Tak, tu, ale gdzieindziej? — podchwycił Brühl cicho, patrząc jój w oczy...

Staroście nie łyzy się zakręciły pod powiekami, które szybko otarła...

— A! w Krystynopolu! — zawołała — ale ja całe tam spędziłam życie... niech się pan nie dziwi, potrzeba czasu, aby zapomnieć, przywyknąć. Oto właśnie — dodała jakby na swe usprawiedliwienie, dotykając drżącą ręką listu, który miała na piersiach, odebrałam list z tamtąd...

— Od wojewodziny? przez kogo? — zapytał starosta — ja nie miałem żadnego.

— Od mojej nauczycielki Dumont — rumieniąc się wytlómaczyła starościna z widoczném pomieszaniem.

Brühl nie badał już więcej, nadto był dyskretnym, aby się chciał domagać wiadomości, których mu dobrowolnie nie udzielano...

Ruszył się zaraz, aby usunąć... ale żegnając w progu, dodał jeszcze:

— Ogród jest i może być ładny... mógłby niejedną uprzyjemnić chwilę... Wszyscy są na jój rozkazy... a ja proszę... aby się pani nim zajęła.

— Jeśli pan starosta każe...

— Ja nigdy nie rozkazuję! — rozśmiał się Brühl, a proszę tylko dla tego, iż sądzę, że toby mogło uczynić jój przyjemność, gdy w ogóle tak ich mało pani używa...

— Ja lubię samotność — cicho odezwała się starościna — proszę mi darować. Sama czuję, że nie umiem być taką gospodynią, jakiej Młocinom potrzeba...

— Lepszój i milszój mieć nie mogły — odezwał się Brühl z dworską galanterią się kłaniając.

Nic nie odpowiedziała starościna, a Brühl powtórzywszy ukłon, z westchnieniem wysunął się za drzwi. Zaledwie znikł z jój oczu, pani Brühlowa żywo dobyła listu i pobiegła, zdając się zapominać o wszystkiém, czytać go do okna.

Łzy kręciły się jój w oczach... Pismo madamy Dumont oznajmowało jój o cudowném uwolnieniu Godziemby. Francuzka jednak, zawsze ostrożna, nie wymieniła w niém nazwiska, i wypadek osnuła jakąś tajemnicą, łatwą do odgadnięcia dla Maryi...

Gdy Brühl zamyślony wracał do biblioteki, z której był wyszedł porzuciwszy w niej tom otwarty ulubionego Molièra, w progu jój zastąpił mu marszałek jego dworu, pan Latour, oznajmując, że dawny dworzanin (skaleczył jego nazwisko), prosi o posłuchanie.

Zdziwiony trochę starosta wnet wpuścić go kazał... Prawie w tymże momencie, opierając się na lasce, schorzały i blady, wsunął się do niepoznania zmieniony Godziemba.

Spojrzawszy nań starosta pośpieszył kilka kroków i ze współczuciem go zapytał:

— Widzę, żeś waćpan był chory?

Latour stał z tyłu. Godziemba dał poznać, iż chciałby mówić na osobności, i Brühl wprowadził go z sobą do biblioteki, a widząc osłabionym, najprzód podał mu krzesło...

— Co się z waćpanem stało? nie mogliśmy sobie jego zniknięcia wytłumaczyć?

— Mam być otwartym? zapytał Godziemba — nie weźmiesz mi pan tego za złe? Dla oczyszczenia się z podejrzenia o płochość, muszę się wytłumaczyć obszerniej.

— Mów pan, proszę — rzekł Brühl siadając — słucham go, dopóki nam kto nie przerwie...

— Nie wspominałem panu staroście o przeszłości mojej, począł Godziemba. Ojciec mój w sprawie pana wojewody zarąbany był na śmierć przez jego nieprzyjaciół... mnie przez litość wzięto do Krysty-

nopola na wychowanie. Skończywszy szkoły, musiałem się wysługiwać dworsko... Sprzykrzyła mi się służba — podziękowałem za nią i poszedłem w świat. Jestem szlachcic — byłem wolny. Wojewoda tego zrozumieć nie chciał, widział we mnie niewolnika... Gdym wyjechał, rozesłano za mną gońców jak za zbiegłym poddanym... Pan hrabia wiesz, jakem u niego przyjął służbę. Miałem odwagę z nim ukazać się w Krystynopolu... spotkałem się tu z wojewodą. Przestrzegano mnie, abym gniewu jego unikając uciekał. Nie sądziłem, aby mnie śmiano dotknąć...

Brühl spojrzał zdziwiony.

— Jakto? cóż się stało?

— Trzeciego dnia z rozkazu wojewody, pochwycono mnie... Bronilem się do ostatka; związanego wrzucono mnie do ciemnicy... byłbym w niej zgniół — to było przeznaczenie moje...

— Ale, to nie może być!

— Niestety, tak było! odparł Godziemba — widzisz pan na mnie ślady przebytej niewoli... Wi-nieniem cudowi, poświęceniu stariej kobiety, mamki mojej... która niemal rękami ścianę więzienia rozbiła, że oto tu przed nim stoję...

Brühl zamyślił się głęboko, widać było, że nie rad był więcej powiedzieć, niż mu pozwalało położenie. Kilka razy spojrzał na biednego Godziembę, jakby nie wiedział co sobie z nim poradzić.

— Mów pan szczerze, odezwał się wreszcie, musiałeś coś więcej przewinić przeciw panu wojewodzie? obrazić go?

— Niczem więcej nad to, żem mu za służbę podziękował... Wychował mnie, alem mu odslugiwał za to, i winien był mojemu ojcu, który zginął za niego, opiekę nad sierotą.

Starosta stał zakłopotany, nie chciał widocznie otwarcie nic przeciw ojcu żony powiedzieć.

— Cóż waćpan myślisz? zapytał: poszukiwać swój krzywdy?

— Ja? odparł uśmiechając się Godziemba — a z czemże i jakbym to mógł uczynić? Myśl podobna nie powstała we mnie... Przyszedłem się wytłumaczyć panu starości i spytać go: czy mimo żem tak nieszczęśliwie naraził się panu wojewodzie, zechce mnie utrzymać na swym dworze?

— Zdaje mi się że nie jestem wcale obowiązany poślubić ani zemsty, ani urazy mojego teścia, zawołał Brühl, a czuję się raczej w obowiązku krzywdę przez niego wyrządzoną, jeżeli można, naprawić... Przez krótki czas pobytu jego u mnie, byłem z niego zadowolony. Ale prawdę rzekłszy, dodał Brühl spoglądając na przybyłego: waćpanu najprzód leczyć się i sił nabrać potrzeba. Proszę powiedzieć panu Latour'owi, aby miał o nim staranie...

To mówiąc westchnął Brühl, a widząc, że Godziemba z krzesła się podnosi, zbliżył się do niego.

— O jednobym waćpana prosił, rzekł cicho: przez wzgląd na żonę moją i na mnie, nie życzyłbym sobie abyś rozgłaszał swe przygody. Surowość pana wojewody dosyć jest znana, sam wiesz, że szukać zadosyćuczynienia byłoby nadaremnie, zatem czy nie najrozumniej jest milczeć?

— Tak — i najbezpieczniej, dodał smutnie Godziemba.

— Dla tego, dopóki nie przyjdiesz do zdrowia, najlepiejby się nie pokazywać, aby nie wywoływać pytań i domysłów... Naostatek gdy z Krystynopola kto przyjedzie, lub mnie tam być wypadnie, nie masz pan potrzeby nastroczać się panu wojewodzie...

Rad tych wysłuchał Godziemba z pokorą, westchnął i nie już nie mając do dodania, z wolna zabrał się do wyścia...

Los chciał, ażeby gdy się przesuwał korytarzem, pani starościna wyszła, posłuszna woli męża do ogrodu. Droga ją wiodła właśnie tém samém przejściem... Godziemba odkrył głowę i stanął przy ścianie... Na widok jego, starościna pobladła... w istocie litość obudzała twarzą wychudzoną i cerą wyżółkłą, mimowolnie zatrzymała się, stanęła... łyzy się jéj w oczach zakreśliły. Zdawała się chceć coś powiedzieć, wargi poruszyły się, pół uśmiech jakiś przebiegł po nich ukrywając pomieszanie i szybko poszła ku ogrodowi.

Już we drzwiach będąc i jakby ośmielona odaleniem, spojrzała znowu na stojącego jeszcze Godziembę.

— Pan jesteś chory? — wyjąknęła z trudnością... poszłę panu doktora... wszak... należysz do naszego dworu?

— Tak jest... pani! skłonił się Godziemba.

— Nie potrzebujesz pan czego?

Dworzanin się skłonił raz jeszcze... i milczeniem podziękował.

Starościna zeszła do ogrodu...

Brühl po wyjściu Godziemby, nie rychło do Molièra powrócił, być może, iż zapomniawszy, że jest synem ministra, z którego rozkazu tylu biednych ludzi, niewinniejszych od Godziemby, gniło po więzieniach saskich, zastanowił się nad dziwnemi losami, które jednych czyniły tak nieograniczenie wszechwładnymi, drugich tak bezbronnymi... być może, iż mu się w świetle tego wypadku komedia życia wydała tragiczną... zadumał się długo... a gdy siadł do czytania, nie tknął już komika, ale wyszukał Montaigne'a, otworzył go na los szczęścia i zanurzył się w tych odmętach zwątpienia...

Długi czas nie podnosił oczu, gdy podniesionym głosem ktoś począł domagać się, aby go wpuszczono... Słysząc było jak się z nim służący drożył, jak przybyły nalegał, i gniewał się, śmiał — a chciał przemódz posłusznego lokaja, postawionego na straży,

który dowodził, że gdy hrabia jest w bibliotece, naówczas mu przerywać nie wolno.

Brühl chociaż głosu poznać nie mógł, czuł w nim kogoś znajomego, rzucił książkę i sam drzwi otworzył. Stał przed niemi zrozpaczony, ale śmiejący się jednak generałowicz Sołłohub, strojny nadzwyczaj elegancko, rozpromieniony, wesoły i zdający się bawić walką, którą prowadził z kamerlo-kajem. Zabaczywszy Brühla, krzyknął, ręce rozpostarł i rzucił się ku niemu śpiewając...

Cóż ci jest? spytał Brühl — jesteś w jakimś usposobieniu szczęśliwém, w jakim cię od wieków nie widziałem?

— Bom najszczęśliwszy z ludzi! odezwał się Sołłohub wchodząc i kapelusz rzucając o ziemię a sam padając w objęcia przyjaciela — winszuj mi, zazdrość, ciesz się...

— Co ci jest?

— Widzisz! szaleję!

— Ale od czego? od czego?

— Opiekunowie cześnikówny, złamani nareszcie instancyami moich wujów Radziwiłłów... zgodzili się na to... abym pannę Maryę poślubił...

— A ona?

— Ona — musi się na to zgodzić!

— I ty weźmiesz ją zmuszoną?

— Wezmę taką jaka jest... i będę u nóg jój leżał, dopóki mi nie przebaczy i nie pokocha...

Starosta blady, ostygły, ręce włożywszy w kieszenie, patrzył na przyjaciela.

— Miłość, jak wiemy, rzekł z cicha, dziwactwa wyprawia; ale tak szalonej jak twoja trudno spotkać... i tak dziwnie pewnej siebie...

— Mów, sądz jak chcesz, potępiaj mnie, ja jedno wiem, z zapalem dodał Sołłohub, że ją mieć muszę...

— Starajże się o serce...

— Będę je miał... ale najprzód chcę być pewnym ręki...

— Droga, którą wybrałeś... niekoniecznie jest logiczna, szydersko rzekł starosta... Otrzymując ję rękę przeciw woli... trudno byś serce pozyskał...

— Jesteś zimny jak kamień... i nigdy mnie nie zrozumiesz... począł niecierpliwić się Sołłohub... Coby mi pomogło mieć serce, gdyby mi opiekunowie ręki odmówili? — teraz gdy ich słowo mam... serce! muszę pozyskać...

— Przyznajesz więc, że nie jesteś go pewien...? mruknął Brühl.

— Cześnikówna jest mi przyjaźna, dobra jest jak anioł... zrozumie przecież, iż z nikim nie potrafi być szczęśliwą, tylko z tym co ją ubóztwia.

— A ty sam jeden ją ubóztwiasz? rzucił znowu szydersko Brühl...

— Tak jak ja nie może ję kochać nikt! dwóch takich miłości nie ma na świecie... Aloizy! przyjacielu!

Tu rozpiął frak, rozerwał kamizelkę i czując, że mu słów braknie, pokazał na serce, potem rzucił się osłabły na fotel... podniósł głowę, ręce złożył, oczy w sufit wlepił i począł jak dziecię tupać nogami, rzucać się... swawolić z uszczęśliwienia.

Brühl patrzył nań poważnie...

— Nie daćby ci szklanki zimnej wody? zapytał — istotnie boję się o głowę twoją.

Na nowo Sołłohub ścisnąć się go rzucił, porwał w pół i zmusił okręcić się parę razy po bibliotece jak w tańcu. Miał na prawdę szalonego pozór...

— Bóztwo moje! krzyknął klękając... Maryniu, aniele! stawiać ci będę ołtarze... na kolanach służyć ci... ale kochaj mnie choć odrobinę...

Starosta patrząc śmiał się, lecz śmiech jego był jakiś smutny, dziwny i nie szczery...

— Kochany mój, rzekł po krótkim milczeniu... jeżeli takim jak przedemną będziesz się pokazywał przed cześnikówną, pobudzisz ją rychléj do śmiechu, niż do miłości!

— Słuchajże jak to było, przerwał w tej chwili, już trzpiotowatą myśl zwracając w innym kierunku generałowicz. Całą klikę moją Radziwiłłowską naprowadziłem na opiekunów cześnikówny... wszystkich moich kolligatów... najpryncypalniejszych... Obra-
chowałem się, że są skąpi... użyłem fortelu, nasy-
dłem im coraz innego Radziwiłła z dworem, końmi,
przyjaciołmi... aby prosił i objadał... Jednemu od-
mówili lub zbyli go ani tém ani owém, przybywał

drugi w koni dwadzieścia i tyleż gąg... ledwie ten był za bramą, jechał trzeci ze zwiększonym orszakiem!! Pomiarkowali, że to nie przelewki... musieli mi nareszcie pannę przyrzec, inaczej groziło im to ruiną.

Brühl słuchał z szyderskim wyrazem twarzy.

— A cześnikowa? zapytał — a cześnikówna??

Mów o niej, toć przecie główne...

Solłohub usta skrzywił.

— Cześnikówna, rzekł do Brühla, z samego natręctwa musi być przekonana o sile mojego affektu... Ty mój Brühlu, widzę, przepraszam cię, że to powiem, wzięwszy pono wojewodziankę zahukaną, która, z młodu tak była wychowana, że nigdy nikogo w świecie kochać nie mogła, zbytnio się troszczysz o serce kobiece, które miękkie jest i czi bałwochwalczej w końcu uledez musi...

To mówiąc uściśkał go, jakby za zbyt szczere wyrażenie przepraszal.

— Nie gniewasz się?

— Ja? nic a nic — może nawet masz słusność, żem spragniony przywiązania... a moja dobra, eicha, posłuszna, bierna, milcząca żona dać mi go nie może... Jam trochę poeta, marzyciel trochę, więcej fantazyi i polotu chciałbym widzieć w aniołach... Mój ze spuszczone mi skrzydły, śpiący biedaczek chodzi po ziemi... Lecz ja mój drogi, ja żeniąc się wiedziałem, że zaślubiam interesa mojego ojca; ty żenisz się dla szczęścia i serca — to wcale co innego...

— I muszę być szczęśliwym... zawołał Solłohub...

— A tymczasem myśl też trochę, aby i ją uczynić szczęśliwą, bo w miłości nie ma szczęścia, gdy go nie dzielią dwa serca...

Generałowicz stanął przed zwierciadłem... poprawił peruki, wygiął się, nogą jedną naprzód wysunął.

— Ale proszę cię Brühl, bądź sprawiedliwym — nie znajdujeszże mnie pięknym i mogącym się podobać?

Zwrócił się ku niemu przymilając wesoło.

— Ja — ja cię znajduję nie tylko pięknym, ale w tej chwili szczególnie, nieporównanym, rzekł starosta. Szczęście cię rozpromieniło, aureolę widzę nad twym czołem... Mam ochotę natychmiast sięść twój portret malować i podpisać pod nim: „Oto człowiek szczęśliwy.“ Cóż, mój drogi, szepnął ciszej, całując go — gdy jutro... portret być może anachronizmem lub szyderstwem?

Tak jak ty teraz, można być tylko szczęśliwym w oczekiwaniu, nigdy w posiadaniu szczęścia... i to na przelotną chwilę...

Sołłohub stał zamyślony; gdzieś już pędził w marzeniach do stóp ukochanej, i śnił co jej powie o miłości swój, i co odpowie ona, i jak ręka jej biała spadnie mu do ust... a wargi różowe szepną wtórując oczom: — Kocham ciebie!

Niestety! jak wszystkie sny i marzenia, i to się ziścić nigdy nie miało.

II.

Dwa lata, które upłynęły od r. 1760, zmieniły wielce położenie Brühlów w Rzeczypospolitėj; nie przybywało im przyjaciół, a wrogowie się mnożyli. Narzekania na ministra, którego uważano za główną sprężynę nieładu, zamieszania i intryg kraj rozrywających, odzywały się zewsząd — nie dochodziły tylko króla, pilną strażą otoczonego. Wzdychał on do Drezna, przechodzącego z rąk pruskich do austryackich, z kolei obleganego i niszczonego przez sprzymierzeńców i nieprzyjaciół; pocieszał się polowaniem, marzył o prędkim powrocie do stolicy, i przyjmował za dobre co mu na pociechę przynoszono. Minister, częstokroć żółcią napojony tém, co z Saksonii dochodziło, i co na miejscu znosić musiał, wypogadzał twarz idąc do króla, aby przed

nim ukryć prawdziwy stan nieszczęśliwych dwóch państw, któremi rządził. Wypadki polityczne składały się tak, że trzeba było niemal cynizmu i bezczelności, aby z nich jakąkolwiek lepszej przyszłości wyciągnąć nadzieję...

Z dnia na dzień pogorszało się położenie staro-Brühla, którego żelazny charakter i dziwna rachuba na jakieś niespodziane zmiany, wytrwać tylko zdołały wśród tego chaosu klęsk i narzekań spadających nań dokoła. Z Saksonii donoszono o głodzie i rozpacz, jakie długa, siedmioletnia wywoływała wojna; w Rzeczypospolitej trzeba się było nieładem ratować od upadku. Umysły zdrowsze widziały w nim sprawę ministra, i nienawiść ku niemu rosła z każdą godziną. Najzaślepieńsi jego zwolennicy nie mogli, nie śmieli stanąć w obronie.

Starosta warszawski, teraz już cześnik koronny, po śmierci Teodora Lubomirskiego, związany synowstwem z interesami ojca, narzędziem będąc w jego rękach, posłuszny woli, poddany rozkazom, obracał się wśród nieprzyjaznych sobie ludzi, z tą twarzą spokojną i obojętną, której wyrazu nie zmienić nie mogło... Ze stoicyzmem pokrytym powierzchowną lekkomyślnością, wiódł życie jakie mu zgotowały wypadki, nie skarżąc się, idąc w jarzmie konieczności posłuszny. Mało ludzi tego hartu i siły nad sobą miała epoka ówczesna, a młody cześnik winien był może w części przynajmniej tę moc, jaką posiadał, szerególnemu usposobieniu, które

go obcym niemal czyniło wypadkom, choć go one na pozór najbliżej dotykały.

Aloizy Brühl żył zmuszony w tym świecie intryg i zabiegów o władzę, w istocie był on mu obojętnym i wcale go nie obchodził. Poeta i artysta duszą, czuł się sobą i najszczeńliwszym gdy się mógł zamknąć w bibliotece, malować, słuchać lub wykonywać muzykę, albo rozmawiać z uczonymi i artystami o tém, co dla niego stanowiło cel życia.

Natura wcale go nie stworzyła na syna i spadkobiercę ministra. Stary Brühl zaczynał to widzieć i bolał nad tém, chociaż na syna skarżyć się nie mógł. Na zawołanie ojcowskie jechał na pole walki, na dwory monarchów, posłował, ubiegał się o urzędy, dworował panom, ożenił się dla ojca, rzucał dlań najmilsze zajęcia. Możnaż więcéj było wymagać? Lecz w tém wszystkiém, mimo największej gorliwości ze strony syna, nie czuć było serca, nie widać było namiętności. Stary Brühl nie mógł mu nic zarzucić, a nie był nim zadowolony.

Sam przez się pan cześnik koronny nie czynił nigdy nic... Jak tylko zbywała chwila czasu, usuwał się do Młocin, a gdy w nich przyjmować nie potrzebował tych, których mu ojciec pozyskiwać kazał, otaczał się ludźmi, których stary lubił może, ale ich wcale nie cenił... Wszyscy oni nie żyli duszą w tych sferach wirów i prądów, wśród których minister nałogowo obracał się najswobodniéj, czując się w swoim żywiole...

Pożycie z żoną zawsze było toż samo... pełne uprzejmości, dobroci, ale ani trochę nie czulsze niż było pierwszych dni po weselu. Oboje nawykli nie zawadzać sobie wcale, spotykali się z twarzą pogodną, pytając o zdrowie i rozchodzili się żegnając najceremonialniej do takiego samego jutra. Pani cześnikowa chodziła po ogrodzie, czytała pobożne książki, kaszlała coraz więcej, smutna była zawsze... ale się mieniła szczęśliwą. W istocie w granicach możliwości, mogła się nią nazywać... Spokój i dostatek ją otaczał, nie krępowano jój woli, mogła marzyć... i iść tak pomału ku... jakimś końcowi... mglistemu, ku jakimś lepszym spodziewanym światom...

Z razu dosyć odosobniona i samotna, zyskała teraz kilka poufalszych znajomości. Dumont nie była potrzebna w Krystynopolu, Marya dała jój schronienie u siebie. Sołłohub ożenił się nareszcie ze swém bóstwem, które się czasem pokazywało w Młocinach i serdecznie poprzyjaźniło z kuzynką.

Dwie Marye... obie podobno nie zbyt szczęśliwe, kochały się jak siostry, ale mimo miłości téj nigdy się nie wypowiedały szczerze przed sobą... Domyślały się serc swoich... a zrozumieć ich nie mogły... Sołłohubowa z ubóstwiającym ją mężem obchodziła się dosyć despotycznie, nie kryjąc przed nim, że ją nudzi. Wyższa umysłem i ukształceniem od niego, zносиła dobrego zresztą człowieka jako losu konieczność, ale przywiązać się do niego nie

mogła, był dla niej zbyt dziecinny, zbyt płochym, zbyt nieznaczącym...

Brühl tak samo nigdy nie potrafił małżonce natchnąć swych gustów i przelać myśli... Nie rozumiała Molièra... i szła czytać *Naśladowanie*; przy muzyce myślała... o tém tylko, aby jój swym kaszlem nie przerywać... upodobania męża wydawały się jój płocze... a zarazem charakter jego i żartobliwość raziła ją chłodem, choć ten był tylko powierzchownym. Los za całą pociechę w tém życiu nudném, jednostajném, zimném jak podbiegunowe miesiące mroku bez słońca, dał jój, twarz pocziwego Godziemby, który wyzdrowiawszy został przy dworze pana cześnika, a nawet był jego ulubieńcem...

Dumont zastawszy go tutaj, nadzwyczaj była i zdziwiona i przelękła; zdawało się jój, wedle francuzkich obyczajów, że taki domownik był niebezpiecznym i kompromitującym. Wahała się długo zagadnąć o to swą wychowanicę... Była przekonana że musieli zbliżyć się do siebie, i nappełniało ją to obawą, aby zdradzona tajemnica, pokoju domowego nie zakłóciła. Przekonała się wszakże pobywwszy tu dłużej, iż cześnikowa, która z wielką nieśmiałością czasem się odważyła spojrzeć na Godziembę, nie mówiła do niego prawie nigdy, chyba zmuszona, i że pełen poszanowania dworzanin, choćby się był dał posiekać za swą panią, stał od niej tak daleko, był tak nieśmiałym... jak niegdyś stara Dumont

nie mogła tego pojąć... Jednego razu wreszcie, gdy sam na sam były z sobą, ośmieliła się napomknąć po cichu cześnikowój, iż cieszy się tém mocno, że to dziecinne przywiązanie wygasło...

Marya podniosła ku niej oczy łzawe, i rzuciła się na szyję...

— Moja kochana Dumont, mylisz się — rzekła do ucha się pochylając — ja go kocham tak jak niegdyś, moje uczucie dla niego nie wygasło i nigdy zgasnąć nie może, ale mnie wiąże przysięga... ja nie należę do siebie... On to dobrze rozumie, iż pogardziłabym nim, gdyby się zbliżyć ośmielił...

Wystarczy mi to, że go widzę...

Dumont tym heroizmem i energią młodej pani, okazała się tak zdumiona, że w początku słowa nie umiała powiedzieć. Popatrzała na młodą zrezygnowaną męczennicę, dobrowolną i wielką dla niej litość uczuła...

W owych czasach tak surowe pojęcie obowiązków żony, było zupełnie wyjątkowém, przynajmniej w tych sferach, w których państwo cześnikowstwo się obracali.

— Admiruję — odpowiedziała powoli Francuzka — admiruję cię doprawdy, ale... mam być szczerą?

— A! moja Dumont... ciebie mam jedną — rzekła ręce składając Marya.

— No, to powiem wszystko, nie będę nic w bawelnę obwijać. Twój mąż, człowiek bardzo szla-

chetny, miły, pełen talentów, jakoś nie ma zbyt czułego dla ciebie serca... Jestem pewna, że byłoby mu niemal... pociechą, gdybyś się trochę rozerwała... On sam, wiem to najpewniej także, gdzieś jakieś potajemne ma amory, i nie jest tak skrupulatnym... W tém wszystkiem idzie tylko o to... o to — tu głos zniżyła — aby ludzie nie gadali, a Pan Bóg, Pan Bóg, wierz mi, jest po-błażającym na grzechy miłości... .

Francuzka miała może pewne myśli, stać się użyteczną i niezbędną, ale z tych ją zaraz wypro-wadziła cześnikowa. Podniosła czoło spokojne i oczy trochę zażawione.

— A moja Dumont — odezwała się — nie mów tego... Wolę dla saméj siebie, aby Bóg mi nie miał nic do przebaczenia. Winnam to sobie... Wystarcza mi, że patrzę na niego, że wiem, iż ktoś mnie kocha mocno... Cóż chcesz? życie krótkie, przejdzie jak sen... poniosę moją miłość dziecinną do grobu...

Stara Francuzka z uwielbieniem zaczęła całować dawną uczennicę, nie miała wyrazów na pochwałę jéj cnoty, lecz, pomyślała sobie, że albo nie ma ku niéj ufności, albo się tai... lub, nie umie sobie dać rady... Nie poprzestała więc na tém, i w duchu postanowiła sobie... uszczęśliwić te dwie istoty... przynajmniej o ile niewinnie i przyzwocie da się to uczynić. Nie zaręczamy jednak, czy zupełnie w myśl miłosiernej niewiasty trafiliśmy... To pewna, iż

nie mogła patrzeć obojętnie na smutne życie swój wychowanicy, mocno postanawiając je osładzać. Była to dla niemłodej osoby rola nader właściwa, pozwalająca przynajmniej odświeżyć sobie w pamięci niepowrotne dni i lat ubiegłych wrażenia.

Wchodziło w plan pocziwój przyjaciółki dosłedzenie, w kim się kochał pan cześnik? bo że się kochał, o tém nie wątpiła bynajmniej. Znane jej były nawyki i obyczaje dworu saskiego, jego tradycje, żywot i sprawy starego ministra... a może i coś więcej jeszcze. Z żywości temperamentu młodego Brühla wносиła, iż z sercem niezajętym nie mógł pozostać. Znano jego dawną passję dla jakiejś Angielki, za którą biegał za granicę... szeptano o różnych miłostkach pobocznych...

Godziemba należał teraz do najpoufalszych sług pana Aloizego... Poznawszy w nim charakter szlachetny i wykształcenie nad stan, używał go chętnie jako sekretarza, dawał mu polecenia poufne a zaźdrość całego dworu była najlepszym dowodem jakie u niego miał zaufanie. Najchętniej i prawie wyłącznie posługiwał się Godziembą... Zdawało się więc, że jeśli kto to on musi być wtajemniczony w stosunki serdeczne hrabiego. Od przyjazdu swojego na dwór, madam Dumont nie miała zřeczności widzieć się nigdy sam na sam z panem Tadeuszem, ani mu się nawet wytłómaczyć z tego kroku, do którego była w Krystynopolu zmuszona. Teraz nadchodziła pora zużytkowania przeszłości

i zaplątania małej intryżki domowej, która wśród téj nudy, ciszy i braku zajęcia... przyjemną mogła rozrywkę stanowić...

Obeznawszy się więc z domem i jego obyczajem Dumont czatowała na Godziembę, tymczasowo jednając go sobie nader przyjacielskimi uśmiechami i ruchami głowy przy spotkaniu. Pan Tadeusz grzecznie na to, ale z daleka odpowiadał... nie zbliżając się więcej. Francuzka więc była zmuszona jednego wieczoru zaprosić go do swojego pokoju... Postanowiła wyjść z téj bezczynności, która ją dręczyła. Godziemba, któremu szepnęła naznaczając godzinę, nie odpowiedział nic, skłonił się tylko.

O mroku czekała nań pocziwa Dumont z wielką niecierpliwością; młody człowiek się zjawił i spytał coby mu miała do rozkazania?

— Sądziłam oddawna — rzekła Dumont — że mnie się waćpan spytasz, dla czego tak sobie z nim postąpiłam, nastraszywszy go w Krystynopolu... Widzę jednak, żeś nie ciekawy, a ja przecie mu to wytłómaczyć muszę, aby dlań nie było zagadką...

Tu przystąpiła bliżej i rzekła cicho:

— Miano waćpana w podejrzeniu!! rozumiesz mnie?

— O co? — zapytał Godziemba.

— A! o co! domyśl się waćpan! Nie byłeś bez winy... a dosyć było najmniejszego... cienia tylko, abyś i waćpan zginął, i *drugą osobę* uczynił nieszczęśliwą.

Godziemba się zmieszał.

— Już się waćpan nie zapieraj — dodała Francuzka — ta druga osoba nie miała i nie ma dla mnie tajemnic... Ja *wszystko* wiedziałam i wiem.

— Ale ja nie wiem o niczém! wybąknął Godziemba zmieszany...

Francuzka popatrzała mu w oczy.

— No, niechże sobie tak będzie — dodała — dosyć, że innie waćpan rozumiesz, a mogłabym coś jeszcze powiedzieć więcej ale... ale kiedy nie chcesz mieć dla mnie ufności, dam pokój.

Tadeusz stał milczący i widocznie nie pewien jak się miał znaleźć...

Milczenie trwało czas jakiś.

— Ja jeszcze mam jedną prośbę do pana, odezwała się Francuzka. Jest ona wszakże takiego rodzaju, iż równie jak to o czém mówiliśmy, zaufania wymaga... więc nie wiem...

— Jeśli mogę czém byś użytecznym... przerwał Godziemba.

— Przepraszam waćpana, nie o mnie tu wcale chodzi, nie o mnie...

Przeszła się parę razy po pokoju i znowu przybliżyła się do młodego dworzanina, który stał ciągle nieopodal ode drzwi.

— Siadaj-no pan, rzekła, i bądźmy dobrymi przyjaciółmi, ja mu się téż na coś przydać mogę...

Pomilczała chwilę i odezwała się nagle pochylając ku niemu:

— To dziwny człowiek ten Brühl... dla żony zupełnie obojętny... ta kobieta opuszczona... wzburza we mnie największą litość, boć lepszego losu warta! Takie serce! Powiedz mi waćpan, to nie może być, on się w jakieś innéj kochać musi!

Pytanie to wypadło tak nagle: a było tak popuśne, iż Godziemba, który nie czuł jeszcze wcale zbytniego zaufania dla Francuzki, zmilczał chwilę, namyślając się co ma odpowiedzieć. Jawném dlań było że kochała Maryą, że jéj życzyła dobrze — to go za serce ujęło.

— To są tak drażliwe rzeczy, odezwał się w końcu, iż doprawdy... nie umiem o tém nic powiedzieć... Moje położenie nie dozwala mi tych tajemnic dostąpić...

— Przepraszam — zawołała Francuzka: jeśli kto to waćpan, waćpan jeden znasz na wylot młodego Brühla, to wszyscy wiedzą...

— Ale mi się ze stanu serca nie zwierza — uśmiechnął się Godziemba.

— Tak — waćpan masz oczy i przenikliwość... uderzając go po ramieniu poczęła Dumont — to nie może być, ażebyś się nie domyślał...

— A gdyby i tak było — rzekł powoli dworzanin — do czego się zda to wiedzieć?...

— Hm — szepnęła Dumont bardzo poufnie i cicho — a jeżeliby pewna osoba życzyła sobie...

Na *pewnej osobie* Francuzka mocny położyła nacisk.

Godziemba się zarumienił.

— Możesz to być? spytał żywo...

— Kiedy ja waćpanu powiadam! Wierz, nie wierz — jak chcesz...

Pan Tadeusz namyślał się długo...

— Wiesz pani — odezwał się wreszcie z jakąś energią nagle wydobytą z piersi — mam najżywsze uszanowanie dla obojga moich państwa...

— Spodziewam się jednak, żartobliwie wtrąciła Dumont, że dla jednej z tych dwóch osób masz waćpan coś więcej nad uszanowanie i pewne obowiązki...

Zmieszał się pan Tadeusz, lecz zaraz dodał:

— Dla pana cześnika mam wdzięczność za dobroć jego...

— Ale nudny waćpan jesteś — odezwała się Dumont klepiąc go po rękę. Jemu to nie uwłacza że ma serce... i że się kocha! Wątpię żeby się *pewna osoba* bardzo gniewała za to, a wiedząc, że z jego strony... na przywiązanie rachować nie może... no... czułaby się spokojniejszą.

Spojrzała mu w oczy — Godziemba był chmurny zamiast się rozradować, jak Francuzka przypuszczała...

— No — ale mówże waćpan...

Pan Tadeusz oczy spuścił...

— Niech pani nie sądzi o nim, żeby on był płochy i łatwy do odgadnięcia i do zwierzzenia... Trudno go zbadać.

— Ale przecież?

— Jabyń się ledwie śmiał domyślać.

— Kogo? czego? — Doprawdy, poczęła niecierpliwić się Dumont, trzeba mieć anielską, zimną krew... kogóż się domyślasz?

Godziemba nagle wstał z krzesła.

— Słowo daję — nic nie wiem...

Dumont się rozgniewała, lecz wstrzymała wybuch nieukontentowania.

— Więc mam odpowiedzieć pewnej osobie że... waćpan nie wiesz nic i nie śmiesz się domyślać!

Ruszyła ramionami, wstając także z krzesła.

— Przyznam się — rzekła — że są osobliwsze na świecie charaktery, które odpychają tych, co im chcą wyświadczyć przysługę!... odpychają ciśnące się szczęście! Któż to rozumie...

Walczyć z sobą zdawał się Godziemba...

— To darmo — szepnęła Francuzka — kiedy waćpan mi nie wierzysz... nie ma co dłużej mówić... Stosunek ze inną mógłby mu być przydatny, lecz siłą nie narzuca się dobrodziejstwa. A! tak! to darmo! to darmo! — powtórzyła po razy kilka.

— Pani mnie zrozumieć nie chcesz — odezwał się pan Tadeusz — ja oprócz domysłów nie umiałbym nic więcej powiedzieć...

— Więc są domysły? są do nich powody?...

— Znalazłyby się — rzekł niechętnie Godziemba zapewne... Pan cześnik... ma nadzwyczajne uwiel-

bienie, choć się z niém dosyć ukrywa... dla pani Sołłohubowej...

— Nareszcie — zawołała Francuzka klaskając w ręce. Ja się tego téż domyślam, ale powiedzże mi waćpan... jak się mu zdaje? — mają bliższe stosunki...

Tu zakaszłała i spojrzała znacząco.

— Innych nad te na które wszyscy patrzymy, nie sędzę...

— Nie widują się z sobą potajemnie?

— Uchowaj Boże! przerwał Godziemba.

— Nie pisują do siebie?

— Nie — zaprzeczył dworzanin — posyła jēj książki.

— W nich mogą być listy... albo — albo mniejsza znaczona... o! o! książki, przez nie wiele powiedzieć można...

— O tém nie wiem...

— Bo waćpan nic nie chcesz wiedzieć... A mąż? zazdrosny?.

Nie dostrzegłem tego. Jest zresztą z takiém dla żony uwielbieniem, że nie ośmieliłby się jēj posądzać.

— Jakże ona dla Brühla?

— A! bardzo przyjaźnie usposobiona...

— Przecież, badała zręczna Francuzka — waćpan powinienbyś rozróżnić przyjaźń od innego uczucia...

— Nie śmiem wyrokować...

Po téj ostatniej odpowiedzi, Dumont zdawała się tracić cierpliwość i nadzieję, spojrzała zbliżywszy się do zegara na godzinę... Mrok już był w pokoju...

— Nie śmiem, nie śmiem! powtórzyła; nieśmiałość, wiesz waćpan, jest może w kobiecie wdziękiem i przymiotem, ale jest w mężczyźnie defektem... Potrzeba być śmiałym, kto chce na świecie być szczęśliwym...

— A zatém, dobranoc... a gdybyś waćpan miał co na sercu, potrzebował rady przyjacielskiej pociechy, zwierzenia, proszę nie zapominać o mnie.

Godziemba się skłonił i skierował ku drzwiom.

— Tak! tak, śmielszym być potrzeba! — powtórzyła odchodzącemu Dumont...

Drzwi się zamknęły.

— Na uczciwość! — rzekła sama do siebie — przy najlepszych chęciach, przy najszcześliwszém położeniu, co tu człowiek poradzi dwom istotom, które chcą się męczyć? Trudno im narzucić... A! — tu westchnęła myśląc, iż ona gdyby się znajdowała w położeniu podobném... inaczéjby pewnie z niego korzystać umiała...

Namyśliwszy się co z rozmowy miała udzielić wychowanicy, Dumont przeniosła się po chwili do salonu, w którym pani cześnikowa była sama. Męża jéj nie było w domu, goście się rozjechali, na wieczór nikt się nie zaprosił i nie był zaproszony, miały go więc spędzić sam na sam.

Rozmowa zaczęła się od pogody... Francuzka jednak umiała ją sprowadzić na bliższe sercu sprawy. Cześnikowa dowiedziała się z przestachem jakimś że Dumont miała poufne spotkanie z Godziembą. Złękła się tego, wzrok jój to wyrażał. Dumont zrozumiała i śmiać się poczęła...

— A przecież — szepnęła ostrożnie — ja wszystko co pocynam, robię na mój własny rachunek. Wszak mnie ciekawą być wolno. Wzięłam go na spytki... Szło mi ciężko, nie łatwo co wydobyć z niego... Milczek i ostrożny. Przecie w końcu... dobałam tajemnicy...

Schyliła się jój do ucha...

— Cześnik się kocha... a wiecie w kim? Nie ma nic niebezpieczniejszego nad kuzynki i przyjaciółki... Rzecz pewna, że ma słabość dla Sołłohubowój.

— A! to dla mnie nie nowina! — rozśmiała się smutnie Brühlowa — i ona mu się wypłaca wzajemnością! Wiem o tém dawno! Lecz jakżeby on jój nie kochał, kiedy ona go tak dobrze rozumie! Oni są prawdziwie stworzeni dla siebie... Nie dziwię się wcale. Marya ma wszystkie jego upodobania, jest tak miła...

Dumont słuchała z podziwieniem spokojnego głosu cześnikowój.

— Więc się tego domyślałaś?

— Byłam pewna — dodała Brühlowa — i zaręczyć mogę, że to przyjaźń, której się oboje wstydzicie ani kryć z nią nie mają potrzeby...

Francuzka zaczęła się śmiać po cichu, coraz głośniej potem, mocniej coraz, i nie mogąc niby utrzymać się od śmiechu, pochyliła się aż na kanapę. Ucisnęła potem wychowanicę.

— O! moja ty droga, czysta i święta istoto!
— zawołała — ty z siebie sądzisz o wszystkich... Nie chcę cię wyprowadzać z błędu... Miłość rzadko umie mieszkać w obłokach, pić się promieniami, karcić rosą i być czystym duchem... To nad ludzkie siły... Każda się zaczyna od najczystszych żądań... a kończy na najzuchwalszych... Ale, niech będzie jak chce, byleś ty była spokojna...

— Ja wcale o męża nie jestem zazdrosną — dodała cześnikowa.

— Lecz gdyby, gdyby okazał się wiunym...?

— Żalby mi go było bardzo, lecz... wina jego... nie spadałaby przecie na mnie...

— A! zapewne! przeciwnie — żywo wtrąciła Francuzka — mogłaby cię rozwiązać i uczynić swobodną.

— Mnie? — dodała zdumiona Marya, z prostotą dziecięcia. — Moja przysięga i przyrzeczenie zawszeby mnie wiązały.

— Względem wiarołomcy?

— Tak sędzę — mówiła spokojnie Brühlowa — byłoby lepiej go naśladować?

Francuzka zamilkła, tym razem poważniejąc...

— Ale, mój Boże! — szepnęła smutnie Brühlowa — jak oni są nieostrożni, kiedy już na siebie

oczy zwrócili... Ta Marya, tak jest dziwna... Ja jój już mówiłam razy kilka, że... że się kompromituje. Odpowiedziała mi śmiejąc się, że jój to wszystko jedno... Ale Sołłohub biedny jest zazdrosny... i mogą mieć przykrość.

Mówiła to tak spokojnie, jakby ją osobiście wcale ta sprawa nie obchodziła... Dumont nie mogła wyjść z podziwienia.

— Sołłohub zaślepiony — szepnęła.

— Tak, bo ją także bardzo kocha — wrzuciła cześnikowa — a ja kocham ją także... Ma w sobie coś tak miłego...

— Rywalka! — dodała dziwnie gwałtownie Francuzka. Cześnikowa podniosła oczy...

— A! nigdy rywalką jój nie była — dokończyła — serca pana cześnika nie miałam... i nie roszczę praw do niego... Ze spuszczonej oczyma Brühlowa wzięła ze stołu robotę, rozciągnęła ją na kolanach, wpatrzyła się w nią i szczie swe ukazując Francuzce, zapytała:

— Powiedźże mi, moja Dumont, czy dno czarne czy migdałowe będzie lepsze? Nie mogę się sama zdecydować. Sołłohubowa jest za czarném. Ma wiele smaku... Mnie się ono wydaje za ostre... Ja lubię ciche barwy...

— A ja krzyczące! — ofuknęła trochę gniewna Dumont, spotykając tę niezrozumiałą dla siebie obojętność u cześnikowej. *Cela sera fade*, nie cierpię bezbarwnych rzeczy... Taką byłam całe życie.

Rzuciła ramionami...

— Teraz się ludzie rodzą bez krwi, bez namiętności, bez uczucia — i nudzą się też na świecie... Co warta egzystencja taka! Nie rozumiem prawdziwie, nie rozumiem!

To mówiąc dobyła z kieszeni talię kart i zaczęła kłaść pasians na stoliku... Cześnikówna spojrzała na nią, zakaszła cicho i zawlókłszy w igłę włóczkę migdałową, pilnie się wzięła do roboty.

III.

Pochmurny był dzień jesienny, i może wilgotne a chłodne powietrze gości od Młocin odstraszyło. Spokojnie więc i cicho było w pałacyku cześnikowstwa... — Brühl od rana zamknął się w bibliotece i studyował Molièra — po raz może pięćdziesiąty odczytywał „Tartuffa“... Ktoby nań spojrzał, tak zatopionego, z twarzą spokojną i rozradowaną mistrzostwem pisarza... oddanego zupełnie rozważaniu dzieła sztuki i geniuszu, zgłębiającego warunki w jakich charakter przedstawia poeta, aby go uwydatnił — nie domyśliłby się, że miał przed sobą syna wielkiego ministra, czynnie wmieszanego we wszystkie ówczesne kabały i intrygi... popychanego co chwila do grania w nich roli stanowczój. Myślą i duszą całą Brühl był w innym a lepszym świecie.

Cisza panująca do koła, zaledwie przerywana powolnym chodem zegara, który posłuszny a bierny światu znaczył godziny, sam ich nie czując i nie mierząc, dozwoliła zatopionemu w czytaniu usłyszeć turkot w brukowanym dziedzińcu... Wzdrygnął się z lekka. Książka wysunęła się z rąk, oczy podniósł zdając się wyrzucać losowi, że mu nasyłał natręta...

Chwilę tak siedział w oczekiwaniu przybycia, którego się lękał, łudząc nadzieją, że odwiedziny mogą nie być konieczne do niego, — gdy drzwi biblioteki uchyliły się i wszedł Sołłohub...

Ów szczęśliwy generałowicz jakoś smutnie i ponuro wyglądał. Zawsze to był ten sam żywy, piękny i nie sięgający ani uczuciem, ani myślami po za wrażenie dnia obecnego młodzieniec, jednak spoważniał i na twarzy jego widać było jakieś znużenie...

— A! stokroć cię przepraszam, mój Aloizy, rzekł ode drzwi — wiem, że jestem ci natrętnym, że oderwę od najmiłszego zajęcia! Wiem, że w duszy możesz mi nie być rad, ale musiałem dziś przyjechać do ciebie...

— Cóż znowu za ceremonie robisz ze starym towarzyszem! zawołał Brühl wstając i podając mu obie ręce, z tą uprzedzającą grzecznością, którą wybornie przejął od ojca. Siadaj mój drogi, nigdy mi nie możesz być ani natrętnym, ani zbytecznym, bo cię kocham...

— Sołłohub począł z wolna rękawiczki zdejmować, kapelusz umieszczać, perukę poprawiać, man-

kietki pomięte wyciągać i prostować — łatwo było poznać, że przybył z czemś niemiłym do zgryzienia...

— Jakże ty się masz? spytał.

— Rozśmiał się Brühl...

— Wszakże wiesz, rzekł, — że ja nigdy nie choruję — na to nie mam czasu...

— A! ty! ja tobie wszystkiego zazdrościć muszę, — odezwał się przybyły, szukając krzesła, i starając się je umieścić w sposób dogodny... co wyglądało tylko na zabicie czasu i roztargnienie. Ty, mówił — jesteś we wszystkiem szczęśliwy... — nie tracisz humoru, nie bierzesz nic do serca, wieczna pogoda na twém czole, wieczny pokój w duszy.

Pan Aloizy spojrział nic nie odpowiadając...

— Prawdziwie, ciągnął dalej Sołłohub — gdy takiemu jak ty filozofowi przyjdzie zamącić spokój... człowiek czuje to w sumieniu...

Brühl posłyszawszy ostatnie wyrażenie, drgnął nieco.

— Jadłeś ty śniadanie? — przerwał.

— Dziękuję ci — nie mam apetytu...

— Zrzuczę od razu z serca co na niém cięży, lżej ci będzie...

Westchnął Sołłohub, poprawił się w krześle, wziął rozłożonego Molièra, spojrział i położył go znowu na stoliku...

— No powiem ci, począł, — że wprost przyjechałem do ciebie, aby cię ostrzedz... — Jestem

przyjacielem, życzę ci dobrze, nie radbym widzieć w przykrem położeniu...

— Cóż to jest? — obojętnie wtrącił cześnik...

— Na was, to jest na ojca twojego burza się gotuje... Ciebie, ciebie niemal wszyscy kochamy; minister ma tysiącami nieprzyjaciół... Sejm się zbliża... umysły są okrutnie podrażnione... Familia... gotuje się do jakiegoś kroku szalonego, wiesz, że ja będąc związany z Radziwiłłami, trzymam ze dworem, z wami, Potockimi i hetmanem... Lecz walka się nie rozpoczęła jeszcze... bywam wszędzie, słyszę wszystko, uszu moich dochodzą mimowolnie wszystkie uliczne wieści... Co wy myślicie? Czy wiecie co wam, a najbardziej co tobie grozi?

— Cóż mi zagrażać może, — chłodno zapytał siadając cześnik — naprzykład?

— Familia wywołała skandal na sejmie... Jesteś wybrany posłem z ziemi Warszawskiej — mówił po cichu Sołłohub... Między nami mówiąc, wasze polskie szlachectwo jest fikcją... zadadzą ci najboleśniejszy raz — zaprzeczając mu.

— Kto? spytał Brühl...

— Familia...

Rozśmiał się cześnik.

— Ale mój drogi Sołłohubie, któż ojcu i mnie to szlachectwo wyrobił, jeśli nie ta Familia? Któż ustąpił ze starostwa dla mnie? wojewoda ruski... Przed kim ja składałem przysięgę? przed ich szwagrem wojewodą mazowieckim...

— Tak, wszystko to prawda, odparł generałowicz — ale w namietnościach politycznych nie ma logiki. Oni was uszlachcili i oni zechcą pokazać co ich potęga znaczy...

Zamyślił się Brühl i ziewnął.

— Wiesz co, rzekł: — to są rzeczy tak nudne... *assommantes*, a ja zwykłem tak w nich ślepo być posłusznym ojcu, że gdyby ci to wszystko jedno było mówić o czém inném?

— Zmiłuj się, tu idzie o twą skórę! rozśmiał się przybyły...

— Sądysz, że aż o skórę? ze śmiechem zimnym odparł Brühl.

— No dosłownie tego brać nie potrzeba może... odezwał się Sołłohub — ale jeśli *Familia* szlachtę rozdrażni... ha! któż wie!

— Policzmy się, wtrącił cześnik.... Wierzę mocno, że *Familia* ma za sobą znaczną część szlachty.. nie przeczę jój sile, ale my téż, Potoccy, Radziwiłłowie, hetman, partya dworska część posłów wielką mamy za sobą, a tu w Warszawie, pochlebiam sobie, że i ja znajdę trochę przyjaciół. Nim przyjdzie do stanowczych kroków, *Familia* rozliczy siły i nie porwie się.

— A ja ci mówię, że się rzuci i rzuci się na ciebie! — zawołał Sołłohub; ty będziesz kozłem ofiarnym, a ciebie mi żal...

Brühl uścisnął przyjaciela...

— Bóg ci zapłać — rzekł — przestroge twą powtórzę ojcu, sam nie pocznę nic. Między nami, tak mnie to mało obchodzi... a tak mi to jest zarazem obrzydłe...

Nie dokończył...

Sołłohub daleko goręcej snadź biorąc do serca sprawę Brühla, niż on sam, wnet począł znowu:

— Według mnie ojciec twój zawinił... Przy ostatniej promocyi... Familia chciała, aby jój kandydaci otrzymali nominacye... Prowadzili na krzesło wileńskie Ogińskiego...

— Wiem o tém — rzekł Brühl — lecz Familia wymagała nominacyi, nie dając nam nic w zamian, nawet spokoju... Groziła królowi, groziła nam i groźbą złać nas chciała. Uleż było to się uznać zwyciężonymi, abdykować... Tego nie mogliśmy dopuścić.

— I doprowadziliście do wojny...

— Nie ja — westchnął Brühl — zrzekłbym się wszystkiego dla spokoju... Ja jestem tém ziarnem żyta niewinném, które między dwoma kamieniami młyńskimi Czartoryskich i Potockich zgniecione być musi... To się zdaje mém przeznaczeniem.

— I nietylko ja, ale wszyscy nad tém boleją, — mówił generałowicz — nawet nieprzyjaciele ojca twojego. Książę Adam spotkał mnie wczoraj, i może umyślnie, użalał się zawczasu nad twym losem, upewniając mnie, iż się o to postara, aby ci włos nie spadł z głowy.

Zarumienił się cześnik i żywo odparł:

— Niech książę Adam będzie spokojny, my sami starać się o to będziemy... Jak sądzisz — dodał po chwili — czy on sam myśli przeciw mnie wystąpić?... Tobo było zabawne!

Rozśmiał się.

— O ile wiem, nie on, ale młody stolnik litewski.

— Którego ojciec odemnie odbierał przysięgę — zawołał Brühl ruszając ramionami. — Żał mi go, że będzie musiał grać tę rolę. *C'est un galant homme*, wcale do tego rodzaju burd, jaka się w sejmie obiecuje, nie przeznaczony... równie jak ja, żeby być ich ofiarą...

— Kogóż wy postawicie ze strony waszój? — zapytał Sołłohub...

— Ty się mnie pytasz — odpowiedział Brühl — a ja, musiałbym o to mojego ojca...

— Nic nie wiem, domyślam się tylko, iż na czele naszej partyi stanie ten, którego nominacya na województwo wileńskie wszystkiój téj wojny bodaj jest przyczyną... najpotężniejszy z panów w Rzeczypospolitój... wasz kuzynek...

Sołłohub potrząsł głową.

— A! jeśli książę Karol stanie na czele, możesz być pewnym, że się bez guza nie obejdzie... Ordynat nieświezki, słucki, klecki, ołycki, żółkiewski, pan na Łachwie, Dryświatach, Białej, Złoczowie i Kamieniu... a mój dostojny kuzynek... jeśli swą Litwę szaraczkową przyprowadzi z sobą na sejm, skończy się na szablach... On inaczej

nie rozumie, panie kochanku. Sprawy żadnej, tylko pięścią w oczy...

— Mamy za sobą i hetmana Branickiego — rzekł Brühl...

— Potęga wielka, ale siedmdziesiąt trzy lata... każą mu zdać i tę sprawę na Mokronowskiego.

Tu uśmiechnął się Sołłohub...

— Hetman Branicki lubi odegrywać rolę królika, gdy janczarowie warty w Białymstoku zaciągają, gdy u stołu toasty na cześć jego wznoszą przy huku moździerzy... lecz gdzie trzeba być czynnym, starowiła, czy przy pani Izabelli, czy na sejmie wyreczy się Mokronowskim.

Po tym ucinku zamilkł Sołłohub, spuścił oczy, począł się długo przypatrywać końcom swych trzewików, westchnął parę razy i zdawało się, że skończył rozmowę.

Brühl chodził zadumany po bibliotece...

— A więc nadziei pokoju?

— Nie ma najmniejszej — dodał generałowicz. — Ojciec twój rozdał wszystkie urzędy, które mogły stanowić okup... i sam wypowiedział wojnę. Mianowanie Radziwiłła doprowadziło ich do rozpacz.

Sołłohub jakiś czas jeszcze starał się niebezpieczeństwo grożące odmalować Brühlowi, który zaledwie go słuchał.

— Wiesz co, — rzekł — ja zupełnie tu jestem neutralnym... Chcesz pomówić z ojcem, jedźmy do niego...

— Jedźmy — odparł Sołłohub.

— Konie zawsze były w gotowości.

Cześnik zadzwonił.

— Niech powóz zachodzi...

Przyniesiono płaszcz, kapelusz i rękawiczki, w chwilę potem siedzieli w powozie milczący, a konie niosły ich do stolicy, którą widać było przed nimi.

Ministra o tej godzinie trzeba było szukać w pałacu saskim u króla...

Wysiedli przed nim, a młody Brühl spytawszy pazia, który się nastreczył... wprowadził za sobą Sołłohuba do gabinetu ojca, przytykającego do wielkiego salonu...

Drzwi były na pół uchylone... dochodziła z niego żywa, przerywana, rozmaitemi głosy prowadzona rozmowa... Z tonu jej wniesć było łatwo, że umysły podrażnione i gniewne udział w niej brały... Niekiedy spokojny, łagodzący odzywał się, łatwy do poznania głos ministra; przerywali mu ostrzejszymi tony, na przemiany coraz inni interlokutorowie... Odbывała się w sali narada, do której Sołłohub ani prawa, ani ochoty nie miał należeć...

Cześnik zajrzał przez uchylone drzwi i dał mu znak, ażeby usiadł. Ojciec już wiedział o nim — czekać na niego musieli. Dochodziły tu ich głosy wzburzone, wykrzykniki namiętne, które Brühl uśmierzać i łagodzić musiał... Wreszcie zaczęli się goście po jednemu wynosić, i minister wolnym krokiem wszedł do gabinetu, w którym zapewne syna

tylko zastać się spodziewał... Twarz jego była posępna, piękne czoło sfałdowane, oczy spuszczone. Wychodząc z narady, znać nie sądził, że tu obcego zastanie, nie starał się więc nadać flizyognomii wyrazu kłamliwego... Dopiero spostrzegłszy Sołłohuba, ocucił się jakby ze snu i uśmiechnął, usiłując przybrać weselsze oblicze... Z nadzwyczajną uprzejmością powitał gościa...

— Kochany ojcie — odezwał się cześnik: — Sołłohub, nasz dobry przyjaciel, przybył mnie ostrzedz o zamachach i wojennych usposobieniach rodziny. Ja, ponieważ się nie mieszam do tego tylko o tyle, o ile każecie, przywiozłem go tu... Zdaje mi się, że generałowicz zbyt przez przyjaźń dla mnie się lęka.

Brühl stary wdzięcznie najprzód rękę przybyłego ścisnął.

— Nieskończenie mu jestem obowiązany za ten dowód jego przyjaźni — ale, cóż to tam groźnego?

— Wasza Ekscellencya wiesz to zapewne równie jak ja... Zbiera się burza przy rugach... chcą wystąpić przeciw szlachectwu pana cześnika...

Stary ramionami poruszył...

— Które oni sami nam doradzili i dali, i które ja — *l'ai eu la faiblesse de ne pas refuser*. Mogłem to samo zrobić inaczej i bez ich pomocy... ale stało się... Zapomniałem o jednej wielkiej maksymie, którą obu panom młodym polecam, jako najważniejszą w życiu: Z przyjaciółmi zawsze należy

tak postępować jakby jutro wrogami się stać mieli
O tém nie pamiętałem, gdyśmy z *familią* szli ręka
w rękę i za to pokutuję...

Grożą mi — dodał — grożą nam... ha! zobaczymy!.. sprezentujemy z obu stron siły nasze, jeżeli wojewoda ruski z kanclerzem i młodą szlachtą Poniatowskimi — więcej zaważy w Rzeczypospolitej, niż Potocki wojewoda kijowski, niż Radziwiłł wileński i pan hetman, a w ostatku — sługa pański... (tu się skłonił), naówczas parlamentować będziemy... ja jakoś serca nie tracę.

Cześnik koronny popatrzał na ojca i widocznie się uspokoił. Minister zbliżył się do syna.

— Mój Aloizy — rzekł ciszej — matka twoja — trzeba, ażebyś był u matki... Mnie tu trzyma nasz biedny król... ja się wyrwać nie mogę... Chce koniecznie niedźwiedzia... a tam... twoja matka.

— Chora? — niespokojnie przerwał Aloizy.

— Jest bardzo źle — bardzo źle, żywo powtórzył minister — jedź do niej. Minałeś się z posłańcem, którego posłałem po ciebie — ciągle się z tobą widzieć żądała.

Cześnik rękę wyciągnął do Sołłohuba, który nie mówiąc już słowa, wstał także i począł się żegnać z ministrem...

Brühl zamyślony mruczał niewyraźnie:

— Jak ci się zdaje, Sołłohubie? — czy wojewoda wileński przysze mi niedźwiedzia dla króla?

I niedosłyszawszy odpowiedzi, dodał żywo:

— Familia poi i karmi szlachtę... ale książę kanclerz w żywe oczy z niej szydzi... Szlachta to rozumie — nie będą jęj mieli po sobie...

Wychodzili już, gdy w zabłoconych butach, z twarzą od deszczu i wiatru wysieczoną, wszedł przybywający z Drezna z papierami Wolfersdorf. Minister się zwrócił ku niemu. Z drugich drzwi szambelan wzywał go do króla. Paż jeden oznajmował przybycie piskupa krakowskiego, drugi któregoś z kasztelanów. Brühl zaszępioną twarz potarł dłonią i wydając rozkazy na wsze strony, wybiegł szybko z pokoju.

Cześnik spieszył do matki.

Hrabina już od kilku tygodni była niemal dogorywająca — życie, z którym zwycięską walkę wiodła lat tyle... które się jęj uśmiechało i dało, czego tylko zażądać mogła — oprócz szczęścia — opuszczało ją. Czuła się znużoną śmiertelnie i nie pragnęła już żyć...

Przed brühlowskim pałacem nasłana grubo słońma w ulicy i dziedzińcu, zapowiadała w nim chorą. Wszystko tu zdawało się już wymarłe... Służba stała milcząca, poruszając się cicho i ostrożnie... W wielkich salonach nie było żywej duszy... Cześnik ze smutkiem w sercu, z głową zwisłą, powoli kierował się ku sypialni, gdy przed nią spotkał siostrę, marszałkową Mniszchową, z chustką na oczach, zapłakaną i hamującą łkanie.

Spojrzeni tylko na siebie. Siostra ta i brat z całego rodzeństwa najbliżsi siebie wiekiem, najbliżsi też byli sercami i darami umysłu... Kochali się jak dwie istoty — które się rozumieją i czują nie krwią, ale duchem pokrewne. Też same gusta i myśli — też same łączyły ich losy.

— Matka? — zapytał Brühl.

— Jest bardzo źle — szepnęła marszałkowa — idź, ja nie mogę, bo przy niej płakać nie chcę, a leż wstrzymać mi już niepodobna... Od rana pyta się ciebie i domaga.

Cześnik zasłone, która drzwi okrywała, uchylił i wszedł do sypialni matki... Pokój był firankami przyciemniony... woń jakichś leków złowrogich powietrze do oddychania ciężkiem czyniła... Oczywiście szukał syn chorój na łożu, lecz pawilon jego był odwinięty, na fotelu obok z głową na rękę wspartą siedziała hrabina...

Oczy miała wlepione w komin, na którym głównie dogorywały. Cała osłonięta chustami, z głową przykrytą, wydawała się jakimś widmem obwinieciem w całuny, z pod których tylko biała, wychudła twarz i ręce suche wyglądały. Pomimo wieku i choroby, oblicze hrabiny zachowało rysy piękności, której ani namiętności, ani ból, ani nieszczęście lat ostatnich zetrzeć nie zdołało.

Wspaniale była i majestatycznie piękna, a gorączka przedśmiertna, która raz ostatni zaogniła jęj

oczy, nadawała charakter groźny... coś wieszczonego i już nieziemskiego...

Ujrawszy syna, wyciągnęła ręce...

— Przecież! przychodzisz... mój drogi! jakem czekała na ciebie... bałam się umrzeć — choć — czas! a! czas... alem chciała pożegnać — uścisnąć! zobaczyć twarz twoją — biedne ty dziecko moje, aby jój obraz zanieść z sobą...

Brühl całował jój ręce.

— Przecież nie gorzej jest dzisiaj? — zapytał.

— A! lepiej, lepiej! bo się przybliży godzina wyswobodzenia... czuję jak życie uchodzi.

Spojrzała na syna i drżącą dłonią powiodła po jego twarzy zamyślna.

— Cóż ty? — mów.

Cześnik się uśmiechnął, o sobie nic powiedzieć nie umiał.

— Ofiary! ciągnęła jakby sama do siebie — mówiąc chora — wszystko ofiary... ja, wy... tak! Nie mogło być inaczej. Narzędzia i ofiary — wielkość opłaca się drogo... Smokowi temu rzucają na pastwę dziewice, dzieci, krwawe serca, aby mu jedną paszczą więcej urosło...

Rozśmiała się smutnie.

— W końcu gdy życie dogasa, jak się to wydaje okrutném! ale są przeznaczenia.

Zwróciła twarz.

— Mniszechowa — rzekła cicho — ty, ja... jak mi cię żal, dziecko moje... Pocałowała go w głowę.

Tys nie był stworzony do tego ukropu, w który cię wtrącono — ani ja. Ale ja z wrzątkiem się oswoiłam, żyć z nim mogłam — a ty biedaku?

— Ja także nie skarżę się — szepnął Aloizy.

— A tak! skarżyć się nie trzeba, bo na skargi odpowiadają szyderstwem, cierpieć i śmiać się. Wszystko to śmieszne...

Zamilkła — a potem dodała:

— Wy może wróćcie do Drezna — pokłoń się staremu miastu naszemu, którego ja nie zobaczę... przyjdzie mi spocząć jeszcze ofiarą na obcej ziemi, na której nie ma spokoju... To kraj wrzawy i zjadłych walk...

A! jak mi cię żal.

Łzy potoczyły się z oczu, podparła się na dłoni, zadumała znowu. W tém zasłone uchyłając weszła Mniszchowa po cichu. Matka poczuła ją raczej, niż posłyszała, zwróciła głowę — patrzyła na dzieci stojące przed sobą, i strumienie łez nie ocierane toczyły się jój po twarzy. Widząc, że córka tamuje z trudnością płacz... obróciła się do niej.

— Mnie płakać wolno — rzekła — bo żałuję was, co jeszcze dużo cierpieć macie — a wam się płakać nie godzi, że ja odchodzę, jam żyła i przeżyła samą siebie. Po co żyć? Wszystko znane powtarza się do koła, ludzie nudzą, świat męczy, ciało dolega — pragnienia ustają... wyczerpane wszystko do dna. Gdyby mi dawano życie napowrót z warun-



kiem, bym je tak samo znowu jak wprzód przeżyła, — a! nie chciałabym go za nic...

Mniszchowa klękała przy niej i ujmując ją za rękę, cicho szepnęła:

— Lekarz nakazał spokój — mówienie mamę porusza.

— Nic mi już nie pomoże i nie zaszkodzi — odpowiedziała po cichu — ale wnet jakby posłuszna zamilkła, oczy zwróciła na ogień, potem na dzieci i powtórzyła razy kilka:

— Ofiary! ofiary! wszystko ofiary.

Stąpienie dało się słyszeć zdala, głowa się podniosła, oczy skierowały na drzwi, widocznie poznała czy przeczuła nadchodzącego... W progu ostrożnie wsuwający się ukazał minister... Wchodził pomieszany, twarz ułożywszy obojętną do smutku... Zbliżył się do krzesła i stanął pochylając ku hrabinie.

— Jakże dziś — lepiej?

Uśmiechnęła się.

— Zupełnie dobrze! widzisz... nie mogło nawet być lepiej.

I ręką wskazał dzieciom, aby wyszły, a mężowi krzesło, które przed chwilą przesunęła była Mniszchowa. Posłuszne dzieci wyszły, minister widocznie zakłopotany usiadł.

Przez czas jakiś milczenie trwało, bo chora myśli się zbierać zdawała.

— Ofiary! ofiary! poczęła znowu jakby sama do siebie. — Brühl! — kiedy tych ofiar będzie do-

syć... i kiedy wielkością się nasycisz? — powiedz mi?

Minister milczał długo — nie doczekawszy się odpowiedzi, chora mówiła dalej:

— Król, — ja, — dzieci — dwa kraje — tysiące ludzi — ofiary! Brühl! czy się to kiedy skończy?.. Syt jesteś...

— Masz trochę gorączki! — odezwał się grzecznie minister — a to mówienie...

— Ja? życie całe miałam gorączkę, która mnie spaliła... Płoniemy na stosie dla ciebie... powiedz mi, jesteś szczęśliwy?

Poruszył się niecierpliwie na krześle Brühl i począł patrzeć na ogień nie odpowiadając nic. Ręką jedną szarpał mankietki u drugiego.

— Doktor bardzo zalecał spokojność — odezwał się łagodnie — gdybym wiedział, że moje przybycie rozdrażni, byłbym się wstrzymał — lecz... sam będąc niespokojny, chciałem się przekonać o stanie jęj zdrowia. Może nie w porę.

— Bardzo w porę... później już byłoby zapóźno, — rzekła nieco zmienionym głosem hrabina — i wyciągnęła rękę ku niemu, łagodnie mówiąc:

— Trzeba sobie przebaczyć, trzeba się pożegnać. Ja ciebie nie winię. Mam tylko prośbę jedną.

Minister żywo się pochylił ku choréj.

— Co tylko mogę — wyjąknął.

— Wszak ty możesz wszystko! a moja prośba za dziećmi... niech dosyć będzie tych ofiar! Mnisz-

chowa... Aloizy... rzuceni w paszczę... ty sam, i ty ofiarą jesteś. Wszak syt być możesz... spoczynku! — pokoju! ciszy! dla nich.

Minister zawahał się widocznie z odpowiedzią.

— Ale wojna się kończy... pokój spodziewany... mam nadzieję, że powrócimy do Drezna, i ty, nawczas pomyślimy o spoczynku.

— Ja? rozśmiała się smutnie hrabina — ja? powrócę do ziemi, z której wyszłam... ale nie do téj, na której poczęłam życie. — Ja? o mnie zapomnijcie... Proszę za dziećmi... Aloizy... daj mu swobodę — on nie jest do tych walk stworzony.

Minister, który się zdawał namyślać — podniósł nieco głos.

— Nie ja winienem, ale losy i okoliczności... Ofiary? cóż bez ofiar! Nie poszły one darmo przecie... My — podnieśliśmy się najwyżej... aż do tronu... twe dzieci postawiłem na szczyblach, z których sięgnąć mogą gdzie zechcą. Otoczyłem was dostatkiem — poszanowaniem — blaskiem.

— A wszystko to ciążyło jak kajdany — przerwała hrabina... były to spróchniałe owoce z nad Martwego morza, popiół w nich. Zaklinam cię, daj dzieciom szukać szczęścia gdzie zechcą... Słyszysz! mnie dochodzą jęki, szlochania, które wycisnąłeś ty. Saksonia płacze i przeklina, ten kraj się burzy... a ty?

Brühl wstał z krzesła nagle, jakby go co rzuciło.

— Ale pani! — zawołał — ja jestem cierpliwy, dla chorych wyrozumiały, a jednak już mi trudno, męczyć ją dłużej moją przytomnością i samemu dać się brać na te tortury.

To są gorączkowe wizye, proszę się uspokoić.

Wyjął zegarek, spojrzał nań, chciał ująć ją za rękę — lecz hrabina zwolna mu ją usunęła.

— Masz słuszość — odezwała się — dziś to słowa daremnie na wiatr rzucone — za późno! Ofiar z paszczy nie wydrę. Muszą być ofiary, nie ocaleje nikt, tak, ofiary! aż do końca... do ostatniój.

Minister już był wyszedł po cichu, a usta jój powtarzały jeszcze ten wyraz, który myśl opanował. Było to ostatnie słowo jój życia. Z tém słowem zamknęły się tegoż wieczoru usta na wieki.

Zgon hrabiny był od dawna spodziewany, przed królem tylko tajono jój stan niebezpieczny, tak jak ukrywano przed nim większą część wypadków mogących utrapienia, jakich doznawał, powiększyć jeszcze.

Wieczorem gdy we wszystkie dzwony uderzono po kościołach, August się strwożył i wysłał szambelana, aby się dowiedział kto zmarł.

Przyniesiono królowi nazwisko jakieś nieznane, spojrzał i nie odpowiedział nic. Spytał o Brühla. Ministra nie było, wezwano go właśnie do umierającej, królowi powiedziano, że jest na radzie. Niepokojny kilka razy posyłał po niego.

Późnym wieczorem z posepną twarzą wszedł nareszcie minister. Jakkolwiek usiłował pokryć wrażeń którego doznał, zdradzało go wzruszenie. Król poznawszy po nim, że coś z sobą przynosi niepomyślnego — strwożony zapytał natychmiast:

— Brühl! mów mi prawdę, co się stało?

— Najjaśniejszy Panie — odparł po chwili namysłu minister — poniosłem najcięższą w życiu stratę. Hrabina Brühl nie żyje.

August zakrył oczy dłońmi i wnet wstał, aby się rzucić ukochanemu słudze na piersi... Lecz miał pełne powieki, drżał i płakał — ale nie rzekł słowa...

W milczeniu przeszła chwila. Król usiadł wsparty na ręku.

— Nieszczęśliwi my jesteśmy! — szepnął. — Tu nikt długo nie wytrzyma, tu wszyscy umierają. Brühl, zostaw mnie samego.

Ucałowawszy rękę pańską, cofnął się minister na palcach. Kazano przywołać kapelana.

Wieść o stracie, jaką poniósł Brühl, rozeszła się tegoż wieczoru po Warszawie; lecz umysły wzburzone przeciw niemu nie dały się nią powstrzymać od dalszego działania.

Partya, która starała się pomścić na Brühlu, widziała w tém tylko prawie szczęśliwe zrzącenie losu, odejmującego siły przeciwnikowi. Pomyślono się jednak; był on z tych ludzi, których serce może się poruszyć na chwilę, lecz rachuba włada

nimi i nałóg zwraca ich na dawne tory. Ciało spoczywało jeszcze w dolnej sali pałacowej, wybitéj suknem czarném, jaśniejącéj tysiącem światła, zapełnionéj duchowieństwem, gdy Brühl zwoływał już radę swoją i szykował przyjaciół do boju. Z mocą ducha, która mogła się nazwać obojętnością zarazem, rozporządzał wspaniałym pogrzebem i wysyłał zauszników swych do śledzenia ruchów familii. Nie było czasu do stracenia. Obóz przeciwny ściagał massami szlachtę, dla poparcia tłumem i wrzawą skandalu, jaki miano na sejmie wywołać. Brühl i Potoccy ślali téż gońców na wsze strony za przyjaciółmi swymi, powołując ich, aby przybywali zawczasie.

Familia, która się gotowała wystąpić jawnie przeciw Brühlom, zachowywała jednak pewne względy dla dawnych z nimi stosunków. Spotykano się z pozorną grzecznością — mówiono mało, patrzano sobie bystro w oczy. Na pogrzeb hrabiny nieprzyjacielem stawili się, aby okazać, że grubiańsko chybować nie chcą i zachowują pewną litość nad tym, którego samo niebo ścigać się zdawało. W orszaku ścierali się i stali obok siebie ci, którzy za dni kilka mieli wystąpić z zajądłością do boju... Ale daleko liczniej i wspaniałej występowały rody sprzymierzone, Potockich, Radziwiłłów i szlachty zostającej pod rozkazami dwóch królików Rusi i Litwy. Wojewoda wileński sam jeszcze nie przybył do Warszawy, ale ogromny orszak już go wyprzedził.

Na pogrzebie więc tym mogli się niemal policyć zapaśnicy, i za trumną szli z myślą, kto kogo pokona i upokorzy... Brühl postępował za nią błady, na pozór spokojny, jak gdyby boleśnie i głęboko czuł stratę — chociaż schodząca do grobu ofiara od nowych go powstrzymać nie mogła.

IV.

Sejm się zbliżał, stolica nappełniała; — położenie Rzeczypospolitej wymagało, aby doszedł do skutku, lecz po tylu zerwanych, gdy w obyczaj poszło, aby fantazya jednego hamowała kraj cały — trudno się było spodziewać dziś pomyślnego wypadku, wśród umysłów więcej niż kiedy poruszonych, gdy dwa obozy stały przeciwko sobie, zwoławszy całe zastępy najwytrawniejszych, najprzebieglejszych warchołów. W miarę jak posłowie się zjeżdżali, ruch też się powiększał i agitatorowie zaczynali być czynni. Obie strony miały tych niepozornych, wszędzie się wciskających, nie noszących jawnej barwy ludzi, którzy bywali wszędzie i umieli przyciągać łatwowiernych, łudzić lub przestraszać.

Znowu tedy w gospodzie u Peszła było tłumno i pan podkomorzy Laskowski, należący, jak jeszcze

w XVII wieku ich zwano, do *neutralistów*, w dobrej wierze nakłaniający do zgody, napawał węgrynem przyjaciół swych pana Kostrzewę, Babińskiego i Ocieckiego. Ostatni, chociaż Brühlom winien był polepszenie losu, za czasów gdy oni z *familią* byli w najlepszych stosunkach, teraz także, jak pan Laskowski, unikał czynnego mieszanina się do spraw publicznych, aby nikomu się nie narazić.

— Kaduk że ich wie — szeptał po cichu — pójdę na lewo, prawa się na mnie zagniewa, pójdę na prawo, lewica mścić się będzie... a co najgorzej? kat to zrozumie. Wczoraj byli z sobą za panie bracie — dziś są na udry, jutro mogą się znowu ściskać, a na mnie się skrupi. Nie głupim.

Podkomorzy nie mówił.

— Familia się odgraża i sroży — szepnął Ociecki — a no, mnie się zdaje, że finalnie ręce sobie podadzą...

Laskowski głową kiwał.

— Ciekawym skarbnika, co on też powie, — wycedził przez zęby — jest on zoilowatęj natury, zgryźliwy, ale widzi jasno — przyrzekł mi się tu... tylko co go nie widać.

Nie widać go w istocie było, miuno przyrzeczenia, a tymczasem w izbach u Peszla jak na sejmiku wrzało i gardłowano aż strach.

Przy szkle spotykali się ludzie różnych przekonań, a szkło ma to do siebie, iż wydobywa z ludzi co w nich leży na dnie. Więc nawet kto przy-

szedł z mocném postanowieniem trzymania języka za zębami, za drugim kieliszkiem mruczał, za trzecim się rzucał, a po czwartym wybuchał. A byli tacy, co chętnie na wino zapraszali i płacili. Ci mówili najwięcej... poglądano na nich z ciekawością i obawą.

Gwar był w głównej salce taki, że jedni drugich nie słyszeli dobrze. Co chwila ktoś nowy wchodził i witano hucznie — a tuż gromadka pokrewna wciągała przybysza. Pakowano mu zaraz szkło do ręki, aby nie próżnował, a że obyczajem było nie pić darmo cudzego, jeżeli się swojego nie postawiło — stawiał tedy gość i przeciągała się rozmowa i cmokanie do późna.

Już mrok był padł i łożówki przy ścianach pozapalano w świecznikach ze zwierciadełkami, co niby miało światło powiększać — gdy skarbnik Zagłoba wszedł ostrożnie, od progu się rozpatrzył w ludziach, przesunął cicho do drugiej izby i Laskowski go zobaczywszy, wpadł do niej, drzwi zatrzasnąwszy za sobą.

Tu go wiwatem powitano.

— Na Boga, cóż tak późno! — zawołał Laskowski do wchodzącego.

Skarbnik czapkę zdjął z głowy, ramiona podniósł i przeszedł się po izbie milczący, gładząc czuprynę, a nie mówiąc nic. Posepny był.

— Co ci jest?

— A no... nie! nie! byłem na nieszpórach. Dali-
lipan modlić się trzeba o Ducha świętego, bo człek
nie wie, co z sobą począć... taki chaos!.. Co to
będzie? co to będzie?..

Siadł wprost naprzeciw gotowój lampeczki, wziął
ją w rękę, pod światło, spojrzał na wino — i nad-
pił zadumany.

Laskowski się przysunął.

— No, co wy na to mówicie? co?..

— Gdybymże wiedział co powiedzieć! — west-
chnął skarbnik. — Moje konwikcye wiecie — tu się
obrócił do podkomorzego — Niemców nie lubię...
choć Brühlowie względem mnie i Potoccy bar-
dzo się *generose* znalazli... ani słowa... Któż tu
dojdzie sprawy? Obie strony mówią: chcemy ładu...
chcemy spokoju... a obie ład psują i pokój mącą...

— A mnie się zdaje — zawołał Laskowski —
że nim do sejmu przyjdzie, oni zawrą *pacta con-
venta*. O co idzie? pewno nie o Rzeczpospolitą... ale
o urzędy i starostwa... podziela się niemi i kwita.

— Licha tam — odparł skarbnik — co było
urzędów wakujących, król rozdał Potockim, Brüh-
lom i Radziwiłłom. Familia się wścieka i gotuje
awanturę...

— A co ona robi — wtrącił Ocieski — z czém?
jak?.. Hetmana Gryfa z sobą mają i księcia wo-
jewodę wileńskiego; ten, mój panie, niedźwiedziami
jeździ, a ludzkie życie ma za nic... Widzieliście
co za ciżba około pałacu Radziwiłłowskiego?...

Książę w żałobie, dwór i przyjaciele włożyli żałobę, połowa Warszawy czarno... Familia się nie porwie, wie czém to pachnie...

Skończył Ocieski, drudzy milczeli.

— Ja mówię, że oni się rozpatrzywszy pogodzają... — dodał Laskowski.

— A sejm? — zapytał Kostrzewa — czy dojdzie?

Wszyscy zamilkli znowu.

— Tego nikt nie wyprorokuje — mruknął po długim przestanku Babiński — lada wywłoka, z pozwoleniem, wlezie na ławę *activitatem* i izba *in passivitate* nie już zrobić nie może... póki jegomości nie uproszą, nie rozsiekają, lub jeśli drapną, nie złapią...

Machnął ręką okrutnie po nad głową, z piersi mu buchnęło westchnienie, które jedną świecę zagasiło, i zamilkł. Wtém się drzwi otworzyły i przez nie ukazała się głowa nieznajomego mężczyzny, w czapeczce małej na głowie, z twarzą rumianą i oczyma błyszczącemi. Obejrzał on szybko siedzące u stołu towarzystwo, i rażno jakoś wskoczył do izdebki. Był jeszcze dobrych lat i piękny człek co się zowie, z okrągłym już brzuszkiem ubrany wykwintnie, nadewszystko umiejący się obracać zręcznie, gibki, giętki, ruchawy i z pewną gracyą poruszający się — razem oczyma, rękami, nogami i ustami nie próżnując. Znać w nim było człeka i do wypitéj i do wybitéj, ale niepospolitszego kalibru, tylko do lepszego należącego towarzystwa.

Z oczu mu patrzało, że na dworze bywać musiał, i gwiazdy na piersiach go nie oślepiały. Z pewną wyższością i powagą stawiał się wśród tego ściśnionego kółka, w którym oczyma kogoś szukał. Lecz łożowe świece, z których jedna właśnie była zgasła i Babiński ją dopiero zapalał nanowo, nie dozwalały dobrze rozpoznać fizygnomii. Wśród ogólnego milczenia, na kilka się kroków zbliżywszy — ów nieznajomy gość, którego przyjęto milczeniem głuchém, dostrzegł pana skarbnika i zawołał:

— A ja pana skarbnika dobrodzieja szukam wszędzie... Nareszcie...

Stary się podniósł, jakby go dopiero zobaczył, choć go dobrze wprzód poznał, a siedział widać, chcąc się zataić z sobą.

— A! pana stolnika dobrodzieja! — rzekł zmieszany — jak mi Bóg miły, nie poznałem... w tych ciemnościach...

Gdy to mówił, ów nazwany stolnikiem zbliżył się i szepnął:

— Proszę mnie szanownym przyjaciołom zaprezentować...

— JMPan Szymanowski, stolnik ciechanowski, a, jak słyszę i poseł...

— Tak jest... — potwierdził przybywający.

Z kolei wymieniono nazwiska. Stolnik wnet miejsce zajął na przysuniętym stolku i w ręce kłaśnął. Znaczyło to, że chce traktować, jakoż chłopak wbiegł.

— Pół tuzina butelek, a tego co wiesz! — szepnął stolnik.

Tymczasem Laskowski mu lampkę przysuwał.

— Przyjmuję — odezwał się — ale prawie tu będąc gospodarzem i domowym, obługuję, aby moje téż wino wzgardzone nie było. Znajomości się nie robią na sucho...

Mówił prędko i z łatwością wielką, a miał ten dar sympatycznego wyrażania się i głos jakiś miły, że wszystkich za serce chwycił.

Uderzył po kolanie skarbnika.

— No cóż, czcigodny mój kolligacie... co wy mówicie... jaki *omen* sejmowi dajecie?..

Skarbnik ruszył ramionami, usta mu drgały tylko.

— Powiedziałbym wam co myślę, ale... *ni fallor*, nie podoba się... — rzekł.

— Czemu?

— Bo tego talentu co waszmość, panie stolniku, nie mam, aby pigułkę ozłocić... rzną prosto z mostu... i zawsze komuś na łeb...

Stolnik się uśmiechnął i klapnął go po kolanie znowu.

— Ale skarbnik z nami trzymasz... — rzekł — inaczej nie może być... z królem, z dworem, z Brühlem, i przyjaciółmi jego...

Skarbnik był już po drugiej lampeczce.

— Jak Bóg miły, radbym trzymał z królem JMcią, dla koronowanej głowy respekt znam...

ale... obie strony mają racje słuszne... a biednemu szlachcicowi jak ja, po co ręce pakować między drzwi?.. Wolę, do kaduka, z nikim nie trzymać...

Laskowski nie mógł już dłużej zamilczeć, lubił publicznie moralizować i trochę się z elokwencją popisać.

— Za pozwoleniem — rzekł — mnie się widzi, że kruk krukowi oka nie wykole, i z wielkiej chmury będzie mały deszcz, i antagonizmy te skończą się kompromisem... bo...

— Mylisz się acan dobrodziej — począł Szymanowski — zgody nie może być, bo familia zajadła, a już jój gąb szerokich i łakomych zatkać nie ma czém... Postawili za warunek, aby wojewodą wileńskim Ogińskiego król mianował... a stawili to tak nakazująco, jakby nie oni króla, ale JMć musiał ich słuchać... Tymczasem książę Radziwiłł prawo miał do tego krzesła z antenatów, z tradycyi — i z tego, że Litwą całą trzęsie... Zresztą szło o powagę majestatu... więc województwo mu dane... i wojna wypowiedziana...

— *Infaustum!* — westchnął Laskowski — lecz przyjaciele zgodzić powinni.

Stolnik Szymanowski głową pokiwał.

— Pozwól się acan dobrodziej spytać, kto mu milszy, czy familia, czy dwór?

Na to wręcz rzucone pytanie podkomorzy się stropił bardzo. Muchę najprzód z kieliszka wyrzucił i namyślał się co mówić.

— Książę wojewoda ruski i książę kanclerz, powagi są wielkie w Rzeczypospolitej... *capacitates* jakich mało... mężowie znakomici... a pewnie dobrze wszystkim życzący... Światła i luminarze to nasi...

— Więc? — przerwał stolnik.

— Za pozwoleniem... — odparł Laskowski. — Król JMć ma swe prawa téż, wenerujemy go; minister głowa wielka... w Europie wsławiony... zaszczycił szlachectwo polskie, przyznając się do niego... książę wileński potentat, magnat i *animusz* wspaniały... Hetman pierwsza powaga nasza, *mediator intra potestatem et libertatem*... Nie ujmuję nikomu... Jakże tu wybrać? i nie wyjdzieź na moje, że najlepsza rzecz ich przywieść do zgody?..

— Przed kilką miesiącami było to może jeszcze możliwe... dziś, gdy wojska na placu stały — rzekł stolnik — gdy o mało sygnału nie dano do starcia... zapóźno!..

Laskowski wina się napił.

— Więc z kim trzymać będziecie? — naglił Szymanowski.

Milczenie było jak mak siał... patrzano na siebie, gdy skarbnik mrugnął żartobliwie okiem.

— Wiecie acaństwo co... tu idzie *de publico bono*, nie godzi się inaczej stanąć tylko po téj stronie, która silniejsza, aby walka się prędzej skończyła.

— A sprawiedliwość?.. — spytał Szymanowski.

— Sęk!.. — odparł skarbnik. — Wiesz acindziej co? Gdy u ks. kanclerzego dobry obiad zjem, gdy się nasłucham co tam prawią *de republica reformanda*, gdy wyściskany przez Familię odchodzę z dobrze nadzianą kiszka... tak mi Panie dopomóż, dałbym się posiekać za Familię... pewien, że ich sprawa czysta i święta... *At tandem*, gdy nazajutrz *volens nolens* wciągnięty nasłucham się u ks. Radziwiłła dykteryjek i ucinków przeciw Familii, gdy minister rękę mi poda i o zdrowie spyta, gdy który z Potockich zaszczyci mnie panem bratem... przekabacony wychodzę... i radbym trzymać z nimi... ot co jest!

Stolnik się rozśmiał, ale niewesoło.

— Smutna to rzecz rozterka domowa — dodał Laskowski.

— Zatem idzie o to, kto silniejszy wedle systemu pana skarbnika, aby prędzej skończyć — wtrącił stolnik Ciechanowski. — Jeśli to ma kwestyę rozwiązywać, zatem daję słowo, żeśmy silniejsi, bo ja się nie taję, że ze dworem trzymam. Król... jużciż choć niewiele może czynić, toć powaga, minister toć geniusz polityczny, dalej hetman, siła niemała, ks. Radziwiłł ma za sobą tu w Warszawie pół tysiąca szabel szlacheckich, Potoccy drugie tyle postawią. *Diī minores* się nie liczą. Cóż Familia przeciwko temu postawić może?..

Szlachta spojrzała po sobie.

— *Dictum acerbum* — wyrwał się skarbnik — nie ma co mówić... argument potężny... szable... Na co tu już sprawiedliwość, kiedy one są?... staną za logikę i za wszystko.

Stolnik się zmięszał.

— Skarbnik widzę coś od naszego obozu dezertujesz? — rzekł.

— Uchowaj Boże — odezwał się zagadnięty — ale konkluzye wyciągam... i siłę szanuję... a w téj gmatwaninie prawdy chyba Pan Bóg dojdzie; ja... nie czuję się na siłach...

Jeszcze mówili, gdy drzwi jak wprzód się uchyliły i głowa znowu ukazała się w nich, ale odmiennego rodzaju. Już z proporcji samój łysiej czaszki sądząc, człek być musiał statury olbrzymiej. Przedłużone czoło w górę się piętrzyło i cała głowa śpiczasto wyglądała; twarzy było nie pół łokcia, a ćwierć pewnie podbródków, bo ich ze trzy, fałdami przedzielonych, naliczyć się dawało. Nos w środku siedział jak monarcha na tronie, a pod nim wasy wisiały szare, ogromne, długie aż na piersi. Osobliwe to oblicze stanęło przeciw téj kupce gwarzącej, oczy mu się przymrużyły... patrzył długo, — i nagle mężczyzna opasły, o uszak obtarłszy łysinę, bo mu we drzwiach było ciasno, wtoczył się do pokoju, żartobliwym głosem mówiąc.

— Niechże będzie pochwalony... kochanego podkomorzego!.. Jak się masz? kopę lat... bracie! gonię za tobą.

Obaj ręce szeroko rozstawiwszy poszli ku sobie, padli na piersi, objęli się potężnie, pocałowali raz, drugi, trzeci... i gość odskoczywszy nieco, głosem tubalnym towarzystwu całemu zawołał:

— Czołem ichmościom dobrodziejom...

— Pan mostowniczy Żudra — odezwał się Laskowski.

Wszyscy się mniej więcej pokłonili, stolnik ciechanowiecki prychnął i usta wydał. Zaczęło się wzajemne zapoznavanie. Usłyszawszy nazwisko Szymanowskiego, mostowniczy popatrzał i nieco sposepniał, bo dotąd miał twarz jak księżyc w pełni pogodną.

Szymanowski i Żudra zmierzyli się oczyma tak, iż w nich łącno antagonistów domyślić się było można. Pomimo to, obok Laskowskiego zajął miejsce Żudra i nie stracił wcale rezonu. Tyle tylko, że ciągle na stolnika patrzył, a ten na niego.

Lampkę podano mostowniczemu, wziął ją nie wymawiając się... i odchrząknął, oczyma wodząc po przytomnych.

— Jam tu pana podkomorzego szukał — rzekł — stary druh... a gdy mi szczęście takie służyło, iż go w szacowném gronie ichmość panów a braci przydybałem, korzystam z sukcesu niespodziwanego... Książę kanclerz, który dawno zna i wysoko ceni pana podkomorzego naszego, bo któżby go nie szanował i nie kochał?... na chleb przyjacielski zaprasza go jutro; ja zaś, jako *intimus* tego domu

i sługa księcia, przy téj zřeczności wszystkich panów a braci, jego imieniem suplikuję, na obiadek...

Milczenie głuęhe odpowiedziało; po twarzach spojrzawszy, nie tém nie zmieszany mostowniczy, wnet dodał:

— Chociażby téż który z ichmościów — i do antagonistów naszych należał, a różnych był opinij, nie to nie przeszkadza. *Audiat et altera pars*, warto się rozsluchać... zawsze braćmi jesteřmy... Kaźdemu ksiąęę kanclerz rad, a mało kogo w Rzeczypospolitej nie zna...

Szymanowski siedział kręcąc się jak na szpilkach.

— Ja się ekskuzuję — rzekł — bom na jutro do hetmana proszony...

— Wielce mi żal, że go posiadać nie będziemy — odezwał się Żudra — alem ja tego szczęścia i spodziewać się nie śmiał... bo...

Tu się zaciął.

— Bo co? — podchwycił stolnik.

— Boby kanclerski chleb panu stolnikowi po niemieckim pierniczku, nie smakował... U nas wszystko zprosta, po polsku i po szlachecku, u hetmana po wersalsku, a u Brühlów po sasku...

Rozśmiał się, a stolnikowi lice zapalało.

— Pijesz waćpan do mnie, panie mostowniczy — zaperzony wyrwał się Szymanowski — alebym i ja mógł coś odpowiedzieć...

— A no! posłucham — zawołał Żudra — byle udatnie...

— Przy królu i jego majestacie stoimy — rzekł Szymanowski — przy ładzie i porządku, w warcholstwo się nie bawimy.

— Przy królu!.. — rozśmiał się Żudra — jakbyśmy my króla mieli innego nad Brühla... a kto ma ci wodę, aby w niej ryby łapał, jeśli nie on i jego adherenci?..

Stolnik się z krzesła zerwał.

— Mości panie mostowniczy, ja nie ścierpię, aby tym których szanuję, uwłaczano...

— Ja też — bijąc dłonią po rękojeści szabli odparł Żudra — jeśli obrazisz, odpowiem za to...

— Na rany Pańskie! — krzyknął Laskowski hamując go — a toż co znowu!.. Dosyć tego, jam tu gospodarz... nie dopuszczę waści... Mości mostowniczy... jeśli mnie kochasz... panie stolniku! czy się to godzi?..

Zmieszali się wszyscy — stolnik powoli usiadł, a skarbnik spokojnie wrzucił.

— Jeśli wolno rzec słowo? czego się acaństwo tak śpieszycie? Jeszcze się sejm nie rozpoczął... Będziecie mieli czasu dosyć i językami i szablami dokazywać... My tu, ludzie spokojni, przyśliśmy się posilić...

— Ale mnie zadrasnął! — ofuknął stolnik.

Mostowniczy zmileczał, wstał z krzesła i począł się po izbie przechadzać, a do Szymanowskiego

się zbliżywszy, potajemnie go za rękę chwycił i ścisnął. Wiedziano co to znaczyć miało... To dopełniwszy, zwolna na stołek swój wrócił i śmiejąc się rzekł:

— No, co wy, panie podkomorzy, na tę zimę nam prorokujecie?

— Zawieruchy — wtrącił skarbnik.

— Zima będzie łagodna — odezwał się Laskowski, który zaczepiony niełatwo dał sobie odebrać słowo, gdy szło o kalendarz. — Szrony się zapowiadają częste... gołoledź, śniegi obfite, ale nie trwałe... aura niestała... lękać się trzeba o zboża, aby nie wyprzały... wody też podostatkiem będzie. Łódź kto chce mieć, chwytąć trzeba, bo go niewiele i na krótko stanie...

Gdy to mówił, stolnik Szymanowski dopił lampki, podał rękę skarbnikowi, zdala się innym pokłonił i wolnym krokiem wyszedł.

Ledwie za nim drzwi się zatrzasnęły, gdy Laskowski wpadł na mostowniczego.

— A czy się to godzi? przychodzisz nam tu, abyś struł dobrą wenę naszą...

— Stój! nie zabijaj! — odparł śmiejąc się Żudra — nie winienem, gdy tych śmierdzących szołdrów napotykam, nie wytrzymuje... kipi we mnie krew... Albo ja go nie znam!.. Ta to wisi przy Brühlach... a z tych Brühlów cała bieda... Gdyby nie oni, inaczejbyśmy stali. Co im kraj nasz? co

im nawet ich własny?.. to komedyanci, co na kieszenie nasze polują...

— Oooo! — długo i przeciągle zawył skarbnik — ostro się acindziej wyrażasz... bardzo ostro... i nie zbyt politycznie!

Spojrzał na podkomorzego.

— He... Laskowski, miły bracie, czy i teraz powiesz, że się oni pogodzą?..

Mostowniczy pięścią w stół uderzył.

— Nigdy w świecie!

— Tandem, słówko — przerwał skarbnik — nie gniewaj się, panie mostowniczy, i mnie też na rękę nie wyzywaj za to co powiem. Umiesz prawdę mówić, naucz się jój słuchać.

Mostowniczemu oczy zabłyśły, lecz Laskowski dał mu znak, że nowój burdy nie ścierpi.

— Zadam wam proste pytanie. Któż to tych Brühlów szlachcicami polskimi uczynił, jeśli nie Familia? Kto się z nimi kumał, całował, nosił?.. Kto ich tu wkorzenił?

— A no, tak! — buchnął Żudra — nie zapieramy się. Sądziliśmy, że się dadzą poprowadzić do dobrego, zaczęli nas do złego ciągnąć... kwita z przyjaźni... Mówicie, żeśmy się kumali? Nie... Brühl nam małżeństwo proponował... na tém się zerwało, ztąd złość, zemsta i wojna...

— Nowe rzeczy, nigdy o tém nie słyszałem... — bąknął skarbnik.

— Tak mi Boże dopomóż... prawda! — bijąc się w piersi dodał mostowniczy i wstał z krzesła. — Ale dosyć... Kto łaskaw jutro do książęcego stołu?.. Sercem proszę... Trzymajcie z kim chcecie, a zjeść z nami możecie... Mnie wielki czas w drogę... bo jeszcze mam siła ludzi pościagać...

Skłonił się patrząc na nich.

— Na kogo rachować mogę? Laskowski? no... i skarbnik... i panowie... chlebem się naszym nie udławicie.

Zawinął się i wyszedł.

Milczenie jakiś czas panowało.

— Widzieliście, gdy sobie ręce ściskali? — szepnął Babiński — będą się bili?

Laskowskiemu było markotno. Zaczęli się wszyscy brać ku wyjściu, szukając czapek, lasek i szabli, a niektórzy i opończy. Tymczasem z pierwszej izby słyszeć się dał ogromny chór fałszywemi głosy nucony... Ktoś pieśń zaintonował satyryczną, wszyscy mu wtórowali, a po każdej strofie z niemiecka okrzykiwano:

— Fifat! fifat!

— Jeśli takie usposobienie wszędzie — odezwał się Laskowski cicho — radziłbym sasom kapitułować.

Skarbnik mu na ucho szepnął:

— Bądź o nich spokojny... wykręca się sianem... włos im z głowy nie spadnie... o naszych nie tak jestem pewien...

Wyszli razem w ulicę. Mimo nocy jeszcze tu dosyć było życia. Powozy z pochodniami, których światło nagle oblewało blaskiem domy i znikało, przesuwały się od zamku ku Saskiemu pałacowi. Bokami po kilku wyszukując miejsc suchych wracała szlachta na kwatery, przeprowadzana przez chłopców z latarniami w rękę, którzy drogę pokazywali. Przez okiennice pozamykane na dole przeciskało się gdzieś światło wąską szczeliną i lśniło w ulicznych kałużach. Szynczki na rogach pootwierane brzmiały niewyszukaną muzyką ze skrzypiec i basetli złożoną. Zdała tylko pomrukiwanie ostatniej dziwnie pomuro i kapryśnie słychać było. W oknach pałacu Saskiego rześiste światło jeszcze płonęło, i służba się kręciła mnoga.

Wzajem się podpierając i ratując, wlekli się powoli podkomorzy ze skarbnikiem, gdy sznur podwod długi od Wisły się ukazał, któremu ludzie z drągami, w strojach niezwykłych towarzyszyli. Na wozach stały skrzynie jakieś niby wielkie klatki, unajone gałęzmi. Nie mogli odgadnąć, co by to było, gdy kareta ks. Sołtyka z pochodniami nadjechała, i na wozach ujrzeni ciągnięte wołami niedźwiedzie, wilki i łosie.

— Hola! — zawołał Laskowski — a to żkąd i po co?

— Dla króla JMci... z puszczy księcia wojewody wileńskiego... — odezwał się głos towarzyszącego wozom.

— To zapłata za krzesło... — rzekł skarbnik — i tyle królewskiej pociechy, że niewinne maruchy strzelać będzie... tam, gdzie ich od dawna nie bywało... Bodaj znowu mu takie łowy sprawiają jak ongi, że łosie, sarny i dziki z drzew padać będą musiały, aby je w lot bić było można!

Ruszył ramionami.

Wśród ciemnej nocy, ten sznur wozów, z pośrodku których czasem ryknęło zwierzę dzikim głosem, przedstawiał widok osobliwy. Ludzie też stawali osłupiali przysłuchując się, a konie powozowe wystraszone rwały się i rzucały, szczęściem nie mogąc unieść, bo w ulicach błoto ledwie się poruszać dozwalało.

Gdy podkomorzy Laskowski dostał się nareszcie na Podwałę, gdzie miał najęte mieszkanie, a wierny sługa ze snu zbudzony, drzwi mu do niepomniernie opalonej izby otworzył, znalazł na stole aż trzy karty zapraszające. Jedna była od księcia kancлера, druga od pana hetmana, trzecia od Jego excellencyi pana ministra, który na zamku miał przyjmować.

Podkomorzy stanął w niepewności wielkiej zamysłony nad niemi, której miał dać pierwszeństwo, i gdzieby jego pojednawcze intencje najlepiej ocenione być mogły?.. Wybór był drażliwy i niebezpieczny, bo miał o usposobieniach świadczyć. Znał on przechylenie się na jedną lub drugą stronę. Chcąc się trzymać neutralnie, a godzić zwaśnio-

nych, pan podkomorzy zdjął pas, kontusz, żupan, buty, głowę pokrył chustą na noc, a jeszcze nie mógł się zdecydować, do kogo pójść, a kogo przeprosić...

— Człowiekowi spokojnemu — mówił do siebie — chyba w domu siedzieć i głowy z niego nie wychylać?.. Kanclerza obrazić niebezpiecznie, hetmanem lekceważyć nie godzi się, ministrowi chybić zemsta pewna...

Stuknął w palce.

Wypadł wreszcie nie tak z palców, jak raczył z subtelного rozumowania pan hetman Branicki...

— Jeśli tedy jest dom do pacyfikacyi, to Gryfa... Ma za sobą Poniatowską... więc z *familią* w blizkiej koligacyi... trzyma z królem, więc i z Brühlami... Pójdę do hetmana... Nie może być, aby ten wojnę podsycił...

Tak się nieco uspokoił pan podkomorzy, środek pewny znalazłszy. Z panem hetmanem dawno był znajomym i w łaskach u niego, spodziewał się zręczności przemówienia doń, aby powagi swęj zażył i pokój między panami chrześcijańskimi zaszczerpił.

Pocieszając się tém, i dla rozrywki, konnotatki kalendarzowe jeszcze do ręki wzięwszy, aby *praeter propter* wiedzieć, co się na niebie święcić może z przyszłą kwadrą, podkomorzy głęboko westchnął, do pacierza ukląkł przy łóżku i począł się mo-

dlić przy akompaniamencie chrapania swojego sługi,
który ledwie pana rozebrawszy, w alkierzu legł-
szy, przyjemnemi tony nosowemi ciszę nocną prze-
rywał...

V.

W Młocinach teraz chwili pokoju nie było, powozy jedne zajeżdżały, odchodziły drugie, cisnęli się przyjaciele, przynoszono rady, stary Brühl przyśyłał rozkazy, a Dumont nie mogąc dobrze pojąć o co chodziło, niespokojna przybiegała do cześnikowej, badając ją o przyczynę tego nadzwyczajnego krzątania.

Cześnikowa o niczem nie wiedziała.

— Moja Dumont — mówiła — to się mnie wcale nie tyczy... ja się męża nie pytam, a on mi też nie spowiada się z tego co robi...

I byłaby francuzka niezaspokojoną została, a zmuszona uciec się do Godziemby, któryby jój może niewiele rzecz objaśnił, gdyby jeden z powozów za-

chodzących przed ganek nie przywiozł pani Sołłohubowej...

Piękna Marya wpadła jak burza do salki, zarumieniona, z oczyma płonącemi, poruszona niezmiernie, zaniepokojona widocznie. Wbiegłszy żywym krokiem, wprost do cześnikowej się rzuciła, ściskając ją i jakby zdziwiona, że ją zupełnie spokojną zastała nad tą nieśmiertelną robotą do kościoła, która się nigdy nie kończyła.

— Moja Maryniu! — zawołała — zlituj się, zlituj, mów, co u ciebie słyszać? co się święci?.. Ja drzę cała... Co mówią? jak sądzisz?..

Zdziwiona cześnikowa oczy podniosła, nie mogąc pojąć o co chodziło.

— Ale o cóż ci idzie? — zapytała.

— Jakto! o co?.. przecież o nic innego, tylko o twojego męża... W całym mieście mówią tylko o tym niepoczciwym spisku na niego!.. A! jestem zła! jestem wzburzona! całą *familię* utłukłabym w mózdzierzu...

— Spisek na mojego męża! — zawołała cześnikowa — ale to nie może być?.. ja... pierwszy raz słyszę...

Sołłohubowa zdumiona zamilkła... spuściła oczy, zdała się niepewną, co mówić i co począć dalej.

— Cóż za spisek? — odezwała się Brühlowa zwolna. — Mnie się zdaje, że gdyby coś było serio, jabym słyszeć musiała. Hrabia jest zupełnie spokojny i wesół... nic groźnego być nie może.

— To nic nie dowodzi, twój Brühl jest zawsze spokojny, z jego twarzy nigdy nie poznać nie można... Tymczasem jest spisek szkaradny... ohydny, niegodny...

— A! ta nieszczęsna polityka! — dodała Sołłohubowa — nie cierpię jój...

Śliczna jój twarzyczka zarumieniła się, a oczy niespokojne poczęły biegać po salonie. Dumont przypatrywała się jój z nadzwyczajną ciekawością.

— Od ciebie, widzę, że się nic nie dowiem — dorzuciła przybyła pani — jest twój mąż w domu?

— Sądzę, że musi być — odpowiedziała Brühlowa, która powoli do swojej roboty wracała.

— O! i mnóstwo ma gości... — wtrąciła Dumont — szczególnie dziś zajazd wielki od rana...

Sołłohubowa klasnęła w białe rączki.

— Widzisz... u niego narady być muszą... W Warszawie wszystko wre... Dać się zwyciężyć *famili*... a! toby było największe nieszczęście... my musimy nie tylko się obronić... ale ich pokonać...

— Wystaw sobie — mówiła dalej zwracając się do cześnikowej, która jedwab nawlekała — wystaw sobie... mają żal, urazę, chcą się pomścić na starym Brühl... co za niegodny środek, aby wymierzyć cios na syna! Nie prawdaż, moja droga? to szkaradne, to obrzydliwe... Co cześnik winien?

— Lecz czyż co zagraża mężowi mojemu? — podnosząc oczy nieco zaniepokojona odezwała się Brühlowa.

— Zagroża mu skandal publiczny... chcą na sejmie zarzucić, że szlachcicem nie jest i posłem nie ma prawa być... Ponieważ z obu stron wysilenie wielkie, mój powiada, że do walki w izbie i do krwi rozlewu przyjść może...

Brühlowa rzuciła robotę trochę przelekła.

— Możeż to być?

— Wszyscy ręczą... zewsząd groźby lecą...

To mówiąc pani Sołłohubowa łamała ręce, a nie mogąc z niepokoju usiedzieć na miejscu, zerwała się z krzesła i poczęła żywo przechadzać się po saloniku.

Naprzeciwno w pokojach cześnika żywsze spory i rozmowy się toczyły o tym samym przedmiocie, chociaż Brühl mały brał w nich udział, gdy Godziemba, który miał rozkaz oznajmowania, jak skoroby pani Sołłohubowa przybyła, i wiedział jaką tém hrabiemu uczyni przyjemność, wbiegł szepnąć mu na ucho... o miłym gościu.

Brühl, który dość obojętnie słuchał narady, przeprosił przytomnych i wbiegł do salonu żony. Zaledwie go ujrawszy, Sołłohubowa śpiesznie posunęła się ku niemu.

— Mój hrabio — zawołała — przyjeżdżam oburzona... wzruszona, dowiedzieć się o was... Słyszeliście, co w mieście mówią?

Cześnik się uśmiechnął obojętnie dosyć.

— A wiem — rzekł — ale na to, na co nie ma ratunku, zwykłem czekać spokojnie. Napadnięci..

cóż — bronić się będziemy? co wypadnie... przyjmę stoicznie.

— Przecież nie złego wypaść nie może, nie powinno? przecież i my jakąś siłę mamy? *Familia* całego kraju nie pożarła i nie przywłaszczyła sobie.

Spojrzała nań zaognionemi oczyma. Cześnik też patrzył na nią jak w tęczę, ale zdawało się, że blask jęj oczu więcej go zajmował nad przedmiot rozmowy.

— Kochana kuzynko — odezwał się wreszcie — muszę ci to powiedzieć otwarcie! uwolń mnie od mówienia o tój nieszczęsnej tak zwanój polityce, przynajmniej tam, gdzie ty z sobą przynosisz młodość, wdzięk, uśmiech i gdy człowiek radby zapomnieć o tój poczwarze, która życie nasze pożera i krew wysysa.

Sołłohubowa ruszyła ramionami.

— Ale ja, jak wy, mój cześniku, przeklinam zarówno nieszczęsne te swary, nie cierpię tych kał — coż, gdy dziś o was chodzi! Nie polityka mi w głowie, ale się lękam.

Tu się zarumieniła, Brühl ją wziął za rękę, uklonił się grzecznie i rzekł z uśmiechem.

— Proszę się uspokoić, — dziękuję wam serdecznie, ale — nie mówmy o tém... Wszystkie siwe głowy i poważni mężowie już się tém zajmują — co się mnie tyczy, ja w ich rękach jestem bierném narzędziem i zupełnie spokojnie na to patrzę. Mało mnie to obchodzi. To wszystko, życie tylko psuje.

— Niestety! — odezwała się Sołłohubowa — lecz właśnie dla tego, że wy to sobie lekceważycie, oni na was wymierzają ciosy.

Brühl z lekceważeniem potrząsł głową.

— Mam powody — rzekł — sądzić, iż choć za-
wzięci, wielkiej mi krzywdy nie uczynią. Z księciem
Adamem byłem zawsze dobrze.

— On téż się nie podejmie téj roli — odezwała
się Sołłohubowa — ale stolnik litewski, którego oni
tak samo pono jak minister was, za narządzie użyją
i naprzód popchną.

— Ten osobiście nie był mi także nieprzy-
jaznym...

— Cóż to znaczy? w polityce i bracia się rzu-
cają na siebie. Wszak hetman żonaty z Poniatow-
ską, a z *familią* nie trzyma.

Na twarzy Brühla odmalował się wyraźny wstręt
do dalszój rozmowy. Westchnął.

— Szczególne to przeznaczenie, które właśnie
tych stawia na scenie, co najmniej do niej ochoty
mają i zdolności. Zdaje mi się, że stolnik także
wolałby się zabawiać czem inném, lubi literaturę
i sztukę, ma wiele talentów... a pchają go tam
gdzie ich wcale użyć nie będzie miał zręczności...
Ainsi vole monde!

Pani Sołłohubowa uspokojona tym pozornym
pokojem Brühla, nie odpowiedziała nic i usiadła
przy jego żonie... Cześnik poszeptawszy kilka słów,

wskazał na drzwi prowadzące do jego salonu, gdzie nań czekano i wyszedł prędko.

Tam gorącą toczono rozmowę...

Szło o obliczenie sił swoich... o strategię sejmową, o obrachowanie jak przeciwnicy uderzą... Stary Brühl nie był tak spokojny, jakby mógł być, znakomite siły mając za sobą. Wiedział wprawdzie, że tak lub inaczej zwyciężyć musi, lecz skandalowi który wywołać chciano, niepodobna było zapobiedz. Nie szło tak dalece Brühlowi o ten pozór szlachectwa polskiego, które uzyskali za radą i z pomocą *famili*i — ale o wrażenie, jakie na szlachcie uczynić miało samo zadanie nieszlachectwa! Nie było cięższej obrazy dla obywatela ówczesnej Rzeczypospolitej szlacheckiej, nad zaprzeczenie mu tego tytułu. Układano się więc z *familią*, która w rękę mając broń taką, stawiała warunki niemożliwe; chciała, aby dla niej rzeczy niewykonalne, na pół już dokonane inaczej, odwołano i zmieniono.

Na teraz już szło o województwo wileńskie dla Radziwiłła, przyręczone mu uroczyście, o którym kraj cały wiedział, lecz na które przywilej jeszcze podpisany i przypieczętowany nie był.

Radziwiłł tymczasem, którego dotąd panem miecznikiem zwano, właśnie do Warszawy przybył. Opowiadano w Młocinach, że więcej pięciuset szlachty przyprowadził z sobą, że między innemi wieziono za nim cztery niedźwiedzie litewskie do zaprzęgu nawykłe, które w małą karetkę zakładano...

Niemi nowy wojewoda miał się popisywać w stolicy. Cuda téż prawiono o charakterze, wesołości, bucie i bogactwach tego najbogatszego pana Rzeczypospolitéj i o nadzwyczajnéj odwadze jego i fantazyi...

Jeszcze Szymanowski o tém szeroko się rozwodził, gdy na dziedzińcu gwar posłyszano... Stolnik ciechanowski wyjrzał oknem i krzyknął:

— O wilku mowa, a wilk za płotem... Otóż i on!...

Rzucili się wszyscy do okna, a Brühl naprzeciw, aby tego znakomitego powitać gościa.

Zataczała się przed ganek karetą paradna, złocista, która żadnej z królewskich nie ustępowała, sześciu końmi tarantowatemi zaprzężona, u chomątów w tygrysie skóry przybranych, kapalo złoto z uprząży... Przodem jechało dwóch dworzan czarno ubranych, bo dwór był w żałobie. Za kareta postępowała druga i trzecia wioząca towarzyszków i przyjaciół księcia... Za niemi konno kilkunastu z milicyi zbrojnych i paradnie przystrojonych. Brühl stał w ganku, gdy z powozu wysiadł podtrzymywany przez służbę dorodną, piękny mężczyzna w sile wieku, czarno téż ubrany, ale nader wspaniale i smakownie. Na głowie kołpak miał z czarnych soboli, którego kita przypięta była doń czarnym, téż ogromnéj wielkości i blasku dyamentem... Twarz była wyrazu dziwnego, pełna życia, powagi choć nie bez ironii skrytéj — oczy bystre, usta ru-

chawe, i coraz nowy charakter obliczu nadające, naprzemian surowy, obojętny — szyderski i żartobliwy...

Zobaczywszy Brühla, którego się raczej domyślił niż poznał, Radziwiłł kołpak uniósł do góry...

— Mnie wielce miłościwemu panu a bratu, submituje się wojewoda wileński...

Podał rękę, którą Brühl ścisnął, kłaniając się i dziękując za uczyniony honor, poczem księżę przedstawił Wołodkowicza, Rejtana, i cały dwór z nim przybyły — a cześnik zaprosił do sali, gdzie już kobiety niezmiernie zaciekawione przybycia wojewody oczekiwały. Cześnikowa nawet roboty schowała... Mężczyźni dotąd osobno naradzający się, przeszli do kobiet, aby się księciu przedstawić.

Radziwiłł raźnie i śmiało wszedł na pokoje... kobietom się skłonił, ichmościom przybyłym także, podano krzesło, usiadł. Rozpocząć rozmowę zdawało się rzeczą przy paniach nader trudną, boć o polityce przy pierwszém słowie mówić nie wypadało...

Cześnikowa, acz z nieśmiałością, spytała wojewody, czy po raz pierwszy był w stolicy?

— A! nie — odrzekł Radziwiłł — jużem ją miał szczęście oglądać przed laty, ale ja mój Nieśwież wolę... Obrócił się do Brühla. — A pan cześnik pewnie Drezno?

Brühl potrząsł głową.

— Wprawdzie tam się urodziłem, lecz przybrawszy sobie Rzeczpospolitą za matkę, tu się czuję jak w domu.

— Król JMć pono tęskni do puszczy swoich — odezwał się książę — ja mu tu trochę drobną zwierzynę przysłałem... ale to tak jak na próbę. Gdyby mnie zaszczycił swą bytnością w Nieświeżu... panie kochanku (po raz pierwszy mu się znane jego przysłowie wyrwało) — dostawiłbym pod strzał — no-sorożca.

Uśmiechnęli się niektórzy... Dla Radziwiłła nie było niepodobnego.

— Teraz — odezwał się — kopią u mnie właśnie maleńkie morze w Albie, myślę sobie krokodyłów parę sprowadzić na rozplódek, abyśmy w tém upośledzeni nie byli...

Nic nikt nie odpowiadał... kobiety spoglądały po sobie...

— Waćpan, panie cześniku, bardzo tu przyjemnie mieszkasz w Młocinach... pod oknami Wisła płynie, mógłbyś sobie flotę zbudować i z nią do Puław zawinąć, aby je zbombardować.

To już była przygrywka do *familii* i spraw publicznych.

Brühl przerwał, dowodząc, że kapryśna Wisła, która na wiosnę wylewała, w lecie czasem niemal bywa suchą...

Pani Sołłohubowa, której mąż jako z Radziwiłłówny urodzony, księciu był znajomy dobrze

i pokrewny, wyręczając gospodynię, milczącą i wylekłą, odezwała się słów kilka. Próbowala Dumont też wmięszać się do rozmowy, ale téj książkę nie odpowiedział — jak później tłumaczył — nie będąc pewnym czy szlachcianka. Rozmowa widocznie utrudniona przytomnością kobiet, szła jak po grudzie. Sołłohub przytomny — podszeptał — że możeby dla pomówienia poufnie na ustęp odejść wypadalo. — Chwycił się tego książkę chętnie, damy mrucząc i kłaniając się pożegnał, i wiedziony przez gospodarza, udał się z nim do biblioteki, gdyż salonik Brühla był za ciasny.

Cześnik, który książki lubił wielce i przesiadywał chętnie z niemi, tę swą ulubioną siedzibę bardzo sobie ładnie przystroił... W pięknych szafach z bronzami stały dokoła księgi, a na szafach popiersia marmurowe filozofów i pisarzy.

Kilka portretów Mengs'a, kilka wdzięcznych pastelów, przyozdabiały ściany, nade drzwiami były śliczne krajobrazy wyobrażające okolice stolicy saskiej. W pośrodku stół i razem biuro przepyszne, okryte było pamiątkami i mniejszemi dziełami sztuki...

Radziwiłł się obejrzał po salce i siadł w podaném krześle.

Posłano już po wino, owoce, konfekty... aby zdrowie wojewody wypić — który w dosyć dobrym zaczął być humorze.

— Pieścidelko ten pałacyk w Młocinach, — rzekł do Brühla — ale to takie male, że go do kieszeni możnaby schować.

— Zwłaszcza do takiej jak WKs. Mości, — odparł Brühl.

Radziwiłł się uśmiechnął.

— Pókim był miecznikiem — odezwał się — kieszeń miałem dostatnią; ale gdym z łaski J. K. Mości został wojewodą — okaże się ona za małą. Bo my, panie kochanku, w archiwach przywileje całej Litwy chowamy, a do kieszeni też musimy wszystką ubogą bracie naszą dopuszczać.

— Tandem — zagaił Sołłohub — mówmy, Mości książę de publicis.

— A cóż o nich, panie kochanku gadać? — zapytał Radziwiłł spokojnie. Przyprowadziłem z sobą cztery niedźwiedzie i pięćset szlachty. No — niedźwiedzi do sejmu nie puszcza — ale moje szable gdy się tam znajdują — zrobią porządek — panie kochanku — i kwita.

— Tylko że to — przerwał grzecznie Brühl — pod boki króla i w sejmie broni się użyć nie godzi...

— To warunkowa rzecz, panie kochanku — sapnął wojewoda — dopóki się do czupryny nie dobierają — wara; ale gdy mi kto palce zechce do fizyognomii zbliżyć — nie moja wina, że bronić się będę musiał.

Parsknęli Wołodkowicz i towarzysze księcia.

— Mojem zdaniem — dodał wojewoda — mojem zdaniem panie kochanku — na nos sobie *familii* siadać nie dopuszczę... Poszanują oni prawa, my ich nie zgwałcimy... robią burdę, odeprzemy ją jak szlachcie przystało. Co to — panie kochanku, wojna na języki! ja tego nie rozumiem; albo się całować... albo się rznąć i kwita...

Wszyscy milczeli, książę się obejrzał.

— Ja — dokończył — do rady nie na wiele się przydam — ale do roboty służę... panie kochanku. W taniec pójde z ochotą.

To mówiąc rękę do Brühla wyciągnął. Proszę acana dobrodzieja, panie hrabio — abyś na mnie rachował jak na Zawiszę. My z Zawiszami jesteśmy w pokrewieństwie. Z kim dobrze to choć w piekło, z kim źle, i do nieba nie pójdziemy panie kochanku, byśmy szli z kielichami do dam... Kto mnie kocha, ten mnie naśladować będzie! Respekt dla kobiet! panie kochanku.

Ujawszy kielich w dłoń, książę rękę z kołpakiem oparłszy na karabeli, z wielką powagą, majestatycznie, z twarzą wyjaśnioną i wesołą, wtoczył się do salonu, gdzie się go panie wcale nie spodziewały. Był w humorze przedziwnym jak rzadko. Cześnikowa przełęknięta widząc, że ku niej cały tłum ciągnie, domyślając się grzeczności, wstała... W tém Radziwiłł do swoich się obrócił, jakby komenderował:

— Zdrowie dam, pani cześnikowej dobrodziejki, nie inaczej, jak na kolanach...

I bardzo zręcznie ukląkł, kielich podnosząc do góry z fantazyą wielką, potem do ust go przyłożył i duszkiem wychylił — nakazując, że kropli nie zostawił. Zarumieniona Brühlowa dziękowała... okrzyk się dał słyszeć... Biednej Sołłohubowej rumieńce na twarz wytrysły. Cała ta scena dla osób do spokoju nawykłych, nadto była huczną i niemal przykrą...

Szczęściem trwała niedługo, bo książę rękę gospodyni ucałowawszy, cofnął się razem ze swymi do biblioteki. Tu wnosić zaczęto inne toasty z kolei. Cześnik i nienawykły do nich, i nie pijący wina, w imię gościnności i dla przypodobania się sprzymierzeńcowi pić jednak musiał... Książę coraz w lepszy humor wpadał i usta mu się rozwiązały.

— Ja odwiedziłem acindzieja, panie hrabio — w Młocinach — rzekł — a za to pretenduję, abyś mnie w moim Nieświeżu zaszczycił bytnością swoją... Lubisz muzykę, ja mam też kapelę i sam gram; lubisz widzieć skryptury i książki, których ja niewielkim jestem amatorem, i to u mnie znajdziesz — a — co lepsza, panie kochanku, serce otwarte i szczere, na które rachować możesz...

Brühl dziękował...

— Tymczasem zaś, panie cześniku, panie kochanku, z *familii* sobie drwij — nie ona nam nie zrobi... Będziemy się razem trzymali, i pana stolnika,

owego Francuzika, eleganta o krótkich nóżkach, w Kamysz zapędzimy...

Rozśmieli się wszyscy...

— Chybaby Bóg nie łaskaw! dorzucił Sołłohub.

— A dla czego nie ma być łaskaw? rzekł książę. Taino mospanie, panie kochanku, wszystko ateuszowe nowomodni, a my starzy Pańscy słudzy... Jeśli ma paść grom, chyba na tę Sodomę i Gomore...

To mówiąc wstał książę i żegnać się zaczęto... Brühl dziękował i przeprowadzał... A że już kobiet nie chciano niepokoić, szli wprost do ganku... przed którym kareta stała w pogotowiu... Uściśnawszy się raz jeszcze, wojewoda na ręku dworzan wniesiony do powozu, siadł, za nim drudzy się poczepiali, i cały orszak z tą samą pompą wyciągnął napowrót z Młocin do Warszawy...

Odetchnęły panie, gdy szum ustał i wojewoda odjechał wreszcie...

Inni też goście za nim poczęli się do miasta wynosić. Narada dłuższa była zbyteczna, gdy książę stanowczo przyrzekł w razie wywołania burdy taką pomoc skuteczną.

Sołłohub jeden, na pół domowym będąc, pozostał. Cześnik znużony rzucił się w krzesło w bibliotece, wsparł na ręku i zadumał...

— No — jak ci się nasz Radziwiłł podobał? zapytał generałowicz...

— Zdaje mi się, że ani on mnie, ani ja jego nie zrozumieć dobrze nigdy — szepnął Brühl; — nie sposób byś tego nie czuł i nie widział, że myśmy istoty dwóch różnych zupełnie światów, tak na przykład jak ptak i ryba... W swoim rodzaju jest on pewnie znakomitym tworem bożym...ale...

Tu ruszył ramionami...

— Ale ty bo, szlachcicu polski — odezwał się Sołłohub — chociaż duszą i sercem nasz, nie stworzony jesteś do naszego życia... Myśmy z wieków jak salamandry do ognia przywykli i zimno nam bez niego, naszym żywiołem walka, ruch — niepokój...

— Tak — a ja pokoju pragnę! dokończył Brühl — masz słuszność. Wy polityką się karmicie i ona wam idzie na zdrowie; ja jej nienawidzę. Wy się brzydzicie papierem, jako rzeczą martwą; dla mnie on jest ekstraktem życia, na którym się zbiera co ono ma najlepszego... Tak mój Jasiu! niestety — przybrane dziecko wasze... na nic się wam nie przydam. Nie wart was jestem...

— Ale ba! — odparł w prostocie ducha generałowicz — tyś pewnie od nas więcej wart, ale do czego innego... Na sejmiku — ja *simplex servus Dei* ciebie przepiszę... a na dowcip z tobą o lepszą nie pójdę.

— Dajmyż temu pokój, zawołał Brühl, i mówmy razem o czémś, co by tą kuchnią życia nie cuchnęło.

Sołłohub się do niego przysunął poufale.

— Właśnie ja miałem prośbę do ciebie, zupełnie osobistą...

Cześnik się żywo poruszył i chwycił go za rękę.

— Mów — co? — służę ci...

Generałowicz myślał trochę.

— Pamiętasz, rzekł, gdyś zakochany jak... szaleniec... prosił cię o pomoc i swatostwo do mojej Maryni... Dobijałem się o jej rękę, mogę powiedzieć w pocie czoła — nie szczędząc nic, aż do ostatniego upokorzenia... Dobiłem się tego, czego pragnąłem...

Sołłohub zaciął się i dodał ciszej:

— Nie jestem szczęśliwy...

Spojrzeli sobie w oczy. Brühl był widocznie zmieszany.

— Przypomnijże sobie — odezwał się, co ja ci naówczas mówiłem — com radził i co ty mi odpowiadałeś na to... Kazałem ci się starać o jej serce — ty mi zaręczałeś, że je uwielbieniem i miłością pozyszczesz...

— Takem postępował jak obiecywałem, ciągnął dalej Sołłohub — na kolanach przed nią, niewolnik, sługa, wielbiciel... Ale to serce kamienne... od ślubu na krok się nie posunąłem dalej. Jest dobrą, jest łagodną — ale ona mnie nie kocha...

Załamął ręce — i począł biegać po bibliotece...

— Tak, ona mnie nie kocha... Próżnobyć się łudził — rękę jej mam, serca nie... Powiedz mi — co począć!

— Na to w istocie żaden najlepszy przyjaciel nie pomoże i nie poradzi — mówił Brühl. Mnie się jednak zdaje, że ci się przywiduje. Twojej gorącej miłości jej spokojna przyjaźń nie starczy... Wymagasz po niej jakichś zapałów, które nie są w jej charakterze... To poprostu dziwactwo...

Rozmowa długimi przestankami przerywana ciągnęła się dalej. Generałowicz chodził smutny, zaczynał coś mówić, wahał się i nie kończył. Brühl jakby go to niezmiernie nużyło, pot ocierał z czoła.

— Słuchaj — Brühl — szczerze ci powiem — ona ma do ciebie zaufanie — ona ci wierzy i lubi cię... Proszę cię — ty masz takt, na którym mnie zbywa — powiedz jej to, na co ja sam poskarżyć się przed nią nie umiem i nie mogę...

— Zmiłuj się — jakim prawem?

— Prawem przyjaciela... Jeżeli chcesz nawet... powiedz, że cię o to prosiłem. — Chwycił za rękę: — Uczyń to dla mnie.

Cześnik stał jak martwy, patrząc w okno, z boleścią jakąś na twarzy...

— Chodźmy do salonu — rzekł Sołłohub żywo — ja z cześnikową rozmawiając, odprowadzę do oranżeryi... zostawię was samych... Mów, mów z nią otwarcie...

Brühl nie odpowiedział nic, ale żywy zawsze generałowicz ujął go pod rękę i opierającego się nieco, gwałtem niemal pociągnął za sobą.

Dwie panie i ciekawa Dumont, siedziały rozmawiając jeszcze o księciu Radziwille. Sołłohub natychmiast zagał rozmowę z cześnikową, którą doskonale zająć umiał, i manewrował tak zręcznie, że ją potrafił razem z Dumont odprowadzić dla oglądania aparatów kościelnych, które robiła...

Chiała iść za nimi, choć nieco ociągając się Sołłohubowa, ale mąż śmiejąc się prosił, aby gospodarza zabawiła. Zostali więc sam na sam, ona w krześle u okna, Brühl stojący w środku pokoju, zamyślony nad trudną missyą swoją. Z politowaniem niejakiem patrzyła nań piękna pani.

— Jakże mam hrabiego zabawiać? czém?

— A, kochana kuzynko — odparł Brühl: jestem dziś do prawdy nie do zabawienia... Potarł ręką czoło. — A właśnie Sołłohub dzień ten wybrał, aby mi dać najcięższe i najśmieszniejsze z poleceń.

— Do kogo?

— Do pani...

Sołłohubowa rzuciła się w krześle i poczęła patrzeć w okno.

— Czy mam spełnić tę missyę?

— Naturalnie — odpowiedziała Marya — przynajmniej, jakakolwiek ona jest, będzie mi osłodzona tém, że ją hrabiemu powierzył...

— Idzie o to — że — że pani go nie kochasz...

— Bardzo dobrze o tém wiedział, gdym za niego szła — bo to słyszał z ust moich, że kochać go nie mogłam. Nie kryłam się z tém wcale...

Zarumieniła się, i spuszczać oczy, mówiła dalej:

— Serce moje nie było wolne... Jestem dla męża powolną, łagodną, osładzam jemu i sobie ciężar tego życia wspólnego — czegoż może wymagać więcej?

— Tego jednego, niestety! czego mu pani dać nie możesz!

Solłohubowa oczy smutne podniosła.

— Powiedz mu to — panie hrabio — tak — nie mogę! Nie mogę! Miłość się nie nakazuje... wymodlić jej nie można — ona jest niewyciężona. Przysięgam mu wiarę, dochowam jej — to wszystko co uczynić mogę...

— Ale on namiętnie w was rozkochany...

— A to mnie zabija i męczy — szybko dodała Marya — żał mi go... czynię sobie wyrzuty...

Cześnik się przeszedł po pokoju...

Solłohubowa wstała... i wyciągnęła dłoń ku niemu...

— Ciężkie jest życie — rzekła — ale są chwile co za męczarnie płacą... Trzeba się poddać konieczności i wlec egzystencję tę do końca... Nie prawdaż? Pozostać sobą... i wierną sercu...

Brühl przyłożył do ust jej rękę... nie mówiąc nic.

— Nic już nie mam do powiedzenia więcej — rzekł po długim przestanku, gdy oczy jej o odpowiedź go pytały. Spełniłem poselstwo... będę się starał go pocieszyć...

— A któż mnie pocieszy? odczwala się nie czekając odpowiedzi i odchodząc do okna Sollohubowa...

Oglądanie aparatów musiało się skończyć, cześnikowa wracała ze swém towarzystwem. Oczy Dumont z za progu już śledziły Brühla i Sollohubową, i znalazły ich w bardzo podejrzaném oddaleniu i obojętności, którą Francuzka wzięła za niezręcznie udaną.

— To dobre — rzekła w duchu — dla Sollohuba i cześnikowej — ale mnie oni nie oszukają... Niewinna para byłaby żywą prowadziła rozmowę, oni udają, że nawet ochoty zbliżyć się nie mają. A ten pocziwy Sollohub, który im sam nastrecza zrzeczność rozmówienia się na osobności... Mężowie wszyscy są tacy — to darmo...

Po chwili generałowicz niecierpliwy z kolei Brühla wyprowadzał do bocznego pokoju.

— Mówiłeś z nią?

— Spełniłem coś żądał...

Uścisnął go: — I cóż? i cóż?

— Mój Jasiu — począł Brühl — nie przynoszę ci innéj pociechy nad tę, że — będzie się starała być jak najlepszą dla ciebie... ale któż sercu czułość nakazać może? — Jest i będzie ci wierną, bo przysięgi dochować każe jój szacunek własny... Zresztą czas... któż wie?

— Tak, czas! gdy oboje kochać nie będziemy mogli — zawołał Sollohub, — natenczas — znośni

sobie będziemy... Cóż robić! Ja już tego nie dożyję — mój Brühl — mnie ta miłość zabije.

— Dla żony?

— Tak, miłość dla żony! Słuchana to rzecz! — ironicznie mówił generałowicz... Śmieszność! bo któż widział kochać się we własnej żonie, i umierać dla tego, że nie jest wzajemną! Temu nikt nie uwierzy. Zazdrosnym być — to co innego — to w naturze — ale kochać się... i czuć, że to w końcu zabije!!

— Unosisz się i pleciesz nie do rzeczy, niecierpliwie przerwał Brühl — ja ci powiem jedno. Kobiety lubią pokorę i rezygnację, bądź dla niej zawsze miłym, grzecznym, nie czynь wymówek... nie gryź jęj niemi... przez litość wrodzoną i dobroć skłoni się ku tobie...

Tu się zatrzymał nieco, jakby mu z ciężkością przychodziło dokończyć co miał na myśli.

— Jedźcie razem... za granicę — odbądźcie podróż dłuższą — to was zbliży...

Sołłohub spojrział badając na niego oczyma zdziwionemi.

— Ty mi to radzisz? ty?

— Dla czego cię to zadziwia?...

Sołłohub rzucił mu się na szyję.

— Ty jesteś szlachetny, poczciwy, zacny... więcej nie powiem nic...

Ale — mój Brühl — ja ją kocham! ja ją kocham tak, tak, że jęj smutku i przykrości uczy-

nićbym nie mógł. A wiem, że podróż ta... nieochybnie przykrąby jój była...

Skończmy na tém... Życie bywa niedługie, gdy je namiętność pożera i pali... Niech ona będzie szczęśliwa — a ja — sam winienem, nie mogę... odpokutuję za szaleństwo.

Na stole w bibliotece stały jeszcze kielichy i wino; Sołłohub nalał sobie największy, i z oczyma załzawionemi, poruszony mocno, ściskając rękę Brühla, desperacko go wychylił.

— Za zdrowie wasze!!

Kielichem stuknął, porwał za kapelusz... nagle.

— Trzeba jechać do Warszawy — bądź zdrów...

Uścisnął go i uciekł...

VI.

Stary hetman Branicki, który się nie łatwo ruszał z Białegostoku, gdzie królewskim niemal żył dworem, a rezydencję tę, jak wiadomo, powszechnie dla jej wspaniałości Wersalem polskim zwano, — nie byłby zapewne i na ten sejm ściągnął, gdyby się on burzliwszym nie zapowiadał od innych...

Siedmdziesiąt-trzech-letni starzec, choć wyglądał jeszcze świeżo, pańsko, a usiłował być młodszym daleko od swój metryki, niechętnie zjeżdżał do stolicy. Tu, bądź co bądź, majestat królewski i prymasowski zaćmiewał nieco powagę wysoką hetmana, którą Branicki cenił... i umiał ją nosić dostojnie.

Gdy konieczność go zmuszała przenieść się na czas krótki do stolicy, dokonywało się to z takim przepychem i okazałością, aby i w Warszawie ja-

wnie hetmana wielkość biła w oczy, odpowiadając wysokiemu jego stanowisku w Rzeczypospolitej. Towarzyszyli więc, dla zaciągania warty, owi od złota przyodziani janczarowie hetmańscy, wybór chorągwi pancernych, wojskowy dwór liczny, kancelarye i sekretarze, dworzanie i cała czereda niezbędnych dla Branickiego rezydentów, w których wesołym towarzystwie nawykł spędzać długie u stołu godziny... Szły furgony z kuchniami i kucharzami francuzkimi, jechali szatni, kamerdynerowie, pazie, dworacy, hajduki, pajuki i najrozmaitsza gawiedź, której sama liczba już dworowi blasku przyczyniała.

Jak w Wersalu owym tak tu, przyjęcia były etykietalne, monarchiczne niemal, stoły otwarte, a klienci domu i słudzy pana hetmana stawieć się musieli i dosiadywać na rozkazy...

Jeszcze August III siedział na tronie znużony, a już następstwo po nim obudzało antagonizmy i jawne współubieganie. Nie tajni byli nikomu kandydaci, chociaż jawnie się nie oświadczały z zamiarami swojemi. Partye różne wskazywały ich zawczasu. Przyjaciele *Familii* nie wątpili, że się im uda z pomocą Rossyi na tron wprowadzić jednego z jej członków, chociaż nikt naówczas nie odgadywał może właśnie tego, który tron miał posiąść. Na Rusi wszechwładztwo wojewody kijowskiego i bogactwa jego, dozwalały mu marzyć także o koronie, choć się jeszcze do tego nie przyznawał. Naostatek pan hetman, popierany przez Francję,

sądził, iż samą dostojnością, jaką piastował, wyboru mógł być najbliższym i najpewniejszym. Mając pod dowództwem swém całą siłę zbrojną Rzeczypospolitej, mógł jęj do pewnego stopnia użyć do poparcia swoich widoków. Ostatni z rodu, bezpotomny, myślał zapewne, że i to mu wstęp do tronu ułatwić może, uchylając obawy o dynastję i spadkowe było wielkie przyjęcie na pokojach. Obiad w szczuplejszém gronie i assamble wieczorem, na które kobiety były proszone.

Z rana, co żyło dostojniejszego, przybyło z czolobitnością. Hetman, jakby odmłodzony, ze świeżą i promieniającą twarzą, z obliczem zawsze jeszcze piękném, strojny wytwornie, otoczony adjutantami w świetnych mundurach, dworem swoim i domownikami, po kolei witał przybywających z różnych obozów, nie dając poznać, aby któremukolwiek z nich dawał pierwszeństwo. Wiedziano dobrze, iż nie szedł po prawa.

Pomimo swęj powagi i wielkiém towarzyskiém wykształceniem okrytęj dumy, w panu hetmanie znać było dawnego francuzkiego muszkietera i dworaka. Obyczaj francuzki łączył się w nim z powierzchownością zupełnie polską, miłą i ujmującą. Hetman, jako wesoły biesiadnik nie miał sobie równego, a obiady białostockie, przy których końcu zapomnieć było można, iż gospodarzem był pierwszy dygnitarz Rzeczypospolityj — słynęły z wykwintności zarówno, dobrego tonu i wesołości,

jaka je ożywiała. Pod koniec zwykle pani hetmanowa odchodziła z kobietami, a mężczyźni zabawiali się rozmową o polityce, o Francyi, w ostatku o pięknościach i awanturkach miłosnych, o których Branicki już teraz choćby pogawędzić lubił. Dawniej nieco Wersal słynał z takiego *Parc aux cerfs*, jak Paryż, a dwór niewieści hetmana, niemniej liczny od męskiego, przezywano złośliwie jego serajem. Stary Gryf, którym młoda pana Izabella Poniatowska, mająca zapanować nad nim, owładnąć nie potrafiła — patrzył prawie obojętnie na nadskakującego jój generała Mokronowskiego, który był najlepszym pana i pani przyjacielem... Małżeństwo było w najpiękniejszej zgodzie, we wzajemném poszanowaniu, lecz hetman wołał weselsze twarzyczki, a pani Izabella nie życzyła sobie z niemi dzielić serca: którego wyrzec się wołała. Pożycie wielce etykietalne, pełne dowodów szacunku z obu stron, nie dziwiło i nie raziło nikogo, chociaż węzeł serdeczny dawno go już nie łączył.

Umysł hetmana zarówno jak zdrowie, już pod ten czas ucierpiał wiele, skutkiem wieku i życia, które się wyczerpywało nad miarę. Sama młodość już je mocno nadszarpnęła... Stół i kobiety, których hetman długo się wyrzec nie umiał, przyprowadziły go do tego stanu zubożenia jakiegoś, z którego chyba gwałtowne wrażenie, lub wypadek wywieść go potrafiły. Powszednich dui całą swą działalność zdawał na ulubionego Mokronowskiego,

który był prawą ręką, przyjacielem, zastępcą, który za niego myślał, działał, decydował, a umiał tak dobrze wnikać w myśli i usposobienia starego, że nigdy nie znalazł w nim sprzeciwieństwa ani oporu.

Branicki wdzięczny mu był za to, że go od wielu trosk i zachodów uwalniał, że go we wszystkiém zastępował, i wcielił się niejako w jego idee i pragnienia.

Mokronowski kierował polityką hetmana, nim samym i jego postępowaniem, zawsze szczęśliwie i trafnie, tak, że trudno było wyrzec, kto tu kim kierował i kto komu był posłuszny.

Polityczne pojęcia różniły *Familię* od hetmana, starano się go sobie zyskać. Branicki pozostawał na stronie i wciągnąć się nie dawał. Stosunki były przyzwoite na oko, zimne w istocie — podejrzewano się wzajemnie, ale odwiedzano często, starając się ze zbliżenia wyciągnąć tę korzyść, aby się zręcznie wybadać. Hetman zresztą nie stronił od nikogo, z nikim nie zrywał i z wysokości dostojenstwa na równi wszystkich przyjmował, Brühla i księcia kanclerza, Radziwiłła i Ogińskiego. Dnia tego właśnie słuszny w tropy *Familii*, że oświadczał się z respektem dla króla i ministra — lecz wypadało mu ignorować tych, którzy w przeciwnym chcieli iść kierunku.

Miedzy odwiedzającymi, jednym z pierwszych był wojewoda ruski książę August, który z wesołą twarzą wszedł na pokoje, z pańską postawą, a nieco

szyderskim wyrazem... Na pierwszy rzut oka poznać w nim było można i potomka wielkiej rodziny, i człowieka należącego wychowaniem do najpierwszego towarzystwa. Nie było uniżoności w jego przywitaniu ani uszanowania zbytniego, hetmana za równego sobie uważał i poznać mu to dawał. Powitał go nieco zimno, a chłodniej jeszcze Mokronowskiego, jakby mu zawsze w sukurs był przyjść gotów. Rzuciwszy okiem po przytomnych, z niechcenia zapytał: — Jak hetman odbył podróż w czas tak brzydki? — niepotrzebnie, lub złośliwie przypominając mu podeszły wiek jego...

Branicki umyślnie poznać nie dał, że go to obeszło, wyprostował się tylko, i piękną, białą ręką powiodłszy po czole — odparł:

— Niestety! mości księżę — wiek kazałby mi się już z Białegostoku nie ruszać, ale ja należę do tego starego plemienia, co do ośmdziesiątki na koniu harcowało, i powiem ci, że mój wiek mi nie ciąży. Jeszczebym niejednego młodszego przesadził.

— Jak na hetmana przystało — dodał księżę August — bo nie od czegoż nim jesteście...

— Cóż u was tu słyszać w Warszawie? spytał Branicki, odprowadzając nieco na stronę...

— Nic tak dalece nowego: to, czego się było zawsze można spodziewać. Król przybity i sprawą kurlandzką i tą wojną, która mu jego kraje dziecinnie zagarnęła... a substytucji pana gospodaruja u nas, wedle swego widzi-mi się.

Zmilczał Branicki chwilę.

— Juściż nie bez woli i wiedzy króla — odezwał się obojętnie.

— Król... nie ma ani woli — ani wiedzy, odparł wojewoda...

Oba zamilkli znów. Książę August głowę podniósł dumnie do góry... i szepnął:

— Ha — ale jakoś to będzie...

Hetman zimno dołożył:

— I ja tak sędzę... należałoby się tym, których opinie się różnią, zbliżyć — rozmówić — porozumieć... a kompromis mógłby przyjść do skutku...

— Czy pan hetman mówi to z natchnienia własnego — czy...?

— O! własnego! własnego! — pośpiesznie rzekł stary... ja stoję na boku i w niczyjém imieniu mówić nie mam prawa, a na oku tylko dobro publiczne trzymam.

— Jak my wszyscy, rzekł wojewoda — extra intruzów — co się mieszają do spraw naszych, żadnego do tego nie mając prawa...

Branicki popatrzył na mówiącego.

— Ha — odezwał się — to вина tych co intruzom — *s'il y en a*, — szeroką wystali drogę sami...

Wojewoda trochę się zżymnął...

— Jakże zdrowie hrabiny Izabelli? — zapytał z przyciskiem zwracając rozmowę.

— Dziękuję, kwitnie jak róża — rzekł hetman — zobaczycie ją wieczorem, jeśli zechcecie...

— A jakże — odparł książę i rękawiczki nakładając dał znak, że chce pożegnać — nie wstrzymywał go też pan hetman, i odprowadziwszy kn progowi, zawrócił się do swojego towarzystwa... Wchodzili witając inni... a twarz starego gotowa zawsze do uśmiechu, witała ich wesoło. Mokronowski pomagał do nużącój téj rozmowy, w której każdemu coś powiedzieć było potrzeba — choć mówić nie było o czém. Powtarzały się też jedno niemal pytania i odpowiedzi. Zajechał książę wojewoda wileński z orszakiem, który tu wśród tego małego Wersalu dziko się nieco wydawał... Hetman był dlań niezmiernie grzeczny, ale zarazem bardzo zimny. Radziwiłł ze swą rnbasznością umyślną — raził tych wykwintnisiów nieco zdudzoziemczących... Głos jego, dykcya, śmiech rozlegający się szeroko, miny zawiesiste orszaku, pełnego buty i jakby wyzywającego — nie mogły się tu podobać, témbardziej, że książę Karol ile się razy spotykał z przesadną elegancją mowy i postawy, zawsze jeszcze przesadniej bywał gburowatym. Można było być pewnym, że gdzie mu perfumy miały zapachnieć tam on z sobą dziegeć przyniesie.

Za Radziwiłłem zjawili się Rzewuscy, Lubomirscy, Potoccy... i niezliczone tłumy szlachty różnych ziem, przybywające witać pana hetmana, któ-

ry widocznie frekwencją tą wielką przyjemnie był połączany.

Nikt tu gorących spraw nie wyprowadzał na jaw — zaledwie przemówiono gdzieś o wyborach posłów, zdając sprawę z ich wypadku. Nie wszędzie one poszły po myśli partyi dworskiej, *Familia* umiała około nich chodzić pilnie i nie małą garść swoich wiodła, a tych, któremi pan Żudra miał kierować, pewna była, że dwa razy większą liczbę przekrzyczą...

Około południa skończyły się wreszcie przyjęcia — i hetman mógł spocząć przed obiadem nieco... tego dnia zaprosił ledwo kilku poufanych. Obiad był jedną z ważnych chwil w domu pańskim, bo hetman jeść wykwinie lubił i potrzebował być przy nim swobodnym. Wyszła i pani hetmanowa, którą mąż z galanterią i czułością wielką powitał, sadzając na pierwszym miejscu; — jedna z siostrzenic jej towarzyszyła... Kuchnia była francuzka, a że pora dozwalała, zaczęto od ostryg przywiezionych pocztą, na które się wszyscy chciwie rzucili. Nie było tu téj profuzji jadła, jaka w innych domach polską kuchnię znamionowała, ale wykwinął największy, i hetman z oprawnéj w srebro tabliczki, którą przed sobą trzymał, oznajmował każde danie, tłómacząc szczególne jego zalety i własności... Hrabina, choć się nie zdawała do tego osobliwéj przywiązywać wagi, jadła jednak ze smakiem, niekiedy piękne oczy, przymrużone nieco, zwracając

nieznacznie na Mokronowskiego, który skinienie jęj odgadywać się zdawał...

U stołu hetmana nie lano też wina jednego od początku do końca obiadu gościom... był pewny system w rozkładzie napoju i podawaniu go po różnych potrawach. Burgund był podstawą, szampańskie już naówczas wchodzące w użycie zabawą, a stary węgryzn naprawą... W miarę jak obiad się rozwijał rozbudzając życie, i hetman i jego towarzystwo, rzuciwszy rozmowy poważne — zaczęli dowcipować i bawić się miejskimi plotkami. Lecz dopóki pani hetmanowa z siostrzenicą była u stołu, miano niejaki wzgląd na damy — szeptano cicho i ostrożnie. Dopiero gdy mężczyźni zostali sami, a hetman z resztą kieliszków przeniósł się do gabinetu, gdzie żądającym fajki tureckie na długich podano cybuchach, rozwiązały się usta.

Od dawna na dworze hetmana zostający niegdyś także muszkieter francuzki, dziś rezydent białostocki, faworyt hrabiego, siwy, ale rzeźwy i ruchawy, z twarzą mocno czerwoną kawaler de Rambonne, odznaczał się dowcipem. Była to chodząca kronika skandalów, wielki znawca kobiecych piękności, rozkosznień, *bel esprit*, i najmilszy w towarzystwie człowiek. Hetman po obiedzie bez niego obejść się nie mógł.

Właśnie coś mówiono o królu, a zarazem o jego poprzedniku Anguście Mocnym, ubolewając, że następcą tak był przybitym, chorym i nieszczęśliwym.

— Wszystkiemu temu winno, — rzekł Rambonne — iż go w kuratelę wzięli i kazali mu być takim niezmiernie cnotliwym... Po nieboszczyku ojcu wziął temperament gorący... i spalił się dochowując wiary nieboszcze królowej Józefinie.

Hetman się rozśmiał.

— Ale czy jesteś tego pewien? — zapytał.

Spojrzone po sobie — uśmiechy po ustach pobiegły.

— Dajmy temu pokój — odezwał się Hetman — są to tajemnice stanu...

— Któraż tu z pań obiecuje się czasu sejmu być piękności królową? — wtrącił Mokronowski.

Rambonne się zamyślił i głowę podniósł do sufitu.

— *Ma foi!* odezwał się, tyle w téj Polsce pięknych twarzy, że wybór trudny... Francya tylko i ten kraj mogą się pochlubić takim wieńcem kwiatów anielskich.

Zaczęto wymieniać młode panie... ktoś nareszcie wspomniał Sołłohubową...

— Prześliczna jest! — zawołał żywo hetman — widziałem ją — podobala mi się bardzo, ma niewysłowny wdzięk w twarzy i oczy pełne dowcipu.

— To téż — rzekł Rambonne — niewylączając męża, najśliczniejsze ma grono adoratorów.

— Jakto, nie wyłączając męża? — zapytał hetman.

— Ha! bo to ten się w nią kocha, jakby się o nią starał jeszcze, a mówią niestety — że — bez wzajemności.

Rozśmiało się kilku...

— Rambonne, żartujesz! — rzekł hetman — mów seryo.

— Mówię najzupełniej seryo... biedny Sollohub szaleje dla żony... a ona...

— A ona?...

— A ona? spytano ciekawie.

— Ona go traktuje jak nudnika... Bo téż nie ma śmieszniejszej rzeczy w świecie, niż zakochany mąż, i kobieta, żeby śmieszną nie być, musi tę fantazyę karcieć.

— Ale może i ona ma jaką fantazyjkę? — spytał hetman...

— Może ją i ma! nie nie wiem — począł Rambonne tajemniczo. Mówią — powiadają — plotą — domyślają się, że młody Brühl...

— A! nie dziwnego, — rzekł Mokronowski chłopak piękny i ma wszystkie przymioty, któremi się podobać można kobiecie... zacząwszy od powierzchowności bardzo miłej.

— Dodajcie, że mu przypodobywać się żona nie przeszkadza — rozśmiało się hetman...

Tak — wtrącił Mokronowski — ta kaszle i ornaty szyje — najlepsza w świecie kobieta — ale dla Brühla...

— Wyszła z dobrej szkoły pani wojewodziny, szepnął hetman: to czysty pułkownik od dragonów...

— Lękam się tylko — dorzucił Rambonne — ażeby Brühl niebezpiecznego nie miał rywala...

— W kim...?

— Nie wiem czy mi się mówić godzi — uśmiechając się rzekł Rambonne.

— Wszystko się godzi... byle było zabawne — dodał hetman; — mów śmiało — kochać się nie jest przecie grzechem śmiertelnym, chyba by kto się kochał w kockodanie...

— Łatwo zgadnąć, kto tu wszystkie kobiety bałamuci... i wzdycha do najpiękniejszych buziaczków mówił Rambonne... Pan stolnik litewski.

Hetman trochę się zmarszczył.

— Ale to smyk, niedoświadczony, gorączka, wietrznik... Tak jak on dziś jest... dla podżytych niewiast *sur le retour*, u których więcej temperamentu niż sentymentu, najlepiej się kwalifikuje... Lecz zkądże wnioski?...

— A! bom na moje oczy patrzył, jak pan stolnik zobaczywszy ją nadzwyczaj był wzruszony, i jakie na nim uczyniła wrażenie. Latał jak oparzony, żeby go zaprezentowano... nie odstąpił jój krokiem, choć dosyć go zimno przyjmowała.

— Ja Stasia znam — szepnął hetman cicho, do bliższych siebie — słomiany to ogień... Go-

tów się kochać we wszystkich kobietach z kolei po kilka godzin... Trzpiot...

— Ale ładny i podobać się może...

Branicki głową postrząsał...

— Tak — ma dowcipu dosyć, wychowanek pani Geoffrim i Williamsa... nie przeczę... Jeśli się to uformuje, ustatkuje... Zdaje się, że mu jakieś sukcesy głowę zawróciły — sądzi się *irresistible* i rzuca czasem zuchwale. Bardzo to jeszcze niewytrawne i młode...

— A! — zawołał Rambonne kręcąc wąsika, który sam jeden jeszcze u niego wydawał się dosyć młodo — a! ofiarowałbym się być niewytrawnym, byle mi kto młodość powrócił, panie hetmanie... Stolnik jest w samym rozkwicie młodości — i dla tego boję się bardzo o biednego Sołłohuba.

— A ja nic a nic — śmiejąc się rzekł hetman — bo pan Stanisław nie będzie miał wytrwałości nawet zakochany. Jutro go inna zbałamuci. Kocha się zawsze najmniej we trzech: jednej, która już go nudzi, drugiej, do której mu się głowa pali, i trzeciej, którą musi mieć w zapasie na wypadek.

Branicki ruszył ramionami, wszyscy się uśmiechali, Rambonne dworując przyklasnął...

— Coś już i ja o tém słyszałem — zamruczał Mokronowski — bo u nas tajemnica się nie uchowa — szczególnie tego rodzaju. Stolnik ma być

tém śmiertelniej zakochany, że Solłohubowa ani chce na niego patrzeć...

— Temu nie wierz — odparł Rambonne — kobieta może odepchnąć — ale żeby jój niemiło było gdy hołdy odbiera... to przeciw naturze...

— Ta Potocka — widzisz — wtrącił hetman — to bo osobliwa kobieta... bardzo seryo, dowcipna, rozumna i wcale nie płocha...

— A młody Brühl? — zapytał Rambonne.

— O! o! gadania — przerwał jeden z towarzysztwa...

Rozmowa swróciła się natychmiast na daleko żywszą i więcej kolorowaną, o tych paniach, o których tylko w towarzystwie męzkim wspominać się godziło i o ich najtajemniejszych wdziękach i przymiotach. Hetman okazywał się niepospolitym znawcą, i mimo siedmiu krzyżyków, o tych boginiach odzywał się z wielkim zapałem...

Tak czas zszedł do godziny assamblów, i powozy już się przed pałac wtaczać zaczynały, gdy hetman wywczasowany, orzeźwiony, rozweselony, wyszedł na pokoje...

Gospodyni przepysznie strojna, i przy świetle wyglądająca jeszcze bardzo świeżo i młodo, już otoczona była kółkiem pań przybyłych i mężczyzn po większej części we frakach i perukach... Co chwila otwierały się drzwi sali, i nowa para lub pojedynczy gość, wchodził pokłonić się pani hetmanowej, gospodarzowi, aby natychmiast wmieszać się

w rosnący tłum i dobrać sobie stosowne towarzystwo... Formowały się grupy gwarzące swobodnie, ale pewne decorum zachowywano teraz, po swobodzie gabinetu odbijające dziwnie. Sam hetman zmienił humor i postawę: tam był wesołym towarzyszem, tu niósł na ramionach dygnitarstwo i czuć je dawał. Kawaler de Rambonne przed chwilą tak poufały, stał w kątku tak pokornie; inni też stawali się jak najmniej sobą miejsca zajmować...

Już grono pań dosyć było liczne i gwar a śmiech się z niego odzywał — gdy Sołłohub wprowadził żonę. Towarzystwo hetmana, po świeżej o niej rozmowie, ciekawo zwróciło oczy na tę piękność całe do innych niepodobną, nie starającą się zalotnością oczu ściągnąć, poważną i prawie smutną. Nadawało jęj to urok szczególny, w owych czasach rzadki... i niepokojący. Zdawała się mówić adoratorom, że jęj są najzupełniej obojętni... Wśród pań też nie starała się zająć stanowiska, coby ją uwydatniło; pokłoniwszy się gospodyni skryła wśród starszych... Mężczyzn więcej daleko przybyło niż kobiet, wielu posłów chciało się okazać na pokojach hetmana, aby zbadać jego usposobienia i odgadnąć instrukcję... Branicki jak z rana tak teraz unikał rozmowy o sprawach publicznych, z widoczną chęcią trzymania się neutralnie...

Salon już był pełen, gdy drzwi się raz jeszcze otworzyły i oczy wszystkich kobiet obróciły ciekawie na wchodzącego młodego, pięknego bardzo

mężczyznę. Na pierwsze spojrzenie widać w nim było wychowanka obcych krajów, któremu szło o to wielce, aby nabyty polor — w całym okazał blasku... Twarz regularnych rysów, biała z oczyma ciemnymi, pełnymi ognia, po której wrażenia przesunwały się jak płomienie, co chwila ją mieniać — uderzała rodzajem wdzięku zalotnego, właściwszego może niewieście niż mężczyźnie... Cała postać zręczna, gibka, wyłamana, ułożona z rozważą i rachubą, wydawała w nim więcej rozmysłu niż uczucia, choć na pozór drgał cały, najmniejsze spojrzenie, słowo przyjmując z drażliwością sensytywy... Strój paryzki najświeższej mody, mógł w młodzieży, zazdrość obudzić... Cały charakter pieszczony był i domyślać się kazał albo maminego jedynaka, lub najulubieńszego beniaminka rodziny, zepsutego uwielbieniami... Przy wnijsciu widać było, iż starał się i miał nadzieję — wielką uczynić sensacyę — był jój pewien... W istocie mężczyźni młodzi przyjęli go nadskakująco, a oczy kobiet ścigały gdy szedł do hetmana... Branicki powitał go dosyć obojętnie i niemal dumnie niż innych.

Był to Stanisław Poniatowski, stolnik litewski, szwagier hetmana, a brat ulubiony gospodyni domu.

Branicki zaledwie się z nim przywitawszy, zaczął do kogo innego mówić, i stolnik zmuszony był po krótkiej chwili oczekiwania udać się do siostry, która tém uprzejmiej przyjmując go, zatrzymała

przy sobie... Poniatowski mówiąc z siostrą, miał czas niezmiernie wdzięcznie pozować... czując na sobie oczy kobiece... Był tu w swoim żywiole... wiedział, że jest admirowanym... i rozpromieniał cały... Gdzie rzucił okiem, uśmiechały mu się usta i oczy... ścigały go wejrzenia...

Przychodził tu już wsławiony z piękności, dowcipu, wdzięku, nauki, rozumu, a rodzeństwo szczególnie podnosiło go na najwyższy szczebel, wskazując jako nienaśladowany wzór dla młodzieży. W istocie pochwały nie były wielce przesadzone, a uwielbienie zasłużoném nazwać było można... Wszystkie przymioty pana stolnika były w oczy i miały tę własność, że świetnie się objawiały... Trudno było zbadać głębokość nauki, oryginalność dowcipu, trafność sądu, ale uderzały strony błyszczące — pan stolnik umiał popisać się z tém co miał, i drugich zagasić. Pamięć niezmierna, przytomność wielka, wprawa w języki wszystkie europejskie, oboznanie z literaturą, czyniły go wyrocznią. Jakże te wszystkie piękne panie nie miały z obawą zwracać oczu na niego, a z chlubą się nie cieszyć, gdy on je na nie obracał? Stolnik obleżony przy pani hetmanowej, uwiązał jak motyl w bukietcie kwiatów. Zdala hetman spoglądał czasem na niego — ale rozpoznać było trudno z jakim uczuciem... Wrywano sobie pana stolnika... Nagle oczy jego padły na skrytą w cieniu panią Solohubową, która jedna prawie nie zwracała nań

uwagi. Siedziała zdala u okna w towarzystwie dwóch dam starszych. Stolnik ze strategią nader zręczną, nie okazując po sobie, że ku niej zinierzał, kołował póty, póki się nie zbliżył, stanął przed nią i powitał.

Odpowiedziano mu bardzo zimno...

Nienawykły był snąć do tego i został w miejscu usiłując zawiązać rozmowę.

— Pani jesteś jak fijołek... ukrywasz się przed swymi wielbicielami — rzekł stolnik...

— Nie mam wielbicieli — krótko odpowiedziała pani Marya.

— Toby dowodziło, że ludzie oczu nie mają — ciągnął dalej grzeczny młodzieniec. Wśród tysięcy pani należy pierwszeństwo.

— Jest to galanterya, którą czuć Paryżem — uśmiechając się rzekła Sołłohubowa — ale pan stolnik pewna jestem, musiałeś już tym komplementem najmniej nas dziesięć obdzielić.

— Przysięgnę pani, że to wyszło z serca i że wzrok jój wydobył... najszczerze to uwielbienie.

Pani Sołłohubowa długo spojrzała nań, od stóp do głowy zdając się rozpatrywać gałanta z obojętnością obrażającą.

— Odpowiedzieć nawet nie umiem — odezwała się pomilczawszy nieco. Jestem bardzo zardzewiała wieśniaczka, nie nawykłam do takich słodyczy...

— Trudno uwierzyć — odparł Poniatowski; prędzej przypuszczam, żeś pani niemi przesyciona,

i tém sobie rodzaj wzgardy jój tłumaczyć. Ale dama jój przymiotów, powinna rozeznaczyć co płynie z tego źródła, z którego wszystkie cześci czerpią się komplementa, a co z serca pochodzi...

Wysłuchawszy tych wyrazów, piękna pani spojrzęła znowu, ziewnęła usta zakrywając wachlarzem i zapytała stolnika o jedną z pań, którą fama naówczas głosiła jako zapalczywego jego cel jedyny...

Poniatowski z uśmiechem źle pokrywającym urazę, odparł, że pani starościny... od dni kilku nie widział.

— Te się panu wiekami wydać musiały — dodała złośliwa pani — i wskazując niezbyt odległą berżerkę... uwiadomiła go, że tam właśnie osoba o której była mowa siedziała...

Stolnik upierał się jeszcze prowadzić rozmowę i błysnąć dowcipem, gdy go hetmanowa zawołała, a pani Sołłohubowa uwolnioną została od natręta. W czasie rozmowy téj właśnie, wszedł był młody Brühl, którego hetman powitał uprzejmie i zatrzymał chwilę przy sobie. Do wszystkich przymiotów swych cześnik koronny, łączył przy swobodzie wielkiej, skromność pewną, która mu serca jednała. Znać było, że nie chciał się popisywać z niczym i zaćmić nikogo, rachując na to, że ludzie rozumni na nim się poznają, a o resztę nie dbając może wiele... Dla hetmana był z poszanowaniem. Brannicki z poufałością przyjacielską się z nim obchodził. Za to pani krakowska, której mimowolnie

wydawał się rywalem jój ukochanego brata — dość zimno przyjęła cześnika... Kobiety spoglądały nań ciekawie, lecz nie z tém zajęciem, jakie w nich, solnik obudzał.

Pomiędzy mężczyznami w salonie Branickiego, gdzie już oba obozy przeciwne były reprezentowane — poznać można było łatwo ludzi co się z sobą spotykać nie chcieli, i nawzajem unikali. Tak Brühl z wielką zręcznością obszedł nie widząc pana stolnika, a Poniatowski równie umiejętnie oczy zawsze obracał, aby się ze wzrokiem cześnika nie spotkały. Inni goście manewrowali także omijając się wzajemnie, umyślną rażeni ślepotą.

Brühl przeszedł tak kilka grupp, wśród których jednych pozdrawiał, drugich widzieć się nie zdawał, gdy zdała spostrzegł Sołłohubową, prawie osamotnioną, która mu znak dała, aby się do niej przybliżył..

— Aleś pan niegrzeczny — rzekła do niego — jakże, czy i mnie, jak wielu innych osób, znać nie chcesz?

— Wymówka niesłuszna, bom kuzynkę pierwszą zobaczył — lecz — nie śmiałem się zbliżyć.

— A! cóż za bojaźliwość młodziuchna?

— Pani mnie powinnaś zrozumieć.

— Domyślać się mogę, ale nie zrozumieć... Była to przesadzona delikatność.

— Wiesz pani, że ludzie mnie posądzają o zbytne dla niej uwielbienie; nie chcę im dawać materiału do plotek...

— A! mój hrabio! czy im go dasz czy nie, oni sobie znajdą sami. Na cóż mamy tracić miłą chwilę — ja szczególnie, która jestem skazana tu na samotną spektatorkę?

— A! przepraszam, przecież przy niej widziałem najświetniejszą gwiazdę młodzieży, pana stolnika...

— Mdły i nudny... a! odparła Solłohubowa. Jest to wielbiciel wszystkich piękności, a ja tych politeistów nie lubię... Siadaj hrabio koło mnie, w tym tłumie można być zupełnie samym...

— Ale tysiące oczu...

— Cóż nas one obchodzą!... Ja — mówiła młoda pani — ja przypatruję się salonowi i gościom co się tu tak w tańcu wymijają, rachując naszych przyjaciół i przeciwników... Lękam się...

— Mnie to nudzi! — rzekł Brühl. — Radbym, żeby zapowiedziany dramat skończył się jak najrychlej... koryta podniosła... i...

— Jabyam wołała, żeby nie było dramatu...

Solłohub nadchodzący przerwał rozmowę, podał rękę Brühlowi — przywitali się, a że miał mu coś do powiedzenia tajemniczego, odciągnął go na chwilę od żony...

Zalewie się to stało, pan stolnik zajął szybko mniejsze opróżnione.

Widział on jak Brühl był przyjęty; z ciemnych oczu jego, a więcéj jeszcze z ust zazdrość tryskała i złośliwość.

— Jużem zrozpaczył, abym miał szczęście raz jeszcze zbliżyć się do pani... a tak pragnąłem... choćby samą przytomnością u jój krzesła dowieść, że pierwszym razem nie wypadkiem się tu znalazłem... Nie wiem tylko, czy mi pani pozwoli zostać... Są szczęśliwi, uprzywilejowani...

— A tak — mój mąż — odezwała się Sollohubowa...

— Jeśli się nie mylę i ktoś drugi.

— Kuzyn mój...

— Zazdroszczę obu...

Marya spoglądała ku mężowi, jakby go wzywała o ratunek. Brühl zwrócił się do jednej z pań bliżej siedzących. Sollohub zrozumiałwszy żonę, podszedł ku niej, ale tak, by mógł, stolnika nie widzieć... Podała mu rękę i wolnym krokiem poszli zmieniając miejsce w głąb salonu...

Odprawa dana Poniatowskiemu była zbyt jawna, ażeby go boleśnie nie dotknęła. Piękność Sollohubowej i jój obojętność drażniły go zarówno: uśmiechnął się jednak i wolnym krokiem udał się ku pięknym paniom, aby sobie nagrodzić nowemi wrażeniami doznana klęskę.

Tu zetknęli się z księciem Adamem, który z dala widać ruchy kuzyna i jego niepowodzenie uważać musiał.

— Niestety ci się coś z Sollohubową, szepnął mu w ucho — a wiesz, że bardzo ładna!

Stolnik podniósł oczy.

— Brühl ma tam podobno więcej łaski.

— Może przyjsć kolej na innych — odezwał się stolnik...

— Tak — tam gdzie są koleje — rozśmiał się książę Adam oczyma wytykając pewne osoby — ale gdzie kolei nie ma??

Poniatowskiemu przykre było trochę to prześmiewanie.

— Brühl może... wkrótce być zmuszonym odejżdżać do ojczyzny swych przodków, rzekł cicho — ojca lub matki; w takim razie Sołłohub niezabawny, a samotność wiele może...

— Sądysz? spytał książę Adam... Masz widać ustalone teorye co do serca kobiecego — ja — nie! Ono jest dla mnie zagadką i podobno wiecznie nią zostanie...

Drzwi się otwarły i towarzystwo całe potoczyło się do jadalnej sali, gdzie beczułki ostryg znowu odbijano. Były one w wielkiej modzie i estymie a pan hetman lubił je bardzo; — nie w każdym téż z pańskich domów drogi ten przysmak się ukazywał — mówiono na cały kraj o tém, gdy je pocztą do Białegostoku lub Warszawy sprowadzono..

VII.

O rannéj bardzo godzinie, sala sejmowa na zamku pełna już była, i ścisk panował w dziedzińcach, choć dopiero około południa, po nabożeństwie uroczystém u Ś-go Jana, posiedzenie otwarte być miało.

Posłowie czynniejsi, arbitrowie ciekawi, przekupnie chciwi zarobku, zawczasu sobie miejsca zapewniali, bo później niełatwo o nie było... i nie jeden poseł do swojego się nie dobił, choć je prosty natręt z ulicy zajmował... O ósméj godzinie już do drzwi docisnąć się było trudno... Wchodzili i wychodzili zakłopotani jacyś ludzie, powłócząc szablami i wzrokiem niespokojnym. Na galeryach pierwsze rzędy zajmowały jeśli nie ciekawe panie, dla których wstać tak wcześnie, a nadewszystko nbrać się i ufryzować było niepodobieństwem, to przynajmniej

służący ich i pokojówki wysłane, aby krzesel i ławek pilnowały...

Gwar, głośnie śmiechy, rozmowy przerywane, klótnie, powitania, wykrzykniki słyhać było na przemiany górujące nad szumem i wrzawą dochodzącą z korytarzy. Ruch był dokoła ogromny...

Posłowie z dalekich przybyli prowincyj poznawali się i przypominali sobie, niektórzy na ławach stojąc obliczali już przytomnych, wypatrywali znajomych i szeregowali swych współwyznawców. Swoboda panowała zakrawająca na nieład straszliwy... Wśród różnobarwnego tłumu, którego nikby się był nie spodziewał zastać w sali obradom poświęconej — znajdowały się postacie zupełnie tu niezrozumiałe. Kilka przekupek w białych kornetach i chustkach roznosiło pierożki ciepłe, ciastka, cukierki, owoce, a chłopak z koszem butelek piwa wyzywał bijąc szklanką o szyjski, spragnionych, aby się ochłodzić pośpieszali... Kiedy niekiedy też pukał korek wylatując do góry, po poderznięciu sznurków które go utrzymywały, i musujące lekkie piwko, które naówczas bardzo lubiono, tryskało niekoniecznie w szklankę nastawioną, ale przypadkiem i za kołnierze lub na łysiny najbliższych sąsiadów.

Popłoch, śmiechy i przekłętwa towarzyszyły każdemu takiemu wybuchowi. Z galeryi służba krzyczała urągając się: -- wiwat!

Śmiałkowie z górnego piętra ciskali jabłkami na znajomych w sali, z równą niezgrabnością jak pi-

wiarz... tak, że pociski nie zawsze się dostawały tym, którym były przeznaczone... Winowajca natomiast zanurzał się za ściankę i próżno go było szukać...

Najśmielój sobie poczyniała stara kobiecina, trochę przygarbiona, w czepcu białym z pomarańczowymi wstęgami, chuście w kraty i fartuchu, z koszem ogromnym pod pachą okrytym serwetą białą. Z twarzy jej pomarszczonój widać było wiek sędziwy, lata okryły podbródek i wargę wierzchnią gęstym włosem twardym i widocznie postrzyganym... Trzymała się jedną ręką w bok i spoglądała z góry na przytomnych w sali. Nie zalecając swojego towaru, jak gdyby pewna była jego pokupu, obchodziła salę powoli, zatrzymując się niekiedy. Czasem podnosiła serwetę, dobywała z pod niej przysmak jaki, odbierała zapłatę obojętnie, i posuwała się dalej, jakby niewielką przywiązując wagę do handlu, którym się zajmowała... Mnóstwo osób witało ją jak znajomą... Między arbitrami słyszeć było szepty...

— Patrzcie stara Poterucha! że to jeszcze żyje! a wiele sejmów już widziała...

Na to przezwisko obelżywe Poteruchy marszczyło się lice staruszek, ale nie odwracała się nawet — grzeczniejsi bowiem zwali ją Kuźmową... Była to od wielu już saskich sejmów znana bardzo panom posłom i senatorom postać, która miała prawo obywatelstwa na sali, i bez której na niej pustoby się

wydawało. Młodszy przekupnie widocznie ją szanowali...

— A co pani Kuźmowa? ozwał się z ławy poseł z nad Buga, bodaj któryś Suchodolski — co u was tu słyhać w Warszawie?

Stała stara ruszając ramionami.

— Co ma być? zechcieliście nowego? u starych po staremu!

Utarła nos metodą odwieczną i wzięła się w bok, nie ruszając się z miejsca, a posła mierząc oczyma...

— Wy prorokujecie nam co z sejmu będzie, wy to może lepiej wiecie niż my! dodał drugi...

Spojrzała nań z półuśmiechem, i powtórzyła, kręcąc głową:

— Po staremu!... nakrzyczycie, nawarczycie, nawarzą wody i pojedziecie do domu...

Ruszyła ramionami...

— Nie pojedziemy, aż Brühlów rozumu nauczymy... wtrącił pierwszy...

— A no! — odparła Poterucha — aby się wam udało!! a mnie się zdaje, że im włos nie spadnie z głowy!!

— Peruki im pozrzucamy! począł inny...

— Ej — siedzą one mocno mruknęła stara i poszła powoli.

A tu ją wołano na przemiany, to Kuźmową, to Poteruchą. Niektórzy sami dobierali się do koszyka, brali i tkali jej do rąk zapłatę, której nie

sprawdzając nawet, wrzucała ją do wielkiej skórzanej torebki pod fartuchem...

— A Kuźmowa z kim trzyma? odezwał się ktoś z boku...

— Z Panem Bogiem! odpowiadała... i szła dalej.

— Regalistka jest mówił ktoś z boku, boć to przecie całemu światu wiadomo. że w młodości August Mocny półtora dnia się w niej kochał zapamiętało... i mówiono nawet, że ją chciał wziąć do Drezna — ale się nie dała...

Wśród tych scen wielce zabawnych, obcy człek z trudnościaby się był mógł przygotowania do sejmu domyślać. Samo wszakże urządzenie sali, tron w głębi, stół i siedzenia dla sekretarzy otoczone kratkami, stráže we drzwiach, które nikomu jednak ani wchodzić, ani wychodzić nie przeszkadzały — przypominały, że gmach ten za kilka godzin miał być teatrem obrad prawodawczych Rzeczypospolitej szlacheckiej.

Wpatrując się już teraz nawet w przybyłych i rozgospodarowujących na ławach — poznać było można posłów, zawczasu skupiających się w pewne grupy, naradzających nad czemś, żywo i mocno zajętych tém co się tu przygotowywało. Namiętne ruchy i rozgnione twarze świadczyły, że posiedzenie nie przejdzie spokojnie. Wpadali nagle niektórzy szepcząc coś do ucha znajomym, i wychodzili w chwilę potem, równie pośpiesznie wprowadzając ze sobą nowych przybyszów, których starali się w pewnych miejscach ustawić. Inni przechodzili jakby mu-

sztrując szerogi, zaczepiali, rozmawiali, lustrowali przytomnych, dodawali animuszu, a wszystko zwiastowało, że się tu czynność jakaś niemałej wagi przygotowywała. Wśród tych preliminariów szlachta zajadała roznoszone pierożki, przekupki towar obwoływały, oprócz Poteruchy, która się wcale nie odzywała, na galeryi stukano wywracając ławy, u dołu tłum popychany jak fala się kołysał, ścisnął, rozpląwał, wzbierał i rozchodził, gdy nowi przybysze ode drzwi przybywali łokciami sobie torując drogę.

Twarze, strojne, postacie najdziwniejszą mozaikę składały. Obok staroświeckich sukni z kufrów odwiecznych dobytých, świeciły nowe jak z igły, widocznie gwoli sejmowi posprawiane, o które właściciele w słusznój byli obawie od ciastek, piwa i owoców sprzysiężonych na ich zgubę. Trafiało się bowiem często, iż palce od kiełbaski zatłuszczone wołał ktoś w ścisku o cudzą niż o swoją obetrzeć poję. Przy kontuszach, które zdawały się z grobów zapożyczone, zblakłych i poprzecieranych, widać było suknie francuzkie wytworne i peruczki świeżo upudrowane, od których piżmo zalatywało. Brząkały szable i cicho szeleściły rożenki zwane szpadkami, często w pochwie misterniej niż nad kawałkija nie zawierające. Trójgraniaste kapelusze niesione górami w rękach po nad wygolonemi łysinami, ulatywały jak fantastyczne ptaki...

W jednej gruppie czynny był bardzo ów Żudra o trzech podbródkach i słyhać było powtarzającą się z ust jego jednostajnie, niezbyt niższym głosem komendę.

— Książę kanclerz prosi wszystkich na obiad po sessyi... Będzie barszcz, bigos. pieczeń, ogórki kwaśne, piwo doskonałe i na każdą głowę butelkę wina...

— E! e! odezwał się zdala malkontent jakiś— takiego kwaśnego jak ostatnim razem...

— Co mówisz asińdziej? kwaśnego? Cóż to? Kobieta jesteś czy dzieciak, żeby ci wino słodzić trzeba? Patrzącie go! Także mi gagacik! Cukru mn się jak kanarkowi zachciało... a w domu daj Boże, by i piwo skwaśniałe było!!

Świadkowie i słuchacze śmiać się zaczęli, lecz ów malkontent nasrożył się mocno, i co z razu bąknął jakby sam do siebie, teraz wystąpił otwarcie.

— I cukier tam nie pomoże, gdzie ocet dają! krzyknął rękę podnosząc. — Piękny traktament! Senatorowie spijają tokaje, a szaremu końcowi lury leją w kryształowe kieliszki... Tam sarnie pieczenie wonieją, a u nas baranina z czosnkiem śmierdzi... E! mości Mostowniczy! znamy gościnność księcia kanclerza... z kredką, główką... E! E!

Tym razem świadkowie byli po stronie szlachcica. Żudra, że się to działo przy świadkach tak wielu i bardzo głośno, bo wszyscy uszy nastawiw-

szy, śmiechem dopomagali opponentowi — oburzył się i zaczerwienił jak burak.

— Słuchaj waść, panie regencie — krzyknął na całą salę, pięść do góry ogromną podnosząc, jakby tuż miał grzmotnąć — wiadomo światu, żem domownikiem i przyjacielem księcia kanclerza; kto go zaczepia, ten ze mną będzie mieć sprawę.

— O! zawołał szlacheic, myślisz, że się twego sadła nastraszę.

Plunął już w dłoń i gotów był bodaj zaraz do szerpentyń... wtém nślužni sąsiedzi z obu stron pochwycili i osadzili na ławie.

— Bój się Boga! Gregorowicz — daj pokój, pod bokiem króla! Nie dobywajże szabli. *Crimen laesae Majestatis!* Będzie na to czas...

Zmitygował się pan Gregorowicz, siarczysty szlacheic, co kwaśnegó wina nie lubił, ale oczy mu się iskrzyły i wlepił je w Żudrę, który też ustępować nie myślał — a po chwili ciszej skonkludował...

— Było niegdy jegomości dobrze u stołu księcia kanclerza, dopóki go Niemiaszki nie skaptowały... Ot co jest! znamy się na tém!

Ledwie dokończył, gdy Gregorowicz się porwał.

— Wpakuję ja ci twoich Niemców do gardła! krzyknął...

Szmer, spór wreszcie zagłuszył... widać tylko było jak się przeciwnicy oczyma jeszcze mierząc, porozumieli na później...

Coraz większy szum i wrzawa panowały na sejmowej sali, a kilka scen do téj podobnych, odbywało się współcześnie po kątach. Coraz téż więcej dostojnych panów przybywało i ścisk zaczynał być do niezniesienia... Na galeryach miejsce sług, powoli zastępowały postrojone panie, które posiedzenia chciały być świadkami... Pomiedzy niemi, ubrana czarno, w całym blasku piękności i młodości, zasiadła jedna z najpierwszych pani Sołłohubowa, szukając niespokojnemi oczyma po sali... znajomych, których los ją obchodził. Mąż był przy niej, ale coś mu szepnęła do ucha, i mimo oporu — posłuszny zszedł zaraz na dół, stając wśród grupy, która zdawała się na Brühla i Litwinów oczekiwać...

Tu także było widać zaczajonego skromnie w kątku Godziembę, który bawić się zdawał zamysłony z rękojeścią szabli swojej, a niekiedy ku drzwiom niespokojnie lub w przeciwną stronę na familijną gromadę poglądał...

Szlachta obu obozów z wolna się porządkowała i skupiała. Przewodniczący jéj, jak wodzowie gotujący się do walki, rozstawiali strategiczne swe siły, w jednych miejscach pułki z nich tworząc geste, w drugich naprzód popychając ochotników osamotnionych...

Widok sali sejmowej coraz się bardziej stawał zajmującym dla patrzących z góry — przygotowania do boju były już jawne. Nikt nie wchodził bez

szabli, a za niektórymi z panów po francuzku po-
przebieranych, dworzanie nieśli ogromne rapiry.
Oblicza były chmurne, posępne, wzroki surowe,
czoła gniewne — jedni szukali nieprzyjaciół oczy-
ma, drudzy ich unikali odwracając się z rodzajem
pogardy. Niektórzy szeptali, inni śmiali się szyder-
sko, wreszcie pokrzykiwali głośno, aby ich słysza-
no i jakby grozić pragnęli. Wielka mnogość arbi-
trów, z którymi w sali zaczynało być za ciasno,
dzieliła widomie uczucia panów posłów, a tych
zresztą trudno było rozpoznać, bo wszyscy, upra-
wnieni i nieuprawnieni, równie się czynnie kręcili,
krzyczeli i mieszali — każde stronnictwo miało
swych podpalaczy, mowców, emissaryuszów wysy-
łanych na zwiady, starających się zbadać usposo-
bienia przeciwne i policzyć siły.

Posiedzenie, które zwykle było się rozpoczynać
po dziesiątej, przeciągnęło się z powodu tych przy-
gotowań i niepewności jak postąpić należało. W sa-
li wiedzano już na pewno, że za ukazaniem się
młodego Brühla, ofiarował się sam wystąpić prze-
ciwko niemu pan stolnik Poniatowski, zadając nie-
szlachectwo... Poczytywano mu to za niepospolitą
odwagę. Cała gromada Litwinów, Radziwiłłowszczy-
ków stać miała jak mur w obronie cześnika...
Szeptano nawet, że gdyby nie perswazyje króla,
ofiarował się mianowany wojewoda wileński —
od razu w szable uderzyć... Drudzy to tylko za
czczą mieli przechwałkę...

Dotąd jednak głównych aktorów, tego dramatu, z niecierpliwością oczekiwanych, nie było. Za każdym drzwi otwarciem, oczy wszystkich zwracały się na nie, wspinano się na palce — wchodzili różni... ich jeszcze nie było.

Naostatek panu Żudrze, który już ochłonał z gniewu, w najlepsze baraszkował, przybiegl ktoś coś szepnąć do ucha, i mostowniczy potoczył się ku drzwiom, ciżbę sobą rozpychając gwałtownie.

Wtłaczał się właśnie orszak *Familii* z butą wielką, szlachta w różnych strojach, szable i szpady niosąca na rękach — otaczając młodego bohatera, pana stolnika litewskiego. Wyelegantowany młodzieniec szedł z nadrobioną fantazją jakąś, widocznie sobie dodając odwagi i animuszu, które w charakterze jego nie były. Chwilami też płonął i mieszał się, to znowu spoglądał do koła dumnie i wyzywająco, a wzrok jego musiał ustępować przed posępnemi oczyma szlachty, która się w nim rozpatrywała bez należnego uszanowania...

Za stolnikiem z ironicznym uśmiechem na ustach szedł książę Adam, dalej ciągnęło się mnóstwo fraków, a peruk kształtnie ufryzowanych... Parę sędziwszych postaci poważnych im towarzyszyło, lecz głów *Familii* brakło... Te się na pole walki wyrwać nie mogły, wysłały tylko wojska swoje. Cała kupka wszedłszy zajęła osobne miejsce, które jój Żudra ze swymi pomocnikami, oczyścił, otaczając ją dokoła...

Wybitne stanowisko zajął na przodzie stolnik litewski, na niego teraz zewsząd zwracały się wzroki ciekawe — i on ośmielony poczynął strzelać oczyma, szczególniej ku górze, gdzie już cały zastęp pięknych pań jak grzęda kwiatów wiosennych.. jaśniał w najwyszukańszych strojach... Spotykały go tu uśmiechy i lekkie skinienia głów i powitania wachlarzami i wiewanie chusteczkami, na które z wdziękiem adonisa odpowiadał z kolei... Wreszcie ciemne oczy pięknego młodzieńca padły z wyrazem ognistego roznamietnienia na panią Maryę Sołłohubową... I niewidzialna dla tłumu, niepostrzeżona przez nikogo, trwająca jedno oka mgnienie odbyła się tu scena dramatyczna, która stała za prolog widowiska...

Sołłohubowa z zimną obojętnością, ze wzgardą niemal, zmierzyła oczyma stolnika... a w chwili gdy wzrok jego największym rozplómił się blaskiem, z wolna odwróciła się do niego plecami... W tej postawie pozostała piękna pani dosyć długo, ażeby być dobrze zrozumianą. Pan stolnik zarumienił się, zadrżał, coś jakby zemsty pragnienie wykrzywiło mu twarzyczkę na chwilę, i przymuszonym śmiechem towarzysząc sobie, począł coś mówić do otaczających. Pani Sołłohubowa z wolna zwróciła się do sali znowu, oparta na pięknej rączce, i oczy skierowała w dół na grupę, w której znajdował się mąż jój i Godziemba, unikając spojrzenia nawet na tych, którym stolnik przewodni czył.

Wtém szmer się dał słyszeć u drzwi, familijne zastępy przebiegło jakieś niecierpliwe drżenie, i jakby żalobny orszak wtargnęła Litwa Radziwiłłowska z księciem Stanisławem na czele, cała czarno ubrana, w kirze, zamaszysto, z brzękiem szabel i twarzami, na których już widoczne były skutki pokrzepiającego śniadania. W pośrodku tego zastępu szedł młody Brühl, blady jak mur, widocznie zmęczony i zafrasowany więcej niż przelekły. Znać w nim było posłuszną ofiarę, wleczoną mimowoli na stracenie. Stronnicy *Familii* usiłowali wchodzącym zaprzec drogę i utrudnić pochód do sali, — lecz ich tak gwałtownie zrazu odparto, że cały tłok, który ją napełniał, zachwiał się, zakołysał, musiał ścisnąć, czyniąc po niewoli miejsce nowym przybyszom, w liczbie dosyć znacznej. Wprawniejsze oko mogło już naówczas poznać, że Litwini liczebnie słabsi będą.

Obóz *Familii* począł się wejrzeniami obliczać szmer uciszył się na chwilę — dygnitarze przybywać zaczęli. Oczekiwanie niecierpliwe... wyraziło się nagłém milczeniem... Wszyscy już stali na miejscach swoich, gdy księżę Adam oczyma prawie litościwemi rzucił na Brühla... Obok niego stali Radziwiłłowie a przodem w boki pysznie się wzięwszy, księżę Karol dumnie oczyma wodził po sali. Zdały się one mówić: Gdyby mi pozwolono — panie kochanku... zmykalibyście wy ztąd gdzie pieprz nie rośnie... Nie postrzegł nikt, jak księżę Adam, ostrożnie się

z pomiędzy swoich wysnawszy, poczał bokiem przeciskać do Brühla. Jeden Godziemba to przewidział, drgnął i zdawał przygotowywać, jakby do odsieczy...

— Mości książę — szeptał po cichu Brühl do wojewody wileńskiego — jestem tu, jak wiecie, przeciw méj woli i przekonaniu... z rozkazu! Boli mnie, że muszę z sobą wnieść niepokój i być przyczyną waśni. A! gdyby mi wolno było ustąpić!! Jeżeli przeciwnicy rzucą się na nas w istocie — ja się bronić nie myślę — ujdę z placu...

Książę spojrział i pomilczał...

— A toby dopiero pięknie było, panie hrabio, panie kochanku, mruknął... My was ztąd nie puścimy; kiedyś grzyb, leż w kosz... Ale my WMość obronimy... bądźcie spokojni; to tylko bieda, że król JMość nie pozwala się pobawić; a moi, jak pot poczną, panie kochanku, nie łatwo ich zmytygować i Radziwiłłowi, nasiekają kapusty więcej niż potrzeba...

Machnął ręką... Wtém Szymanowski z tyłu przystąpiwszy — odezwał się do księcia;

— Wasza książęca Mość już wiesz zapewne, że król JMość, nawet w najkrytyczniejszym razie do ostatecznych środków uciekać się... nie życzy...

-- A tak! tak! panie kochanku — grubym głosem, nie patrząc nawet na Szymanowskiego, odparł Radziwiłł — jużem ja to słyszał... Niechże

nas nie łaskoczą, bo my Litwini jesteśmy strasznie łaskotliwi... To darmo, natury nie przerobić...

Brühl stał jak na mękach, błądy i drżący... wtém, gdy oczy jego podniosły się ku galerii i spotkały z pokrzepiającym wzrokiem i uśmiechem Maryi Sołłohubowój, książę Adam nagle zbliżył się do niego, i nie zatrzymując prawie, w przechodzie szepnął mu szybko do ucha:

— Hałas będzie wiele z twojego powodu, Brühl — ale proszę o swą osobę być spokojnym... Włos ci nie spadnie z głowy — idzie tu nie o was, ale o waszego ojca...

— A sprawa ojca jest moja zarazem — odparł żywo cześnik, — ale odpowiedź nie doszła już uszu ks. Adama, który w tłumie zniknął, gdy Godziemba zbliżył się na obrenę...

Marszałek starój laski, sędziwy starzec Małachowski, ukazał się właśnie zagajając cichym głosem posiedzenie... lecz gwar był się wzmógł znowu i niełatwo przyszło, wśród sykań ze wszęch stron, uprosić milezenie. Cicho, drżaco... z niepokojem... począł Małachowski mówić, nie słuchany wśród gwaru — przerywał sam, przerywano mu co chwila... sykania nie ustawały... laska biła napróżno o podłogę...

Nareszcie z wolna uciszać się poczęło w izbie, błagający głos starca, zdawał się wzruszeniem, jakim był przejęty, chceć skruszyć najtwardsze serca...

— „Trzydzieści lat nierządu! mówił — tylko Opatrzność Boża mogła nas przez ten czasu przeciąg od zagłady uchować. Jeżeli i to zgromadzenie, jak poprzednie, nie dojdzie, nie zaradzi krajowi, zguba nas czeka“..

Szmer poczynął głuszyć go znowu.

— „Ufajmy Bogu — dodał starzec — że w serca posłów wleje uczucia, które złemu zapobiegą i uratować nas potrafią“...

Miano już przystąpić do wyboru marszałka sejmu, gdy w obozie *Familii* ruch się począł, jakby się burza zerwać miała... Około stolnika kupili się ludzie i szeptali... Niektórzy zawczasu na ławki się wdrapywali — aby lepiej widzieć i słyszeć to co nastąpić miało...

Czarny orszak Brühla sykał jak wąż wielogłowy... Z obu stron głuche jakby warczenie coraz być głośniejszym zaczynało. Rozstąpili się osłaniający sobą pana stolnika, czyniąc mu pierwsze miejsce... Poniatowski postąpił krok naprzód, pobladł i zdawał się wahać chwilę... Można było sądzić, że mu w stanowczym momencie zabraknie odwagi, i już drudzy, z obawy, aby nie spełzły plany na niczém rwali się go zastąpić o głos się dopraszając — gdy stolnik spojrzawszy do góry na Sołohubową, której oczy znalazł wlepione w Brühla, jakby podżegnięty wykrzyknął głosem widocznie wysiłonym i podniesionym sztucznie: — Proszę o głos!

Z tyłu go nieco naprzód popchnięto...

— Prosimy o głos! o głos! wołano tłumnie z obozu *Famili* — prosimy o głos!...

Małachowski chciał się opierać.

— Panie marszałku! tu idzie o najważniejsze przywileje i prawa pogwałcone Rzeczypospolitej. — O głos prosimy! o głos!

Wrzawa stopniami rosła, pokrywała wołanie marszałka do porządku i zakłęcia jego, aby od zamieszania sejmu nie rozpoczynano.

Małachowski domagał się najprzód wyboru marszałka, opozycja krzyczała, że nań nie pozwoli... Z obu stron starano się zagłuszyć coraz podnosząc głosy, tak, że ich już wśród szumu i hałasu roznać było niepodobna... Wrzawa dochodziła gwałtowności przerażającej... Namiętności poczynaly szaleć... nogami tłuczono podłogę, pięściami ławy... ręce podnosiły się do góry... Stołnik litewski, choć go do głosu nie dopuszczono, począł wołać:

— Nie ma sejmu! nie ma dopóki izba nie zostanie oczyszczona z intruzów!... Co tu robi pan Brühl? Kto go mógł posłem wybierać, gdy wiadomo że szlachcicem polskim nie jest! Precz z nim z izby! precz z nim!

Wtém poparto go wołaniem tłumném:

— Precz z Brühlem! precz z Niemcem!

Niektórzy zapalczywsi, hałasowali:

— A do budy!!

Brühl blady, stał się bledszym jeszcze, usta mu się ścięły, czarne oczy tylko pały, znosił tortury.

W tém książę Stanisław Radziwiłł podkomorzy litewski, rachując na tabulny swój głos silniejszy od stolnika pieśczonego głosu, poczał wrzeszczeć straszliwie aby go zagłuszyć... Wśród piekielnej wrzawy, która zdawała się wróżyć coś gorszego nad tumult, z wolna ściśnięte dotąd tłumy poczęły się rozstępować, jakby chciały sobie stawić czoło. Małachowski przejęty zgrozą, zakrył oczy. Szable już brzękały, wszystkie dłonie drgały na rękojeściach — jeszcze chwila, a żelaza z pochew miały błysnąć... rzeź w izbie zdawała się nieuniknioną. Na galerii kobiety obu stronnictw, powstawały jedne przerażone ręce łamiąc, drugie zdając się zagrzewać i pobudzać do walki...

Brühl stojący ciągle nieruchomie pomiędzy Radziwiłłami — za którymi krył się drżący od gniewu Godziemba nie spuszczaający go z oka — widząc te przygotowania z oburzeniem i zgrozą, z dumą jakąś razem — odwrócił się nagle, jakby chciał ustąpić z placu i nie dawać powodu do krwi rozlewu — który się zdawał nieuchronnym... Wtém książę Stanisław Lubomirski podstoli i Opacki pochwycili go już usuwającego się za ręce...

— Panie cześniku — na miłość bożą, zawołał podstoli — dasz im w ręce wygraną — to się nie godzi! Oni się na nas porwać nie śmieją — my cię nie puścimy! Miejsce twe tutaj! Myśmy przyszli dla ciebie, trzeba z nami wytrwać do końca.

Tych słów domawiał, gdy w obozie *Familii* najprzód szabli dobyto i kilka kling błysło nad głowami a za nimi i reszta się ukazała... Na dany znak, Radziwiłłowscy też jakby tylko nań czekali, wszyscy w jednej chwili obnażyli szerpenty...

Na galeryi rozległ się krzyk niewieści...

Na widok żelaza w rękach — wśród sejmu — wypadku dotąd niepraktykowanego, strwożyli się nawet ci sami, co pierwsi oręż obnażyli — nastąpiła krótka chwila milczenia. Wszyscy się uczyli przejęci grozą.

W tym stanowczym momencie rozdziału, okazało się dopiero jawnie, iż *Familia* śmielsza i baczniejsza, ściągnęła daleko znaczniejszą liczbę szermierzy swych i nimi izbę zalała. Radziwiłł nie, spodziewając się tego, posłuszny woli króla, nie śmiał wprowadzić z sobą nad sześćdziesiąt arbitrów. Tych, choć każdy z nich stał za kilku, nie starczyło do walki... *Familia* zrozumiała dobrze swą siłę, zawahała się jednak z daniem znaku do boju i rozlewu krwi bratniej. Na widok szabel dobytych, znaczna liczba bojaźliwszych arbitrów pierzchnęła z sali, po mieście roznosząc wieść, iż na zamku już przyszło do krwi rozlewu. W ulicach poczęły się gromadzić tłumy — nowi arbitrowie naciskali się do sali... Dwa przeciwne obozy stały w pogotowiu, nieruchome przeciw sobie. Stółnik litewski był prawie jak Brühl błądy; w wyrazie jego twarzy, mimo pozornego roznamiętnienia, po-

znać było można, jak niewłaściwą wziął na siebie rolę...

Z po za niego pokrzykiwano jeszcze zapalczywie:

— Precz z Brühlem... Precz z Brühlami!!

Hajda do Saksonii!

— Rozsiekać intruza! rozsiekać Niemca!...

— Panowie! krzyknął w téj chwili na ławę się wydobywszy podkomorzy Laskowski — nie wchodzić w to kto tu pierwszy dobył oreża, ale to jest występki kary najsroźszej godny — to przykład nad wszystkie straszniejszy, pogwałcenie majestatu sejmowego... zbrodnia przeciw Rzeczypospolitej...

— Dochodzić winowajcy! zawołano za nim...

Niektóre szable cicho poszły do pochwy...

— Precz z arbitrami — odezwali się niektórzy za Laskowskim, który ze swéj ławy nie ustępował.

— Najprzód precz z szablami! począł podkomorzy, nabierając coraz większej odwagi — a toć jesteśmy w kościele, w świątyni praw; kto ją skaził targając się do oreża, gardło dać powinien... Ja instyguję!

Familia zagłuszyła go nagle hałasem wielkim...

— Scrutinium na winowajcę! wolali niektórzy... i to natychmiast...

— Proszę o głos — krzyknął ktoś z tyłu, podam najlepszy środek dojścia winowajcy...

— Prosimy! prosimy!

— Niech się izba uciszy! niech pan stolnik

powtórzy co mówił przeciw cześnikowi — a kto pierwszy i odezwie się — winnym się okaże...

Śmiechem wniosek niektórzy okryli. Wśród zamieszania i wrzawy téj marszałek Mniszech przełknięty postawą Brühla, cierpieniem jego widoczném, począł obiegać posłów zaklinając ich, prosząc o spokojność, o poszanowanie dla szwagra... Ktoś z *Familii* zobaczył go zwijającego się po izbie, zaczęto zaraz krzyczeć.

— Precz z Mniszchem! co tu robi marszałek? tu nie miejsce do intryg i konszachtów!

Szable drżały jeszcze w rękach niektórych, a co moment powtarzały się głosy: Rozsiekać!! Wypędzić — Won! za drzwi! Precz z szołą!

Kilku posłów, mniej gorąco biorących rzeczy, pozwalało sobie szyderstwa...

— Hedź go ha! a hedź go ha! wołano jak na polowaniu z chartami...

Głosy to były litewskie, które *Familię* na psy wy kierować chciały...

Starego Małachowskiego twarz, na przemiany biała i krwią oblana, wyrażała boleść straszliwą, łzy ciekły mu z powiek, z drżącój ręki laska się wyslizgiwała...

— Marszałku, szepnął zbliżając się doń Mniszech — jeżeli nie chcesz, aby się krew polała — solwuj sessyę, to jedyne zbawienie...

Małachowski nie miał siły ani opanować rozwścieczonych, ani im ust zawiązać — płakał stary

i łyzy ocierał... Oczy jego w tém posiedzeniu widziały może daleką przyszłość, która się czasem powiekom starców odsłania.

Wrzały jeszcze namiętności rozkołysane do najwyższego stopnia — a nikt pierwszy ustąpić nie chciał, tak jak nikt téż kroku stanowczego nie śmiał uczynić... Mierzono się oczyma, wyzywano słowami, w piersiach wrzały stłumione groźby...

Wtém głucho odezwało się trzykrotne uderzenie marszałkowskiej laski... Posiedzenie odroczone zostało na dzień jutrzejszy...

Izba w milczeniu przyjęła ten wyrok, który obu stronom dogadzał... Nikt w istocie nie pragnął krwi rozlewu, *Familia* na ten raz pozornie wyszedłszy zwyciężką, spodziewała się groźbą téj siły, którą rozwinęła, zmusić do ustępstw króla i starego Brühla. Resztę więc szabel poczęto chować do pochew i bliżsi drzwi pospieszyli na miasto, roznosząc rozmaicie malowane wieści o tém zajściu, które nazajutrz mogło wybuchnąć straszniej jeszcze..

Radziwiłłowscy pierwsi, bliższymi będąc wyjścia, ustępować zaczęli. Na twarzy pana wojewody, który już tytuł ten nosił, o który tu jeszcze wojować chciano, malował się gniew posępny, niemal do rozpaczyny posunięty. Czuł się upokorzonym, pogrzebionym i winnym — wargi mu drżały, sapał, a pot kroplami wytryskał mu na szerokiém czole.

— Do jutra! panie kochanku! mruczał — do jutra... *ad videndum*, koniec dzieło chwali!

Brühla na wpół żywego z gniewu i znękania uprowadzono z sali, w której pozostała *Familia* i jój adherenci tryumfowali śmiejąc się, przedrwiwając i ciesząc z placu, który otrzymali. Nie zbywało na odgrózkach i przechwałkach...

Jeden pan stolnik, któremu winszowano tak śmiałego wystąpienia, wcale się z niego nie zdawał uszczęśliwionym, miał postać jakby zawstydzoną. Teraz gdy spełnił, co mu narzucono i co nierozważnie przyjął na siebie, czuł najmocniej jak niewłaściwej charakterowi swemu podjął się roli, jakie na siebie przez nią ściągnąć miał nienawiści, zemsty i nieprzeblagane gniewy. Upokarzało go niemal to zwycięstwo jakiegoś trybuna i wrzask, którego był sprawcą.

Wychowanek salonów wstydził się burdy, w którą był wmieszany. Szablista szlachta, jaką dowodził, wydawała mu się dziwnie barbarzyńską...

— Mości książę — odezwał się po cichu do stojącego przy nim księcia Adama — ociérając równie pot z czoła uznojonego jak przeciwnicy... ale z niezmierną elegancją i ciekawą batystową chusteczką — wszystko to może być dla JMPana Żudry miłym i wesołym, ale mnie się już wydaje nader smutnym i trywialnym! Namiętności rozkolysać nader łatwo, ukoić bardzo trudno, a następstw nikt obrachować nie potrafi. Nieszczęśliwy to kraj, gdzie w takim wrzasku prawa się gotują...

Książę ruszył ramionami, był może podobnego zdania, spojrzeli na siebie milczący.

— Żal mi tego Brühla — rzekł książę Adam! słyszałem, że ładne komedyjki pisze, a tu go niemal tragedją poczęstowano.

— Mnie wcale Brühla nie żal — odparł stolnik — ale — siebie...

I westchnął.

Żudra tymczasem na obiad przygotowany gdzieś w refektarzu klasztornym prowadził tych, którzy tak dobrze pod komendą jego, rolę swą odegrywali. Należało im i odwilżenie wysuszonego gardła, i pokrzepienie sił starganych w służbie księcia kanclerza.

Zwycięzcy i zwyciężeni — oprócz komparsów, którymi się posługiwali, czuli to dobrze, iż walka zaledwie była rozpoczęta, kości rzucone, a chwilowe zwycięztwo wcale nie przesądzało końca...

Powozy wyjeżdżały z zamku, piesi rozchodzili się, głośno rozprawiając o tém, kto pierwszy porwał się do szabli, a po mieście szedł popłoch zwiastujący, że na teraźniejszym sejmie bez krwi rozlewu obejść się nie może.

Książę Karol zaledwie wyszedłszy z sali, szepnął jednemu ze swych przybocznych:

— Panie kochanku — na jutro pięćset szabel być musi, choćby dyabeł na dyabła siadł... tu idzie o honor Radziwiłłowskiego domu... Słyszysz Jegomość!... choćby nieboszczyków z grobów na

appel pozwać przyszło. Zobaczymy kto będzie górą!! Te flejtuchy Niemcy, z pozwoleniem i mnie na dudka wystrychnęli! A no — panie kochanku — dosyć!

I poszóstna karetą potoczyła się ku pałacowi, a posłańcy natychmiast rozbiegli się nawołując i zbierając kto żyw na jutro...

Familia wiedziała dobrze, iż poruszyła gniazdo osie, ale między tym dniem a jutrem była noc i czas do namysłu dla wszystkich, a króla znano, iż się obawiał i opierał krwi rozlewowi. Na jego powolność, na układy z Brühlem rachowano prawie na pewno, nikt bowiem się nie łudził, że z jednej strony dobyto sił ostatnich dzisiaj, a z drugiej ledwie ich cząstka do walki stawała... Jutrzejszy więc dzień mógł zupełnie zmienić położenie...

Stolnik litewski czuł to lepiej niż inni, i dosyć posepny wyszedł z sali, w chwili gdy piękna pani Sołłohubowa siadała do karety... Chciał się zbliżyć do okna, lecz i okno i firanka razem zamknęły się przed nim i powóz szybko wyruszył się z dziedzińca...

— Brühl mi za to zapłaci! szepnął w duchu... Dla czego ta kobieta tak mnie nęci i pociąga?? tém może chyba, że ona jedna mnie odpycha... Jedna taka porażka wszystkie tryumfy zaciera!

I westchnął smutnie...

VIII.

Gdy na zamku zbierała się szlachta i posłowie dla stoczenia walki, pan hetman Branicki, po rozmyśle i zasiągnąwszy rady Mokronowskiego — postanowił krok także uczynić stanowczy w téj sprawie, próbując azali mu się nie uda zwaśnionych pojednać, zbliżyć i zapobiedz następstwom dla kraju najgroźniejszym... Zdawało mu się, że to właśnie było obowiązkiem medyatora *intra potestatem et libertatem*; rachował wiele na swą hetmańską powagę, na wpływ wymowy, na potrzebę uspokojenia, jaką czuły strony obie, na ustępstwa, które Brühl mógł uczynić, aby ukoić żale *Familii* rozdrażnionéj; sądził, że i ona da się czemś mniej-szém złagodzić i z wymagań zbyt wielkich zejdzie na możliwe...

Hetman szedł w tém za wolą i życzeniem Augusta, który na samą wieść, iż do wojny domowej i chwycenia za oręż przyjść mogło, truchlał — gotów będąc ze swęj strony na wszelkie ustępstwa dla zachowania pokoju.

Lecz król, JMośe liczył — bez Brühla; inne były zamiary, plany i uczucia wszechwładnego ministra. On byłby niemal z radością powitał rozlew krwi, byle go on uwolnił od *Familii*, chcącęj przewodzić, rozkazywać i rządzić po swęj woli. Nie śmiał się on wbrew przeciwić królowi, milczał i uspakajał go, lecz widać było, iż wcale ustąpić ze swego planu nic nie myślał, zmieniając co najwięcęj środki wykonania.

Hetman Branicki chcąc odegrać w ostatnięj chwili tę rolę pacyfikatora, listami uprzejmemi zaprosił do siebie liczbę niewielką osób, najgłówniejsze zajmujących stanowiska... Pomiedzy niemi najpierwsze miejsce naturalnie zajmował minister Brühl, i obaj książęta kanclerz i wojewoda ruski.

Były to żywioły tak sobie przeciwnę, iż przy pierwszém zetknięciu się z sobą mogły wybuchnąć, gdyby hetman nie wiedział i nie rachował na to, iż przy obcych, wstrzymywać się i zachować decorum będą zmuszone, nie tykając kwestyj drażliwych... Wezwał więc zarazem na obiad posłów zagranicznych mocarstw i kilku w Warszawie bawiących cudzoziemców.

Trafny ten wybór osób zapewniał mu, że obiad przejdzie spokojnie, a następnie ułożona konferencya, za pośrednictwem jego do jakiegoś porozumienia doprowadzi.

Mokronowski zgadzał się z hetmanem na krok ten, chociaż mniej niż on się po nim spodziewał.

W natłoku spraw i zajęć, zapomniano tylko zasięgnąć w tém rady pani hetmanowej, która późno trochę wiadomość o obiedzie i mających się na nim znajdować osobach odebrała...

Piękna pani, natychmiast rozkazała powołać do siebie Mokronowskiego, na ten raz prawie urażona przeciwko niemu. Siedziała w swym buduarze oczekując nań niecierpliwie, patrząc na drzwi i bijąc nóżką o podłogę — a gdy się nareszcie pokazał uśmiechnięty, dopominając o białą rękę, która mu zwykle dobrotliwie była podawana dla zagajenia rozmowy, pani hetmanowa cofnęła ją prawie gniewnie, i nie dając mu się odezwać, zawołała marszcząc piękne brwi groźnie.

— Proszę cię, generale — co znowu z panem hetmanem wymyślacie? przecie godziło się choć spytać mnie o osoby, jakie na obiad zaprosiliście, przy którym ja usiądę jako gospodyni?

Mokronowski stanął zdziwiony...

— Ale cóż się tak okropnego stało? zapytał... listę osób wszak przysłano?

— Tak — i Brühl stoi na jej czele...

— Pominąć go przecie nie było podobna...

— A mnie dlań być grzeczną jest również niepodobieństwem — dodała hetmanowa. Nie zapominaj pan, że ja do *Familii* należę, że czuję krzywdy wujów moich, że jestem kobietą, i to co oni znoszą w poważném milczeniu, ja biorę do serca... ja nie mogę ukrywać...

Mokronowski stał zmieszany...

— To była myśl pana hetmana!

— Ale Wpan mogłeś mu całą jój niedorzeczność wykazać... Łudzi się jakąś zgodą... a siebie skompromituje i mnie stawia w takiem położeniu...

— Niech mi hrabina daruje — rzekł łagodnie i przymilając się Mokronowski — jam doprawdy nie nie winien... pan hetman chciał koniecznie, wszystko się dokonało tak pośpiesznie...

— Więc ja mogę nie być na obiedzie! oparła się hr. Izabella...

— Miałoby to najsmutniejsze następstwa, bo właśnie na przytomność jój rachuje pan hetman, że nieprzyjaznych sobie powstrzyma od wybuchu...

Hetmanowa ramianami ruszyła...

— Tak, ja mam wam do waszych kabał służyć za narzędzie...

Mokronowski w postawie winowajcy stał przed nadasaną panią, ciągle błagając ją o rączkę białą — aż gniew jój zszedł na męża, generał otrzymał paluszki do pocałowania... i milczące przebaczenie...

Hrabina spojrzała w okno, nadając twarzyczce

wyraz ofiary, coś itigenicznego... co ją piękną czyniło i sentymentalną.

Mokronowski jeszcze rękę całował, gdy mu szepnęła.

— *Allez donc, et demandez au Conte qu'il vienne me voir...*

Mokronowski szczęśliwy z tego obrotu, ścisnął śliczną rękę i wyszedł z pośpiechem.

Wezwanie pani hetmanowój było czemś tak niezwyčajném, iż mogło zdumieć męża... który od dawna zwykł był z żoną widywać się tylko w wielkim salonie przy gościach... Niełatwo téż było Branickiego oderwać od licznych zajęć i liczniejszych jeszcze życia przyjemności, od których nie lubił ażeby go odciągano. Z obu stron swoboda była największa, a zetknięcia rzadkie, czułe, ale ceremonialne...

Nierychło więc bardzo, żywa i nie znosząca oczekiwania hrabina, ujrzała wreszcie odmykające się uroczyście drzwi i wchodzącego z galanterią francuzką wyświeżonego starca, który, nie zważając na nachmurzoną twarzyczkę wesoło spytał o zdrowie.

— Wyglądasz, hrabino — jak róża! rzekł — ale dziś pono z kolcami! Mokronowski mi oświadczył, że się gniewasz na swego wiernego sługę? *Est-se possible?*

Rozmowa, jak prawie zawsze toczyła się po francuzku...

— Ale tak... nietylko to możliwe, ale najrzeczywistsze — zawołała hrabina. Każecie mi znosić starego Brühla, w chwili gdy się nim najmocniej brzydzę, i nadając mi rolę śmieszną... bez méj wiedzy — chcecie, bym jak niewolnica przyjęła ją z pokorą...

Hetman wysłuchał wykrzykniku i usiadł bardzo spokojnie.

— *Chère Comtesse* — rzekł — połajalaś Mokronowskiego, on zrzucił winę na mnie, łajesz mnie, nie pozostaje mi nieszczęśliwemu nic więcej nad to — tylko z kolei złożyć grzech na barki istotnego winowajcy, którym jest król... król chciał tego...

— A tak! to znaczy — Brühl sobie tego życzył! odparła pani...

— Odemnie król żądał...

— Tak — ale nie odemnie — dodała hrabina.

— Przepraszam — umiał Najjaśniejszy Pan ocenić wpływ, jaki na ułagodzenie umysłów wywierają kobiety — poczał Branicki — i wyraźnie...

Pani Branicka rzuciła się gniewnie, hetman rozśmiał się nieznacznie, i jak niedawno Mokronowski, wyciągnął rękę prosząc o dłoń do pocałowania, która mu stanowczo odmówioną została.

Hrabina milczała chwilę, zamyślona... potem, nie patrząc na męża, odezwała się:

— Ośmielam się tylko dla tego wezwać tu pana hrabiego, ażeby mu powiedzieć, że jeśli ja, kobieta

obrażona, dotknięta... nie potrafię być panią mych uczuć i okażę ministrowi co czuję... nie będę winna!

Hetman wstał usłyszawszy ten wyrok, który mu się wydał groźbą tylko, spełnić się nie mogącą.

— Kochana hrabino—rzekł—jakkolwiek uczucia niewieście żywsze są od naszych, nadto rachuję na znajomość świata twoją, na delikatność, na pojęcie obowiązków gospodyni, ażebym się miał czegokolwiek obawiać.

To mówiąc skłonił się i widząc, że hrabina gniewna nie myśli się dać przebłagać—dodał:

— Do obiadu daleko... rozdrażnienie się ukoj—nie chcę ci być natrętnym... ale rachuję na piękną gospodynię, bez której wszystkoby było chybione...

To mówiąc skinął na stojącego opodal Mokronowskiego, i z nim razem na palcach wyszedł z buduaru...

Z południa, u przepysznie zastawionego stołu, w mniejszój salce jadalnej pałacu Branickich, zabierali milcząc miejsca przeciwnicy... z dała się zaledwie powitawszy, i ciągle trzymając w odległości od siebie. Ktokolwiek bywał na dworach, kędy się nieraz spotykają, żywiły nieprzyjaźnie, wie z jaką zřecznością ludzie wielkiego świata umieją unikać tych, których widzieć nie chcą... Brühl i *familia* byli mistrzami w tćj sztuce...

Książe kanclerz dobrał sobie do rozmowy posła angielskiego, z którym się nie rozstawał na chwilę, a oczy jego tak chodziły po sali, iż nigdy, nawet

przypadkiem nie zawadziły o wzrok Brühla... Minister udając wesołego, o rzeczach obcych zupełnie położeniu, o Wiedniu i Austryakach opowiadał coś z werwą gospodarzowi, ignorując *familię* co go otaczała... Twarz jego tém tylko może zdradzała niepokój wewnętrzny, iż nadto była wypogodzona.

Gospodyni wyszła do swych gości z twarzą bladą, wcale nie ukrywając przykrości, jaką jęj sprawiała bytność ministra. Musiała jednak w swoim domu być uprzejmą i grzeczną. Brühl, zawsze będący panem siebie, odegrywał z rutyną starego aktora wesołość i lekceważenie, jakby siebie był najpewniejszym... Myśl jego gdzieindziej latała, ale oczy i usta się śmiały... drgał czasem, gdy się natrętnie przypomniął mu sejm, izba, syn... walka... o której skutkach nie mógł tu być tak prędko uwiadomiony — i natychmiast podwajał zuchwalstwa salonowego, aby się nie wydać z obawą. Każdy silniejszy szelest, każdy hałas uliczny, mimowolnie w twarzy się jego odbijał — lecz obce oko ledwie te mgnienia mogło pochwycić. Jeśli się śmiać nie miał powodu, twarz przybierała ministeryalną obojętność człowieka, którego nic zdziwić, nic zastraszyc, nic nie może pokonać...

Miano usiąść do stołu, gdy hetman, który na chwilkę Brühla oddawszy ministrowi hollenderskiemu, sam się był oddalił — wrócił doń z twarzą uśmiechniętą i szepnął mu na ucho:

— Wszyscy zarówno interesujemy się wypadkami dnia dzisiejszego, — Wasza Ekscellencya o syna, ja o szwagra, wszyscy razem o losy kraju... Rozkazałem więc, mimo obiadu — jeżeliby tam co ważnego zaszło, aby nam doniesiono..

Spojrzał pytająco, minister skłonił się jakby dziękując, ale nie powiedział słowa.

Księżę kanclerz także, naumyślnie dnia tego wesół chciał być i szyderski a uszczypliwy. Zdawał się swobodnym na umyśle jak nigdy — jakby go sejm nie obchodził wcale — a zwycięstwa był jak najpewniejszy... Trochę hałaśliwa wesołość ta, dla drażnienia Brühla, przybierała nawet rozmiary niezwykajne.

Zasiadając do stołu, wszyscy usiłowali oddalić złe myśli — uniknąć jątrzącej rozmowy, a Williams zabawiał panią hetmanową żarcikami... które mu przyniósł świeży list z Paryża... Mówiono o pięknych paniach, o kronice miasta, o zimie, o pogodzie, o ostatnich nowinach z za granicy, o królu pruskim, dostarczającym obfitego materiału do opowiadania.

Fryderyk nie miał tu przyjaciół — jak domyślić się było łatwo; ale oryginalna postać jego ściągała oczy, a łupieżę z chłodną krwią dokonywano, ogłaszane z cynizmem, obudzały pewny rodzaj podziwiania...

Coś dzikiego, barbarzyńskiego niemal było w tym bochaterze zatabaczonym, który wszelkiemu uczu-

ciu, oglądzie i poezji życia uragać się zdawał, choć sam chciał się nazywać poetą. Rozpowiadano o nim rzeczy osobliwe, których obecność dam, głośno nie dozwalała dokończyć...

Obiad włókł się tak, wcale nie zbliżając do siebie tych, których hetman pragnął przejednać — gdy hałas jakiś w ulicy, potem w dziedzińcu, nareszcie na schodach żywe kroki... zwróciły wszystkich uwagę.

Drzwi salki otworzyły się nagle, i należący do dworu pana hetmana, wysłany przez niego do izby, aby zdał sprawę z czynności, pan łowczyc Turski, blady, pomieszany, zadyszany zjawił się w progu, tak jeszcze przejęty tém z czém przychodził, iż go nawet towarzystwo dostojne, które miał przed sobą, do opamiętania rychłego przyprowadzić nie mogło.

Hetman, który się ku niemu zwrócił, postrzegłszy to powstał — wszyscy się pomszyli na krzesłach, jakby ku niemu zbliżyć się chcieli, przyzwoitość tylko na miejscach ich wstrzymała.

Turski milczał, ocierał się i wzdychał.

— Z czém przychodzisz, mości Turski? mów — odezwał się hetman, mów — waćpan śmiało.

Łowczyc ciągle tał jeszcze czoło i odchrząkiwał, nie mogąc się zebrać na słowo, niecierpliwosć wszystkich wzrastała. Żywsza od innych pani hetmanowa z gniewem prawie mierzyła oczyma posłańca, który oglądał się i postrzegłszy osoby zupełnie przeciwnych obozów i to jeszcze wodzów ich... stał coraz bardziej onieśmielony. Nie wiedział jak mowę obrócić...

Hetman to snadź zrozumiał.

— Ale, mówże acan, rzekł poważnie: wprost tak jak tam rzeczy stoja... całą prawdę...

Turski życzliwszym był *familii*, ale Brühl i posłowie obcy mu imponowali.

Po szlachecku jednak w końcu, widząc się w położeniu fałszywém, postanowił wyrąbać się zeń krzyżową sztuką. Westchnął do patrona i począł, — a był chłopak do dworu jeszcze nie nawykły i ze słowem się mierzyć nie umiejący.

— A no — odezwał się — jest to o czém rozpowiadać...

Słuchano w milczeniu...

— Jak skoro pan marszałek zagaił sejm... nie dano przystąpić do wyboru nowego marszałka, domagając się, aby pan cześnik Brühl precz szedł z izby — jako nie szlachcie...

Minister, który stał dotąd dosyć spokojny, drgnął cały i zbladł... pochylił się na krzesło, rękę założył na poręcz, twarz mu się zmieniła...

Hetman to dostrzegł i szepnął do Turskiego:

— Krótko, zwięźle... faktycznie...

Zrozumiał to Łowczyk i zamilkł...

— A więc — dodał — co tu długo prawie jasnie panie... w chwili gdy z izby wychodził — przyszło do tego, że szable z obu stron dobywano. Tylko szcęk ich i krzyki słyszałem wychodząc a w dziedzińcu mówili już, że się krew lała i przyszło do bitwy — bo zjadłość wielka.

Pan stolnik nasz nie dopuścił sejmu rozpocząć, ani marszałka obierać... pół izby wołało: — Precz z Brühlami!

Hetman dał znak Turskiemu, ale już było za późno... Brühl zerwał się z krzesła i stanął, rzucawszy serwetę... Oczy mu się zapaliły, wargi za-trzęsły... Pani hetmanowa, której czarne źrenice ogniem także pałały, mierzyła go wzrokiem nienawistnym, siedząc jak marmur blada...

Branicki stał chmurny. Turski nie wiedząc czy może mówić dłużej, zamilkł nagle. Wtém minister, którego gniew i duma zwyciężyły i roznamiętniały — cofnął się od stołu — wybuchając.

Naprzeciw niego siedział właśnie książę kanclerz. Wskazał nań ręką...

— Waćpanowie to — zawołał impetycznie — odbieracie mi honor — to weźmijcież mi i życie.

To mówiąc rękami rozerwał kamizelkę na pier-siach, mierząc groźnym wzrokiem kanclerza...

Ten wcale na pozór nie poruszony, serwetę zwolna położył na kolanach i złotém piórkiem, zmruczając oko począł w zębach przebierać. Może więcej przygoto-wany do wypadku, z daleko zimniejszą krwią przyjmował jego następstwa. Ironicznie skrzywiły mu się usta.

My? rzekł cedząc powoli — my? ani honoru Waszój Ekscellencyi, ani jego życia nie potrzebujemy — żądamy tylko — sprawiedliwości od N. Pana. Téj nam odmówiono — napastowani, bronimy się... nie jesteśmy tak słabi, abyśmy podeptać się dali...

— Zarzucacie mi dziś to szlachectwo wasze polskie — mówił dalej Brühl w gniewie coraz rosnącym, — któreście sami dali mi, na któreście pracowali...

— My? odparł ksiązę kanclerz. My? Sąd to zbyt pochlebny o naszych słabych siłach... Tak znowu wiele nie mogliśmy uczynić... Zaprawdę ani my, ani *familia* nasza, ani trybunały, ani w świecie nikt polskiego szlachectwa nadać nie może... a wy go *nie macie*, dopóki na sejmie nie uzna go Rzeczpospolita...

— Panowie! trochę spokoju, przerwał hetman z powagą — przy rozbiorze tych kwestyj należy zachować krew zimną... Wasza Ekscellencya ze-
chcesz... (spojrzał na Brühla, który trząsał się całym)... ksiązę kanclerz raczy...

Kanclerz siedział nieporuszając się spokojny.

— Proście o zimną krew Jego Ekscellencyi, odezwał się — ja, jak widzicie, jestem całkowicie zrezygnowany i spokojny... My nie jesteśmy sprawcami téj sejmowej burdy, ani tego przy dobrym obiedzie niestrawnego epizodu... my — my jak mówiłem, bronimy się tylko... Wina tego, kto napada...

— Któż napada? — łamiąc ręce zawołał Brühl — my?..

— Nieinaczej! potwierdził mieszając się do rozmowy wojewoda ruski, który dotąd milczał. Brat mój ma słuszność zupełną — myśmy pokrzywdzeni i napastowani... Czyhacie na całe nasze znaczenie

w Rzeczypospolitej, chcecie naszego upadku... żądacie zguby...

W czasie tego sporu, którego siedzący u stołu goście słuchali z podziwieniem w milczeniu, hetman nie miał czasu spojrzeć na żonę, której twarzyczka mieniła się od gniewu, fałdowała od niecierpliwości, czerwieniła rozdrażnieniem... Każde słowo wujów podnosiło coraz wyżej to niebezpieczne i grożące wybuchem usposobienie. Mąż byłby je może potrafił wstrzymać jeszcze gdyby w czas przygotowywające się zobaczył.

— Mości panowie — zawołał Brühl — zwracając się do dwóch braci — nie wiem kto tu się z nas niewdzięcznym zdrajcą nazwać może... ale to wiem, że J. Kr. Mość, którego ja woli jestem tłumaczem, ma prawo uskarżać się na obsypanych łaskami, co mu za nie domaganiem się coraz większych i oporem coraz upartszym płacili...

Hetmanowa podniosła głowę ku ministrowi...

— Tam się może już krew nasza leje! krzyknęła, po kobiecemu wtrącając się do rozmowy — a nie na kogo innego pewno ona spadnie, tylko na was, panie ministrze...

Brühl usłyszawszy głos ten, umilkł zmieszany — wojna z kobietą była niepodobieństwem — zaciął usta obracając wzrok do góry. Hetmanowa tymczasem nie zważając na męża dającego jej znaki, na podziwienie wszystkich, na prawa gościnności,

unosząc się coraz bardziej, mówiła dalej ze wzrastającą gwałtownością:

— Wasza Ekscellencya, panie ministrze, jesteście przyczyną nie tylko tego wypadku, który może zakrwawić salę sejmową i kraj nasz rzucić w wojnę domową, ale wszystkich nieszczęść naszych...

My się nie damy zgnieść — za nami jest większość tej Rzeczypospolitej, my nie zniesiemy upokorzenia. W ostatniem rozdawnictwie łask królewskich, pominięto nas umyślnie... chciano nas tém shańbić, zepchnąć ze stanowiska... Ktoż to uczynił? Król...? Ale N. Pan czyni tylko to, co mu Jego Ekscellencya — pozwoli... to wszystkim wiadomo... Wzięliście w kuratelę nieszczęśliwego monarchę... pięknieście wykierowali Saksonię... lecz nasz kraj nie da się w ten sposób prowadzić...

Mówiła, głos jej drżał, nareszcie zabrakło go z gniewu... ale słowa jej po kobiecemu zbyt ostre i jawnemi zarzuty bluzgające w oczy, złamały jakby zapórę, która Brühla od gwałtowniejszej zaśłaniała napaści... Zaledwie hetmanowa dokończyła, padając na krzesło wysiłona, razem prawie kanclerz i wojewoda podnieśli głosy.

— Tak jest, zawołał ostatni — Rzeczpospolita nasza Saksonią nie jest... macie do czynienia z nie *raubritterami* niemieckimi, ale z rycerską szlachtą polską, której honor jej jest drogi, a w nas, nie zapominajcie o tém, płynie krew, która nas do

tronów zbliża... Nie sądźcie, aby walka była łatwa a pognebnienie możliwe...

Hetman uderzył po ramieniu księcia, prosząc go, aby zaprzestał. Działo się to w jego domu — bolał nad tém... lecz trudno było pohamować rozjątrzonych. Zaledwie umilkł wojewoda, kanclerz się odezwał szydersko:

— Chcieliście tego, panie ministrze — macie coście sobie sami ściągęli. Nie my wam, wy sami sobie honor odbieracie, wy narażacie syna. Z nami walka nie pójdzie łatwo...

Hetman nie wiedział już kogo prosić i uśmierzać gdy Brühl, którego sama gwałtowność napaści zmuszała do pozornego ostygnięcia, powiodł ręką po czole, twarz jego przybrała wyraz zimny i szyderski, lecz przesączony zemsty pragnieniem... Zwrócił się do pani hetmanowej...

— Muszę panią hrabinę przeprosić, rzekł z ukłonem dumnym, iż spokój jój domu zakłóciłem, i jój samój byłem powodem do wystąpienia, które dla gospodyni domu, względem gościa — przykrém być musiało... Nie pozostaje mi nic więcej nad pożegnanie towarzystwa, w którym mnie obelgi spotykają tylko...

Hetman zbliżył się doń ze złożonemi rękami, Brühl szukał tylko kapelusza... Wszyscy zamilkli na chwilę...

— Panowie, odezwał się minister do posłów zagranicznych, którzy siedzieli zmieszani — spo-

dziewam się, że raczycie mi towarzyszyć do mnie, gdzie spokojniej skromny obiad zjeść będziemy mogli...

Posłowie ruszyli się wnet wszyscy... Ten krok ministra nie pohamował wodzów *Familii* i ich adherentów... Brühl już wychodził nie oglądając się nawet na przeprowadzającego Branickiego, gdy po za nim wołano:

— Krew, która się przeleje spadnie na twoją głowę...

— Precz z Brühlami...

Wśród téj wrzawy minister z towarzyszami opuścił pałac hetmana, a że powozy na późniejszą godzinę przyjść miały i w dziedzińcu się nie znalazły Brühl musiał iść piechotą...

Zaledwie za bramę się dostał, tłum, który od zamku się rozlewał po mieście, otoczył go... Wyładkiem wpadł na gromadę *Familii* prowadzoną przez Żudrę, która poznawszy Brühla, rozjątrzona jeszcze sejmową sceną, powitała go szyderskimi wykrzykami. Trudno się było cofać, niepodobna uniknąć, i przytomność tylko posłów zagranicznych a kilku sług ich potrafiła ministra od większych ocalić nieprzyjemności. Powóz jakiś przechodzący bezpieczni, który zatrzymano gwałtem, odwiózł Brühla do jego pałacu, gdzie strażę saskie i ogromny dwór zupełnie go już czyniły bezpiecznym...

Posłowie, którzy go odprowadzali, pożegnali u drzwi — chwila była wymagająca namysłu i sa-

motności, Brühl blady, lecz już przytomny i ostygły ze świeżych wzruszeń, nie patrząc nawet na służbę cisnącą się ku niemu, przeszedł wprost do swego gabinetu...

Tu niespodziany widok go czekał... Ten syn, którego uczynił ofiarą i naraził na kilkogodzinne męczeństwo, tylko co wróciwszy z izby, leżał na pół żywy na kanapie, blady, rozpięty, ze wzrokiem obłąkanym, zatopiony tak w sobie, iż ojca wchodzącego nie usłyszał, zbliżającego się nie postrzegł. Minister musiał z lekka dotknąć jego ręki, aby go z tego osłupienia przebudzić...

Cześnik podniósł się powoli, dłońmi obiema przecierając oczy, trąc czoło, aby oprzytomnieć — ojciec stał przed nim niemal jak winowajca...

— Co ci jest, mój Alojzy? zapytał...

— Zaledwie wiem, że żyję, odparł stłumionym głosem zapytany... Przebyłem kilka godzin okropnych. Krzyki téj tłuszczy brzmią mi jeszcze w uszach — widzę podniesione oręża... migają mi się te twarze zbójckie... Chciano mnie rozsiekać...

Wzdrygnął się cześnik...

— Maszże tak mało męstwa? cicho wrzucił minister...

— A! gdyby tam tylko o rycerską chodziło waleczność — zawołał Alojzy... gdyby można z orężem w dłoni walczyć — ale stać jak pod pręgierzem, słuchać obelg i nie módz ich pomścić — ojciec mój! to okropne...

Rzucił się na kanapę kończąc i oczy zakrył rękami.

— To nad siły — dodał... tego się wymagać nie godzi...

— Alojzy — odparł ojciec — cofnąć się téż honor nie pozwala zwyciężonym...

— Więc dopuścić rozlew krwi?... zawołał cześnik — dziś tylko przytomność Małachowskiego, który posiedzenie odroczył, zapobiegła rzezi... jutro, jutro nic ich nie potrafi powstrzymać...

Minister milczał...

— Zobaczymy, rzekł — do jutra daleko... Lecz nie byliśmy silniejsi?

— Byliśmy licznie i ze wszystkich względów słabsi. Radziwiłłowsy się źle obliczyli... Książę Karol jest w rozpacz... Ale co nam po sile!... Jeszcze jedno posiedzenie takie, ojciec kochany... a choćby mnie niczyja szabla nie tknęła, ja nie czuję się na siłach do wytrzymania obelg motłochu... Tak — jam do tego niestworzony... Do pracy! każ mi podjąć, jaką chcesz, do walki, choćby być miała rozpaczliwą i nierówną... ale nie do sromotnego wrzasku... nie do tego pręgierza, pod który mnie zawlec kazałeś. Zlituj się nademną... Nie nagrodzisz mi niczem tego cierpienia...

Brühl rzucił się go ścisnąć...

— Uspokójże się, jesteś w gorączce... to nie potrwa... w najgorszym jedno posiedzenie... Uczy-

nisz to dla mnie... Przetrwać je potrzeba... Oto-
czą cię przyjaciele... a potem...

Tu zniżył głos i dodał zamyślony!

* — Sejm zerwiemy!!

Zapukano do drzwi, ktoś głośną mową domagał się wpuszczenia... Sekretarz ministra oznajmił przybycie księcia wojewody, który nieczekając poruszony wtoczył się za nim zaraz... Na twarzy księcia Karola mocno zarumienionej widać było jeszcze nieprzewyciężone oburzenie..

— Pozwolisz, panie mnistrze, panie kochanku, choć jestem natrętny... ale musiałem przyjść oznajmić... Dzisiajemy się nie popisali — to prawda; zwiedli mnie, mało nas było... jutro jak świt salę moi obsadzą, trzysta szabel mam pewnych, jeśli nie więcej. Służymy *Famili*... zechcą krwi, będą ją mieli; my nie pożałujemy...

Brühl ścisnął go za rękę.

— Spodziewam się, że do tego nie przyjdzie, rzekł cicho, ukradkiem spoglądając na syna.

— A ja się spodziewam i Pana Boga proszę, żeby do tego przyszło — odparł Radziwiłł... mnie się odegrana należy... Co to się tam rąbać na słowa i rzucać sobie w oczy łajdakami i szelmami! — to nie szlachecka rzecz, panie kochanku... Wybić się a dobrze... kurtę im skroić porządna, będą cicho siedzieli...

Cześnik milczał zmieszany...

— Wy panie cześniku, dodał Radziwiłł, dajecie im pozór, aby wam zadawali nieszlachectwo... bo w naszej wrzawie wam nie swojsko, i po was to widać... a my w tém, panie kochanku — jak ryby w wodzie...

I rozśmiał się głośno a wesoło...

— Hej! dodał — jutro wszystko będzie dobrze i ręczę — pójdzie jak po maśle... Radziwiłł nie zawiedzie. Proszę pana cześnika z sobą, sam go wiozę, sam za niego moją odpowiadam głową..

Minister dziękował pomieszany, pan Aloizy boleśnie się uśmiechał...

— Mogęż się teraz pokazać? spytał skromnie — chciałbym pojechać do Młocin... Mogą mnie tak rozsiekać w ulicy, jak się odgrażali na zamku...

— A gdzie zaś! panie kochanku — rzekł wojewoda... ci sami co tak krzyczeli na sejmie, będą ci się kłaniali na ulicy. Trzeba znać ten naród, panie kochanku... Gardłować lubią — ale na bezbronnego napaść — uchowaj Boże... To pocziwe ludziska z kośćcami, tylko im języki i dłonie świeżbią czasami.

Że jakoś rozmowa nie szła, wojewoda zabrał się do odwrotu.

— Zatem submituję się, rzekł... a jutro proszę pana cześnika ze mną, już się to dziś nie powtórzy, ręczę — i słowo daję na to — będzie wcale inaczej.

Zasapany wyszedł ledwie Radziwiłł, gdy znać dano o innych przybywających, częścią z sali sejmowej lub wysłanych od głównych osób zamieszanych w téj sprawie. Przedpokój, salka, kancelarya, ganek, były pełne, a między nadbiegającymi toczyły się rozmowy tak żywe, tak wrzawliwe jak przed chwilą na zamku. Nietylko w pałacu Brühla, ale w całym mieście panowało zamieszanie, które przeszło razem z sejmującymi i arbitrami na ulice. W winiarniach i garkuchniach spotykano się grożąc sobie szablami i rozprawiając na języki bez liłości..

Minister, który będąc u hetmana na chwilę się nie pohamował i niepotrzebnie z żalem wybuchnął, mocno tę prędkość swą teraz sobie wyrzucał... Odzyskawszy zimną krew, naradzał się, dawał rozkazy, a że czasu nie było do stracenia, wybierał się, zleciwszy kilku swym poplecznikom starania o dniu jutrzejszym do N. Pana, ażeby mu rzeczy przedstawić w takim świetle, w jakim je widzieć życzył...

Młody Brühl tymczasem zbity i osłabły, kazał zająć powozowi, do którego ojciec dodał w sekrecie sześciu żołnierzy z konnej gwardyi króla, i kazał jechać do Młocin...

Tu było tylko spokojnie jak w uchu; cześnikowa szyła albę, Francuzka ją po swojemu zabawiała, mało nawet wiedziano co się na świetle działo. Ciekawa Dumont wybadała wprawdzie Godziembę,

którego sobie pozyskać potrafiła, lecz nie śmiała spokoju Brühlowej przerywać niepotrzebnie plotkami, dopókiby coś do rozwiązania języka nie dało powodu. Była też najpewniejsza, że minister i król zwyciężyć muszą i tych warcholów w myszą dziurę zapędzą... Tak stały rzeczy w Młocinach, gdy na-przód znużony, błądy i zły powrócił do nich Godziemba, który Brühlowi z duszy sprzyjał i sprawę jego brał do serca, w chwilę zaś potem nadjechali oboje Solłohubowie, a za nimi dopiero ciężki kłus gwardyjskich żołnierzy, z dala towarzyszących cześnikowi, i jego kareta, w której on leżał raczej niż siedział... zbliżyły się do ganku pałacyku... Tu pocziwy Solłohub czekał już na przyjaciela, i wysiadającego w ramiona pochwycił.

— Mój ty biedny Brühl! o! jakże mi cię serdecznie żal!..

Ściskając się weszli razem do pokoju, w którym na nich panie czekały.

IX.

Solłohubowa przybywszy wpadła cała jeszcze rozgorączkowana, oburzona, na pół pijana i niemal osłupiała, znajdując cześnikową najspokojniej w świecie pokaszlującą nad albam, którą na kolanach trzymała. Dumont zabawiała ją czytaniem świątobliwém, od którego doznawała spazmów.

Gdy piękna Marya, z rumieńcami wypalonemi na twarzy, z ogniem w oczach, wbiegła do saloniku, pani Brühlowa przełękła się nieco.

— Co ci jest moja Maryniu? co się stało?

— Jak to? to ty nic nie wiesz? ty tu siedzisz spokojniuteńko... a tam, tam na sali rwali się ludzie rozwścieczeni na twojego męża... twój mąż... a! co on cierpieć musiał! Gdzież on jest? powinien był powrócić? nie wrócił?

Wszystko to wylało się z ust pani Sołłohubowej potokiem... Cześnikowa słuchała zdziwiona — lecz wcale tak nieporuszona jak przyjaciółka.

— Ale, moja Maryniu, rzekła — ja bo wiedziałam, że mąż na sejm pojechał, i że posiedzenie mogło być trochę niespokojne, — ale przy łasce bożej, przy łasce bożej — cóż się tam stać mogło?

— Ty więc nie wiesz, że się do szabel porwano... że gdyby nie Małachowski, przyszyłoby może do krwi rozlewu...

— Moja Maryniu, ruszając ramionami, odezwała się cześnikowa — u nas to bardzo zwykła rzecz... ale się na krzyku i hałasie kończy... Jużciż przyjaciele cześnika nie dopuściliby...

Dumont się wtrąciła...

— Może się to rzadko trafia, żeby na sejmiku lub sejmie aż do rąbania się przyszło, ale bywają przecież przykłady... Wszakże podobno ojciec jednego z dworzan pana wojewody, a teraz hrabiego... pana Godziemby... na śmierć został zarąbany...

Usłyszawszy to imię, cześnikowa wstrząsnęła się, krew jej gwałtownie uderzyła do głowy — rumieniec tak nadzwyczajny oblał jej twarz całą, że Sołłohubowej oka ujść to nie mogło. Szczęściem tłumaczyła to sobie może nagłą troskliwością o pana cześnika...

Dumont przypadkiem czy umyślnie wtrąciła nazwisko to, z którym ciągle od niejakiego czasu starała się oswajać panią cześnikową. Gdy były sam

na sam, hrabina nic nie miała przeciw temu, lecz w téj chwili gdy się jój twarz tak zdradziecko zapaliła, spojrzała znacząco na Francuzkę. Ten wzrok pochwycony w biegu przez Sołłohubową dał jój do myślenia... Nazwisko jój utkwilo w pamięci... W tym momencie wszakże miała nadto do myślenia, aby się zbyt głęboko w jakieś dociekania zapuszczać...

— Na sejmikach siekaniny, wtrącił Sołłohub, to ordynaryjna rzecz, ale na sejmie, pod boki majestatu... prawie niesłychana...

— A! ten ohydny stolnik! ten galant... wołała Sołłohubowa tupiąc nóżką, nienawidzę tego człowieka...

— Niewdzięczna! uśmiechnął się generałowicz— on się w tobie kocha i wielbi...

Żona go uderzyła wachlarzem po rękę.

— Dajże mi pokój! mogłabym się w istocie gniewać za to, bo tych galanterii salonowych nie cierpię... ani tych zdawkowych miłości wielkiego świata...

Wśród żywej rozmowy, twarz pani Brühlowej ledwie nieco się ożywiła, i to z powodu wspomnienia Godziemby. Francuzka, która protegowała dworzanina i ciągle była rada go na pierwszy plan ściągnąć, nie zważając na surowy wzrok hrabiny, szepnęła jeszcze, iż właśnie pan Godziemba, który towarzyszył hrabiemu, powrócił z Warszawy i można go było wezwać, aby opowiedział co się na

sejmie działało. Cześnikowa zaczerwieniła się znowu ogromnie, lecz Sołłohub zrobił uwagę, że oni też oboje przytomni byli do końca scenie całej.

Brühlowa była tak zmieszana, że się nawet dowiadywać nie chciała, ale Sołłohubowej nie od narzekania i wykrzykiwania powstrzymać nie mogło. Biegała po salonie, często ścianom pokazując pięście, i tak jój ślicznie było z tym zapalem i rozdrażnieniem, że kochany mąż, nie mógł się wstrzymać, by nie szepnąć Francuzce:

— Nie widziszże pani, jak ona cudownie jest piękna! ta moja heroina!

— Widzę i widzę też jak waćpan panie hrabio (Francuzka całej szlachcie polskiej ten tytuł dawała) okrutnie jesteś śmieszny...

— Czém? spytał Sołłohub.

— Ale bo, któż się przyzwoity w żonie kocha! szepnęła Francuzka złośliwie... i uśmiechnęła się szydersko...

W téj chwili zahuczało, Sołłohub wybiegł i wprowadził Brühla, którego w progu nie żona, ale kuzynka obie ręce doń wyciągnawszy przywitała...

— O! mój biedny! biedny hrabio! zawołała z uniesieniem...

Brühl spojrzał okiem pełnem wdzięczności, pocałował ją w rękę i poszedł podać dłoń żonie, która wstała sztywnie, spojrzała nań chłodno i wybąknęła:

— Ja się dopiero teraz dowiaduję... Ja nie nie wiedziałam.

— Ale bo po cóż miałaś się pani niepokoić? dorzucił Brühl... część tego dramatu dzięki Bogu przebyta... a co nastąpi... przeżyjemy...

Westchnął... Dopiero spojrzenie na piękną Maryę, której oczy go wszędzie ścigały, odżywiło ostygłego nieco cześnika...

— Gdybym była mężczyzną dziś — odezwała się Sołłohubowa, — proszę mi wierzyć, byłabym nie wytrzymała i z szablą się rzuciła na *Familię*...

— A! pani — rozśmiał się smutnie Brühl... zbliżając się do niej — a ja, gdyby było w méj mocy, byłbym sromotnie uszedł z téj izby obrad. Rozkaz ojca mnie tam przykuwał... Jesteśmy tak jak w familijném kole... nie będę tań, że mi to wszystko sprawia ohydę... Ta sala obrad, z mojej przyczyny zawichrzona, ja powodem do walki! Moje położenie... Ci panowie są źli, mściwi, to prawda są moimi nieprzyjaciołmi, ale któż wie, może oni mają słuszość, a ja mogę jej nie mieć. Jestem wprawdzie dobrym szlachcicem turyngijskim i hrabią państwa rzymskiego, ale moje polskie szlachectwo jest tylko fikcją prawną lub nieprawną...

— Co do mnie — dodał ożywiając się tak, jak go żona rzadko widywała — co do mnie wolałbym był stokroć pójść walczyć z Turkiem, z Prusakiem, z szatanem... niż stać pod tą rynną obelg i grózb... nie mogąc się ruszyć... Ani to moje po-

wołanie — dodał gorąco — jam trochę żołnierz, trochę artysta, trochę literat, a nie a nie nie stworzony do tego waszego świata polskiego... Skłaniam głowę przed tą republiką naśladowaną ze starożytnych, ale mi ona nie przemawia do serca.

To mówiąc Brühl padł na krzesło...

— Témbardziej mi wacpaua żał, panie hrabio, rzekła Sołłohubowa zbliżającego się do niego, tém ohydniejszą wydaje mi się napaść stolnika, i takiego księcia Adama, obu znających go doskonale i wiedzących co czynią...

— Ja ich tłómaczę — odezwał się Brühl — polityka nie zna brata, ani ojca, ani litości, ani względu... jest to smok który chłonie szoroką pa-szczą co mu się do niej nawinie...

— Za cóż wy macie padać jój ofiarą? zapytała cicho Marya, patrząc na niego.

— Przeznaczenie! fatalizm! westchnął Brühl.

Zaczęto opowiadać epizody, które każdy inną część sali mając na oku pochwycił. Jedne uszły wejrzenia i ucha Brühla, drugie Sołłohuba — inne nawet na wszystko baczuńj pani Maryi.

Generałowicz, który nie wiedział ani się mógł domyślać, jakie tu może uczynić wrażenie, mówiąc o Godziembie, wśród tych krzyżujących się powiastek — nagle wykrzyknął:

— Ale wiesz, Brühl, tyś bo szczęśliwy, umiesz na miłość zarabiać, sam o tém nie wiedząc może. Że myśmy cię tam otaczali, Radziwiłłowie, Lubo-

mirski, Opacki, ja... to nic dziwnego, bez twój nawet wiedzy, wcisnął się na salę pocziwy jakiś twój dworzanin, który cię z oka nie spuszczał, i szabla mu tak drgała w ręku, a oczy się paliły, żem się co chwila awantury spodziewał. Przecho-
dzącego księcia Adama o mało za kołnierz, bez respektu jego tytułu, nie pochwycił. Ażem był ciekaw jego nazwiska się dowiedzieć, bo go tu często widuję... Zowie się Godziemba... dodał Sołłohub— winienesz mu, co najmniej szablę honorować...

Oprócz pani Sołłohubowej i Francuzki, nikt nie uważał, jak żywo, pokraśniawszy cała, rzuciła się Cześnikowa do alby leżaczej na kolanach.

Brühl się uśmiechnął.

— A! to pocziwy mój i najulubieńszy — prawie mogę go nazwać przyjacielem — rzekł z twarzą rozjaśnioną: serce złote i głowa dobra. Aniby się kto mógł domyślić, ile uczucia i rozsądku jest w tym biednym chłopcu...

Pani cześnikowa ciągle miała oczy spuszczone, ręce jej drżały, twarz płonęła, Francuzka spoglądała na nią niespokojna tym brakiem panowania nad sobą, ale coraz mocniej utwierdzając się w przekonaniu, iż miała wielkie obowiązki zbliżenia dwóch istot tak siebie godnych, tak się kochających, a tak — na nieszczęście, jak ona zwała — niezgrabnych...

Brühl wpadłszy raz na swojego ulubieńca, mówił o nim jeszcze długo, napomknął bardzo deli-

katnie o jego przygodach, o których nie śmiał się rozwodzić, aby teścia nie obwiniać, i dodał:

— Jestem bardzo przywiązany do poczciwego Godziemby... a trochę téż mnie ku niemu i los jego niezwykajny przywiązuje... Cały dramat jest w jego życiu, a ja tak dramata lubię! Ojciec zginął rozsiekany... do sieroty przywiązała się mamka staruszka... która za nim w świat poszła, która go raz już uwolniła z więzienia, która i tu się przywlokła... a tę on jak matkę szanuje, utrzymuje i służy jój jak syn przywiązany...

Francuzka słuchała z uwagą natężoną.

— Na tém nie koniec, dodał Brühl, który rad był, że mógł nieznośną dlań o sejmowych historiach przerwać rozmowę... Okazuje się, iż mój Godziemba jest bardzo dobrej i starój rodziny...

— To samo jego nazwisko dowodzi — dodał Sołłohub... ród niegdyś znaczny i bogaty... Ale zkadże ty wiesz o tém?...

— Przypadkiem — rzekł Brühl — na sejm z głębi województwa Mińskiego przybył tu stary, bezdzietny Godziemba, którego nie wiem dla czego tytnują podczaszym... Ma pono parę mil kraju w pińskich błotach, i jedną córkę, dla której koniecznie Godziemby szuka za męża, aby majętność z rodu nie wyszła... Obsedują pono mojego dworzanina...

— A ten, zawołał Sołłohub śmiejąc się — *se laissera faire une douce violence.*

— Otóż nie, rzekł Brühl... i dlatego sprawa wytoczyła się aż do mnie...

Umilkli wszyscy — cześnikowa tak się schyliła nad robotą, że prawie głowy jej już widać nie było...

— Czysty romans — odezwała się Solłohubowa dla was panie hrabio, co z taką łatwością tworzysz dramata, gotowy materyał...

Brühl zerwał się z krzesła...

— A! pani zawołał — czemuż nie mogę zamiast sejmowe przebywać dramata, siedzieć, marzyć, pisać i pozostać w kątku spokojnym! Bardzo kocham wasz kraj, który po części za swój uważam, choć mi tu szlachectwa odmawiają — ale do niego mam żal za to, że mi żyć przeszkadza... Tak z historii Godziemby, dodał, byłby wyśmienity dramat w pięciu aktach... tylkoby trzeba dodać młodzieńcowi jakąś miłość piękną, coby go od przyjęcia ofiary wstrzymywała... a to chłopak jak lód...

Francuzka patrząca na Brühla jak w tęczę, otworzyła oczy mocno i uśmieszek przebiegł po jej ustach. Nader przebiegła pani Solłohubowa, pochwytawszy rumieńce, milczenia, wejrzenia, uśmiechy, coś sobie już z nich prząść poczyniała. Imaginację miała tak żywą, jak Brühla... Cześnik w tém kółku — trochę wytchnąwszy — zdawał się umyślnie myśl odrywać od jutra groźnego i obrzydłych mu zapasów sejmowych, począł więc znowu

coś mówić o historii Godziemby, gdy żona jego, jakby jęj coś nagle na myśl przyszło, o czém była zapomniała, wstała i wyszła do drugiego pokoju. Dumont natychmiast, czując się tam potrzebną, pośpieszyła za nią.

Brühl bywał zwykle jakoś w najlepszym humorze, właśnie naówczas, gdy żony przy sobie nie widział. I tym razem lice mu się rozjaśniło — ale nie miał szczęścia, zaledwie pozostał sam na sam z Sołłohubami, gdy mimo późnej pory zahuczało pod gankiem i głosy się słyszeć dały.

— I to prawdziwa kara boża! wykrzyknął ręce łamiąc — nie dają mi spocząć ani odetchnąć! Nie dosyć, że posłuszny robię co mi każą, i idę na tortury, muszę jeszcze słuchać zawczasu opowiadań próżnych jak mnie dręczyć będą.

Sołłohubowa ze zwykłą swą żywością zbliżyła się do męża; dość było jęj uśmiechu, aby w ogień czy wodę rzucił się na jęj rozkazy...

— Mój drogi, rzekła — a miéjże téż litość nad hrabią — idź, mów, baw tych nietoperzów, co po nocach nie wiedzieć za czém latają, a uwolń mi biednego Brühla...

— Tak, szepnął posłuszny generałowicz — idź — i zostaw was samych!..

Obraziła się piękna pani, rumieniec wytrysnął jęj na twarz...

— Idę z tobą — rzekła, i posunęła się ku drzwiom. Brühl, który więcej się domyślił niż sły-

szął — rzucił się téż sam zawstydzony naprzeciw natrętnych gości... Nie wpuszczono ich do salonu ale naprzeciw słychać było już rozmowę, tonem, który przedłużoną sejmową sessyę przypominał...

Sołłohub obie ręce na ramionach położył przyjacielowi. Brühl — rzekł — nie puszczam cię, zostań... spocznij, pójdę się rozmówić za ciebie... Dobra moja Marya ma słuszość, byłoby okrucieństwem cię zamęczać... Zostań tu...

Spojrzał na żonę, która została téż w salonie... a że ani Francuzka, ani pani cześnikowa nie powracała — byli więc sami.

Brühl obejrzał się za odchodzącym, rękę położył na sercu...

— Pani jesteś aniołem! zawołał, aniołem dobroci.... a ja — czuję się jój łaską dla mnie upokorzony. Biedny Jaś... poszedł... a co się tam w jego sercu dzieje...

— Jest zazdrosny trochę — chłodno odparła piękna pani — trzeba żeby się tego oduczył...

— A to tak trudno! rzekł Brühl, zbliżając się do Sołłohubowej i biorąc jój rękę, którą do ust przyłożył...

Ten cichy pocałunek... przerwał rozmowę, bo poruszył serca. Sołłohubowa oddaliła się wolnym krokiem, Brühl pozostał w miejscu...

— Jeszcze ten dzień jutrzejszy — poczęła stawać się nieco dalej piękna Marya — przeżyć go trzeba... potem nareszcie koniec jakiś nastąpić musi.

— Gdybyż! zawołał Brühl... ależ to straszny program na jutro. Szable! *ultima ratio*!

— Ja nie wierzę, ażeby do czego więcej niż do hałasu przyszło — odezwała się Sołłohubowa — ale i ten przeżyć..

Wzdrygnęła się.

— A! to okropne!

Szczególniej dla tego co się czuje przyczyną wszystkiego i... jest ofiarą... Ani na chwilę nie zabiło mi serce do zwycięstwa... a krwibym był dał utoczyć — za pokój i zgodę — ale jakże do niej dojść! Ci, co byli moimi przyjaciółmi młodości stają grożąc mi śmiercią... I to wszystko dlatego, aby pan Ogiński nie Radziwiłł został wojewodą wileńskim, aby kilka dygnitarstw poszło w ręce *Famili*, gdy jabym oddał wszystkie w świecie za cichy i niezamącony żywot w Młocinach, lub wreszcie w jakimkolwiek świata kątku, wśród starych drzew, zielonych łąk... ze sztuką, z książkami... z myślą...

Sołłohubowa odwróciła się ku niemu.

— I nic więcej? spytała.

— Bo nic mi więcej pragnąć nie wolno — dodał Brühl... a przynajmniej przez usta nie godzi się puścić życzenia...

Zamyślili się tęsknie oboje... rozmowa doszła do tego kresu, po za który i ona już przejść nie mogła. Służący wnosili właśnie podwieczorek, i wracająca Francuzka sama, ukazała się w salonie.

Brühl uznał za właściwe, rad nie rad wynijść do tych huczących w jego gabinecie gości, których tam za niego przyjmował Sołłohub...

Trzech czarno ubranych Radziwiłłowczyków, pp. Szukszta, Slepś i Kimbar, razem z panem Szymanowskim i Sołłohubem, krzyczeli przy kieliszkach już tak głośno niemal jak na sejmie. Rozbierali to co się stało i opowiadano co nazajutrz postanowiono. Od progu już twarz Brühla przybrała wyraz znudzony i męczeński... Przybyli zobaczywszy go, oskoczyli; Slepś przystąpił pierwszy..

— Książę Jegomość jeszcze nas tu przysyła, rzekł, *iterum iterumque* upraszając pana hrabiego, aby się na sejm nie ruszał, tylko w naszej komitywie, i z nim razem... Na jutrzejszy dzień sam książę jegomość popis czyni osobiście i mniej trzechset nas nie będzie, a do dwóchset jeszcze ciurów na odsiecz postawimy w dziedzińcu, jeśliby było potrzeba... Na dany znak izbę zaleją. Jeżeli *Familia* tém się ludzi, iż jak dziś weźmie prym nad nami, może to drogo przyplacić...

Brühl się skłonił w milczeniu.

— Mam nadzieję, że jutrzejsze posiedzenie spokojniejsze będzie.

— Wszystko to być może — wtrącił Kimbar tracąc łysinę — ale panie hrabio, my wszyscy, kto jakie żelazo ma dla osłonięcia piersi, włożymy... Zbroiczka nie zawadzi. Szable się wszystkie ostrzą, bo to do licha przez ten długi pokój pordzewiało...

Książę w dziedzińcu pałacowym kazał ustawić koło i szlachta jak z processją idzie do szlifierza...
Będą jak brzytewki!

Pokręcił wasa.

Brühl milczał.

JMPan Szuksta strukczaszc ludzki, którego to bolało, że sam jeden dotąd się nie odezwał, wtrącił téż.

— Książę pan miłościwy, takiego animuszu na jutro, jakeśmy go nie widzieli od ostatniego zajazdu... o którym nie pora tu prawić... Bóg świadek i dzisiejszy dzień nie byłby nas takim wstydem nakarmił, gdyby nie wyraźne rozkazy J. Kr. Mości i pana ministra. Byłoby się hydrze od razu łeb ucięło, i to bez metafory...

To mówiąc ryknął pan strukczaszc ludzki śmiechem potężnym, aż się po całym domu rozległo...

Brühl był tak zakłopotany, że dla wyjścia z położenia trudnego, nie znalazł innego środka, tylko ująć za kielich i wypić zdrowie księcia wojewody.

Litwa zawtórowała, aż się okna wstrzęsły, bo wszyscy już byli pod dobrą datą — kobiety w salonie choć poznały, że to był wybuch i manifestacya radości wielkiej — zadrżały z obawy... Zatem Litwini, nie dając się zatrzymać i oświadczywszy że książę w pałacu swym będzie oczekiwać na hrabiego z całą komitywą, submittowali się i hałaśliwie wyszli wyprowadzeni przez Sołłohuba...

Został tylko Szymanowski, w innym pono poselstwie wysłany, który się dotąd nie wiele odzywał... Wziął on na bok Brühla.

— Wszystko to dobre, rzekł: — nawet się bez tego na jutro i obejść byłoby trudno, ale koniec końcem, mnie Jego Ekscellencya tu przysłała, abym hrabiego uspokoił i zapewnił, że gdy jutro się nie złożyć nie da, a *Familia* upornie przy swém stać będzie, sejm zerwiemy...

— Kto? zapytał Brühl... mogą w takim razie już nie mnie, ale tego śmiałka rozsiekać... Sam wacpan wiesz, jak krajowi ten sejm jest potrzebny, jak go sobie życzą... Któż się odważy?

Szymanowski uśmiechnął się, pokręcił wąsika kłaniając rzekł, ręką wskazawszy na piersi.

— Ja — panie hrabio...

— Wy?

— Tak, ja sam — to rzecz ułożona, odparł spokojnie Szymanowski. Naturalnie dopełniwszy aktu tego, i złożywszy manifest w grodzie, ujdę w téj chwili z Warszawy... a moi Ciechanowianie, dali Bóg nie mi nie zrobią. Choćby téż przyszło i na jaki rok za granicę wędrować, nie jestem od tego...

Twarz i humor posła dowodziły, że Jego Ekscellencya, musiała już warunki z nim umówić, i że Szymanowski był z nich zadowolony. O tém jednak nie wspomniał.

— Z *Familią*, dodał szydersko — mam od dawna na pieńku, rad będę odwdzińczyć... dla Jego Eks-

cellencyi zaś i pana hrabiego, czuję tak wysoki szacunek, iż z chęcią się poświęcę...

Brühl w takich razach mało mówny, chłodno dosyć podał mu rękę i westchnął...

— Radbym jednak, rzekł, aby się obejść bez tego mogło... Któż wie — jutro spokojniejszym być może!

— Tego się nie spodziewamy, przerwał Szymanowski. Litwini nie przesadzili wcale: nietylko u nich, ale po całej Warszawie o szablach tylko i o zbrojach myślą ludzie... Ci, co przy szpadach chodzą, rapiry gotują. Koszule żelazne dawno już nie wdziewane czyszczą się ze rdzy, pucują rzygafy... i wszystko wojną oddycha... Takięj sali sejmowej jak jutrzejsza, jeszcze generacya nasza nie widziała!

Brühl pobladł.

— Ani nieszczęśliwszego nademnie człowieka — rzekł w duchu...

O ile pan Aloizy zdawał się strapiony przewidywaniem jutra i losów sejmu, o tyle poseł ciechanowski wydawał się z tego szczęśliwym. Uśmiechał się, węszał kręcił, mówił żywo, śmiał się i był w najlepszym humorze, jakby głowie jego i plecom nic a nic nie zagrażało... Pewien był siebie, choć najniebezpieczniejszą rolę dobrowolnie brał na barki.

Sollhub z rodzajem politowania, jeśli nie wzgardy, spoglądał nań z ukosa.

— O zerwaniu sejmu, rzekł — nie może być mowy, chyba w ostateczności...

— A ta ostateczność nadejść musi, zawołał wesoły Szymanowski, jakby mu o to wielce szło, żeby go ona nie minęła. Wiemy to dobrze przez tych co na dwóch stołkach siedzą i z dwóch stron słuchają, i po obiedzie u hetmana, kanclerz i wojewoda rozdrażnieni do najwyższego stopnia, zakleli się że na włos od żądań swoich nie odstąpią. Chcą bądź co bądź, mieć krzesło wileńskie dla Ogińskiego, a Radziwiłł, któremu jest przyobiecane, który je za spadek po przodkach uważa, pewnie dobrowolnie rzeczy już sobie przyrzeczonej nie odstąpi... Macano go z różnych stron o to, ofiarując mu kompensaty, ale z litewskim niedźwiednikiem trudno, wąsa pokręcił i rzekł krótko:

— Mam sześć tysięcy ludzi, panie kochanku, na obronę jednego krzesła... zje dyabła, kto go dostąpi.

Szymanowski zmilczał chwilę...

— Jeśli tak, rzekł Brühl—choć hałas w kraju znowu będzie ogromny za sejm zerwany, a na mnie spadnie wina cała... gdy rzecz nie uchronna, im prędzej, tém lepiej.

— Ale jutro honor każe się stawić i dotrwać na stanowisku! rozśmiał się Szymanowski... Zre-sztą, rzekł z kontusza dobywając kawał papieru, manifest na każdą chwilę gotów, na każde zawo-łanie gotów, tylko poń sięgnąć do kieszeni!!

Sołłohub i Brühl spojrzeli po sobie — poseł ciechanowiecki zdawał się dumnym swém bohaterstwem... Spojrzał na zegar i do czapki kroczył.

— Dłużej zabawiać nie będę, rzekł... a jutro *summo mane*, wszyscyśmy na stanowiskach, część naszych śpi w sali, a część w dziedzińcu czuwa.

X.

Dziedziniec obszerny pałacu Radziwiłłowskiego, dziwny i malowniczy widok przedstawiał tego wieczoru...

Pomimo znacznej obszerności gmachu, nie mógł on całego dworu pańskiego pomieścić; większa część służby, pociagowych koni, furgonów, obozowiska stało pod gołym niebem. Ludzi też ciżba była niemała. Dwa wielkie namioty dla schronienia czeladzi rozbite były w pośrodku. Paliły się ogniska i widać było, jak się przy nich na improwizowanych roznach z drewnianych patyków obracały pieczenie... Dwie ogromne szubienice w głębi całe zawieszone łośiami, dzikami, sarnami, i wiązkami tuzinów zajęcy wznosiły złowrogie swe ramiona do góry... W jednym rogu szałas dla psiarni na przędcie sklecony, nie dawał pokoju ludziom, bo goń-

cze i charty w nim wyły, szczekały, warczały i skowyczały bez ustanku. Niekiedy zniecierpliwione tym hałasem, niedźwiedzie zaprzęgowe stojące na stajni, poczynaly téż ryczeć, a konie po stajniach wystraszone rwały się i rżały...

Ludzie śpiewali i śmiali się u ognisk, Cygan grał na drumli, kozaczek brzdąkał na teorbaniku, przywabiony ślepiec grał na lirze niestrojnej zawodząc pieśń żyrowicką, — słowem wśród nocy — spokoju tu nie było nawet. Noc też była wyjątkowa, bo książę uparł się koniecznie aby swoje szable sam spisał i zlustrował, nie dowierzając innym, aby nazajutrz pewniejszym być zwycięstwa... Szlachcie zgromadzonej i gromadzącej się do pałacowej sali największej na dole, przysposabiano posiłek i ochłodę, bo przykazanie było, ażeby niczego nie brakło, i aby wszystko szło po radziwiłłowsku... Ludzie co chwila wychodzili i wchodzili, gnano posłańców, znoszono żelaziwo, a sprowadzony stary ślifierz, którego z kołem postawiono umyślnie naprzeciwko bramy, ostrzył szable, które stosami przy nim składano.

Dla większej manifestacyi, raczej niż z istotnej potrzeby, kto miał i kto mógł, chciał koniecznie na jutrzejszy dzień odziać się trochę w żelazo... A że zbroje, pancerze, kolczugi i wszelki tego rodzaju przybór wyszedł był z używania i mało go gdzie widać już było, chyba od parady, trudno się nawet Radziwiłłowi przychodziło w blachy zaopatrzyć. Pożyczono ich z arsenału, po mieszczanach,

w cekauzie, po ludziach jak kto mógł... Co chwila w bramie ukazywał się albo wóz naładowany żelazem, albo człek niosący po kilka zbroi na głowie. Wszystko to pordzewiałe było, rzemienie pogniłe, sprzączki porwane, tak, że wstyd się w tém było ukazać, i w izbie na to przeznaczonój, czeladź cegłą tartą, kredą, sadzą, szorowała stare łomy, żeby na nowe wyglądały. Spędzono rymarzy do skór...

Przy tém wszystkiem śmiechu, i piwa, i zawożenia, a śpiewów było co niemiara, bo służba tego na seryo nie biorąc, potrzała na przygotowania jak na komedję. Krzątania téż tu w pałacu Radziwiłłowskim i zbiegowisko ciekawych wywołała. Z ulicy wchodzono się przypatrywać kupami, to szlifierzowi, który szable ostrzył aż się skry sypały, to ogniskom i pieczeniom, a przeze drzwi gawiedzi wesołej, która zbroje pucowała i dopasywywała.

Stara Kuźmowa zwana Poteruchą, która z rana z taką powagą sprzedawała placuszki na sali, nie wzgardziła wieczornym zarobkiem, jaki się nastreczał w dziedzińcu Radziwiłłowskim. Może téż ją sama ciekawość tu przywiodła z koszykiem. Wszyscy ją znali, ten i ów zaczepiał, bładziła swobodnie wśród tych kup, między ogniskami, aż do klatek, w których pod bramą w głębi stał i miotał się dziki zwierz żywy... Postać téż to była jakby stworzona do tego obrazu dziwnego, pełnego światła i cieni, najosobliwszych strojów i niewidzianych istot, wyrwanych puszczołom litewskim... U ognisk słychać

było obok pospolitej mowy, jak się odzywał *Żemaj-tys kukutys* do Litwina, a Białorusin do Poleszuku... Nie zbywało też na usługnych Żydach, rzemieślnikach i niewiedomego powołania odartusach... Płec niowieścia wcisnęła się w niejednen kątek, zdradzając się mimowolnie śmiechem nadto głośnym. Gdy psy a konie zbyt wrzawliwie się odzywały, klaskanie z bagotów głuszyło je i uspokajało...

W oknach pałacu świeciło rzędem tak, że i jednego może ciemnego nie było... Książę nowo mianowany wojewodą, w ogromném krześle skórą złoconą wybitém, w kołpaku na głowie, obie ręce położywszy na poręczach, otoczony dworem, sprawiał właśnie lustracyę sił swoich. Twarz miał wielce posepną, wąs mu się zwiesił zaniedbany na wargi, i czoło pofałdowało... Obok niego siedział z podgołoną głową pisarzyna, przed nim kałamarz duży rozplaszczony jak łapka na muchy, arkusz papieru, linia... i piasek na skorupce... Szlachta przychodziła po kolei powoływana od stołów, obcierając wąsy po piwie i bigosie, i submittowała się panu wojewodzie, który do znajomszych przemawiał, innym głową trząsł, z niektórymi dłużej, jak pod humor, rozmawiał. Mówiono o *Famili*, szczególnie o księciu kanclerzu, iż szlachtę Rzeczypospolitej niemal całą, jej kolligacye i ramifikacye znał i na pamięć umiał, toż samo powiedzieć było można o księciu Karolu, że na Litwie, szczególnież około Nieświeża, Mira, Słucka i dóbr swoich, nie było dworku, o którymby

coś nie wiedział i nie pamiętał. Z tych to rodzin składał się dwór liczny, służba, wojsko nadworne, officjaliści, dzierżawcy, a niektóre z nich od wieków klientellą były połączone z domem Radziwiłłów i przechodziły z ojca na syna... Mało u kogo nie trzymano dziecka do chrztu, nie pisano się do intercyzy z datkiem, nie swatano, ba! i nie chowano, gdy był zasłużony...

Książę Karol od młodu był otoczony wybranymi z pomiędzy tej szlachty domownikami... Znał też doskonale większą część, a miał oko trafne, że się też wielu i po stroju mógł domyślić, bo choć to niby cały kraj tam nosił jednako i makowe kapoty były jego cechą od Zygmuntów jeszcze — prowincjami szły czapki, kapuzy, pasy i krój nawet odzieni... Dosyć było rzucić okiem na gromadę, aby trafne, wejrzenie Oszmiańczuków od Lidzian rozpoznało. Książę Karol zaś, z tych, którzy z nim przyjechali na sejm, bez mała każdego nietylko twarz, ale nazwisko i całe *curriculum vitae* pamiętał. Że w tej Warszawie pokus było co nie miara, a przeciwna partya bałamuciła i odciagała, często pojąc do upadłego, aby w porze ludzie stanąć nie mogli, książę już sam każdemu chciał w oczy zajrzeć, aby *mores* znali, i żeby się na jutro nikt absentować nie śmiał.

Nudziło go to niepomału — ale szło o honor radziwiłłowski, szła więc kolej jednego po drugim,

a pan Łopott, który pióro trzymał, wszystkich kładł na regestrze.

Staął najprzód srodze opalony szlachcie, z żywymi oczyma, błyszczącemi jak u kota, ruchawy jak żywe srebro, opończa podpasana, wąs do góry, skłonił się do kolan.

— Pan Wareszczaka! szepnął zapisując Łopott.

— Witam waszeci — rzekł książę, a wielu wacpanów jest...?

— Nas? dwu, mości książę... rzekł przybyły — Andrzej i ja...

— Andrzej, panie kochanku, gdzie?

— Za mną stoi.

— A, prawda. Wiecie appel?

— Toć się wie!

— Nie chybiecie, panie kochanku?

— Jakim sposobem? chybaby się żywym nie było...

— Piszze dwóch... rzekł książę.

Wareszczaka chciał odchodzić, wtém książę Karol coś sobie przypomniał.

— A dereszowaty jak się ma?

— Dziękuję, W. Ks. Mości, krew mu puścili — odszedł...

Ledwie się ten usunął, nastąpił drugi, szlacheckich arestokratycznych rysów młodzian, z wielką butą, nawet się księciu wojewodzie mało co pokłonił.

— Dobry wieczór, panie Rudomina! Iluż was jest? bom dalipan zapomniał, panie kochanku...

— Pięciu!

— O, to dobry kontyngens! rzekł książę, a każdy Rudomina stara krew, chłop w chłopą, stanie za dziesięciu śledzi warszawskich... Pisz, Łopott...

Książę się przypatrywał maleńkiej sucherlawej figurce, która stała, trochę się w bok przekrzywiwszy...

— JMPana Bielaka... Czyś sam?

— Trzech, mości książę...

— Pisz Łopott, trzech Bielaków, to także nie przelewki... choć to nie pozorne, ale dyamenty szczere...

Skłonił się Bielak i umknął co prędzej, a tuż sunął się człek blady, duży, kościsty, czegoś jakby nie swój, pochmurny, lecz z miny mu widać było, że z nim nie ma co żartować.

— Pan Dawid Budny! podszepnął Łopott.

Ten się pokłonił.

— Nie byłoby rycerzy nad Budnych — odezwał się książę — gdyby się tylko śpiewać Godzinki nauczyli... zamruczał wojewoda i rozśmiał się.

— Co ma szabla do wiary? posepnie odpowiedział zagadnięty i ramionami ruszył.

— A, przepraszam panie kochanku — zawołał wojewoda.. Nie uwłaczam bynajmniej ani twój wierze, ani szabli, alebym wolał żebyś mi, da Bóg doczekać, do Ś-go Piotra razem towarzyszył i dalej... a tak...

Zrobił minę ustami — Budny oczy spuścił — i dla prędszego dokończenia rozmowy odezwał się:

— Jest nas na usługi W. Ks. Mości, sześć szabli kalwińskich, ale za tyleż katolickich staną.

I odszedł....

Wnet, żeby czasu nie tracić, wcisnął się mały, łysy człowieczek z wąsami tak okrutnemi, jakby się niemi chciał nasztukować.

— Do nóżek się ściele księcia wojewody! Korewów prowadzę niewielu, ale dobrych i wypróbowanych, nie ma jednego bez kresy...

— Pisz tam panie Łopott, panie kochanku, Korewów się zna...

Mały się uśmiechnął.

— A, zmiłuj się mój bohaterze, panie kochanku — dodał książę, wąsy sobie do pasa przy-mocuj, bo w téj ciźbie to ci gotowi sztukę spletać familianci... obetną na perukę...

— Śmiać się zaczęto...

— Ktoby się tknął moich wąsów, mości książę, głowy swój nie byłby pewien! zawołał mały, schylił się do kolan, a że pisarz niecierpliwie dawał znaki, chciał odchodzić, aż książę mu rzekł:

— Umoczże wąsy w piwie, i posmaruj bigosem, aby na jutro sił nie brakło...

— *Factum est!* rozśmiał się zagadnięty i rażno odszedł.

Zatém szły Narbutty, takiego samego herbu Trały jak i Radziwiłłowie, których z tego powodu

szczególniej książę respektował, bo nawet starych Rustejków, których trąba nie była potrójną, miał za dalekich kolligatów, — po nich krewni też książęcy Rdułtowsy i Rajecy. Ze wszystkimi książę mówił, śmiał się i szablunkował. Daléj następowali Jodkowie, Dowojny, Ilinicze, choć ubodzy, ale prawdziwi, Obuchowicze, Glinki, Judyccy, Zienkowicze, Tryznowie... Dla każdego znalazło się słowo, wspomnienie, żart lub komplement. Gwarnie to przychodziło, wprost od miski i kubka, i powracało nazad do sali, w której stoły i ławy ciągle na gości czekały. Przyszła koléj na niejakiego Kiełbsza, a było ich tam z pięciu tego rodzaju. Kiełbsz miał we łbie, stawiał się mnąc czuprynę z razu, potem pomiarkowawszy się, czapkę oburącz wziął i stanął jak należało przed dowódcą, bo do regimentu był wpisany.

— A — Kiełbsz? — dobry wieczór panie kochanku.

Skłonił się z lekka przywitany.

— Czybym nie mógł słówko powiedzieć! rzekł jękając się.

— Aby prędko... panie kochanku...

— Bo proszę księcia jegomości — mam w sumieniu wątpliwość.

— To idź do księdza... odparł wojewoda śmiejąc się...

Wzdrygnął się Kiełbsz.

— Jakże to może być — wrzucił, — aby my z księciem Niemca forytowali? he? Boć Brühl... szołdra...

— Hm! głową kręcąc rzekł książę, namysławiając się trochę — ot jadłbyś kielbasę a milczał — a król co??

Zmieszał się Kielbsz... i wysunął.

Niektórzy poczęli z niego drwić.

— Dajcie-no pokój — po cichu odezwał się wojewoda, — należy respekt jego zdaniu... choć się na polityce nie zna... Kto tam następuje? A, pan Puciata! a oto widzę za nim Skorobohatego? dobry wieczór! I Wigurów... Pisz, panie Łopott...

Wszystko to przedefilowało, ocierając wąsy... Nadszedł Jelec....

Stary to ród był, ale bardzo zubożały... na Jelcu widać to było...

— Mości książę, rzekł — w jego usługach się nie próżnowało, szabla mi się wszetecznie podarła..

Dobył ją z pochew, cienka była od szlifowania jak scyzoryk.

— Jak przyjdzie jutro machnąć, byle który grubszy a twardszy miał kark, despekt będzie..

— Każ sobie dać inną — rzekł książę.

— Ba — oni mi to już tam swatali kilka, ale to gdzieś z kos porobione czy co, której popróbowałem nagiąć, to się kurczy i nie odchodzi. Przytémby się zdał jaki kawałek blachy na piersi, bo się kryć za drugich i próżnować nie myśli.

Jelec widocznie chciał, korzystając z okoliczności, trochę się uzbroić; książę się począł śmiać i skinął do Wołodkowicza.

— Każżę mu dać ze zbrojowni co pocziwego.. Jelcowie przecie na herbie noszą mitrę, choć dziś jój nie używają, niech im choć szabel nie braknie..

Znaleźli się w orszaku książęcym i ubodzy Gerdrojciowie, tak jak u wojewody kijowskiego Czwertyńscy. Ale kogoż tam nie było? Jednego podejrzanego szlachectwa nie napytałby tam najsurowszy heraldyk, bo w procedencyę ściśle bardzo wglądano. Zdawało się już przebierać szabel, a Łopott podsumowując wcale piękną sumę miał na regestrze, gdy stary, siwy, otyły, o kiju, łysy, zjawił się szlachcic, wcale dziwnie wyglądający wśród tych rębaczów. Książę się za innymi stojącemu przypatrywał bacznie, nie mogąc poznać. Nie wiedział nawet co on tu robił, bo do pocztu na jutro się gotującego, widocznie należeć nie mógł. Zaintrygowany tą spokojnie oczekującą postacią, wojewoda zapytał z kolei przybocznych, i nie rychło mu znać mógł kto objaśnić, kogo mieli przed sobą, bo się jedni drugich rozpytywali nim nazwiska doszli.

Książę już po trosze ziewał nad tym rejestrem. Kazał Łopottowi pokazać sobie listę i znalazłszy ją dostateczną, a porę spóźnioną, nakazał *silentium*. W chwilę potem, jak mak siał, zrobiło się cicho,

a z drugiej sali poczęli się cisnąć słuchacze, bo się domyślano, że ksiązę przemówić chciał do swoich.

— Mości panowie a bracia — rzekł wstawszy i z lekka skłoniwszy głowę, a zaraz napowrót siadając — dziś się sprawę pokpiło, panie kochanku... Kto kocha Radziwiłła, jutro ją naprawi. Ale że król J. Mość, pan nasz miłościwy, żałuje krwi szlacheckiej i nie radby ją widzieć przelaną... więc my winniśmy mu być posłuszni; pierwsi się nie porwiemy, to pewna, a zaczepieni... nauczymy *mores*. Zatem z flegmą, ale ostro, panie kochanku..

I ręką machnął. Czapki podrzucono w górę: — Wiwat! ksiązę wojewoda...

Ksiązę Karol ze stopnia, na którem stało krzesło zszedł i chciał ze swoimi do sypialni się usunąć, gdy mu stary szlachcie o kiju drogę zaszedł i do nóg się skłonił.

Przedstawiono go wojewodzie jako pana Godziembę, z Pińskiego...

Stary odchrząknął.

— W. Ks. Mość wybaczysz mi, rzekł, że go inkommoduję, i to jeszcze w takiej godzinie, a tyłu ważniejszymi sprawami zajętego, ale do kogo się szlachcie uda, jeśli nie do Radziwiłła? Wzięliśmy to obyczajem od ojców...

Ksiązę grzecznie coś mruczał, tak, że tylko „panie kochanku“, można było rozeznąć...

— Interes osobisty, prywatny — protekcyi. W. Ks. Mość szukam...

Że dużo osób stało dokoła — a Godziembie jakoś było nieraźno przy nich się tłómaczyć, książę go z sobą zabrał do gabinetu...

Tu także sprzęt i urządzenie były bardzo proste, bo w Warszawie książę się na występowanie nie sadził; ściany tylko, gdzieindziej białe tynkowane, od połowy pokrywały makaty jedwabne ze złotem.

— Gdybyś acieńdziej krótkim mógł być, panie kochanku, rzekł wszedłszy gospodarz, byłbym mu obowiązany, bo oto noc, a na jutro gorące się rzeczy gotują.

— Króciusieńko, mości książę — odezwał się Godziemba, jeszcze raz do kolan schyliwszy... Pan Bóg mi dał po ojcach i z dorobku nieszpętną majątność w Mińskiém, ale syna poskapił — jedną córkę mam... Dać to lada komu, a ojcowiznę w obcy ród, serce boli... Chciałbym sobie wyszukać Godziemby. Właśnie mi się tu jeden trafia.. znam procedencję, ród nasz... krew nasza... ale cóż? goły jak bizun tatarski, woli u młodego Brühla służyć za dworzanina, niż ożenić się i na swojém gospodarzyć...

Książę nie spełna rozumiał.

— Ale — na Boga ukrzyżowanego, panie kochanku — a cóż ja na to mogę?

— A! któż?? W. Ks. Mość za Brühla stajesz... Gdybyś temu hrabiemu powiedział, aby dworzanina zreflektował — skonwinkował; bo to — fiksat jest,

człowiek głupi! Dziewka młoda, zdrowa, krew z mlekiem... wychowana jak nie może być lepiej, dobra, wesoła... pięć wiossek w dodatku... i jeszcze mu mało.

Wojewoda stał, patrzył i sam nie wiedział co czynić; palcami kręcił.

— Widziałże on córkę waszą?

— A jakże, mości książę, a jakże... mówił stary Godziemba — zażyłem go z mańki... Córka tu ze mną i matką przybyła... Był u nas, konwersował, nam się podobał... miłym był — pokumaliśmy się, a jak przyszło do interesu — ani ukąsić...

— Ani chybi panie kochanku — rzekł książę — w téj Warszawie, gdzie kobiet tyle, musi mieć jakieś amory...

— Ale ja go z przeszłości spowiadać nie będę.. rzekł Godziemba...

— Wiesz acindziej co? — odparł książę: dziś dali pan nie pora mówić o tém — zgłoś się do mnie później, a ja z Brühlem pogadam, aby go skonwinkował... jedną tylko waści, panie kochanku, uwagę uczynię, że skóra ciągniona dobra, ale mąż na kadnka się nie zdał...

Godziemba przez uszanowanie zamilkł, skłonił się, coś tylko polecając sprawę swą, dodał jeszcze — i wyszedł powoli... Szcześciem czy nieszczęściem, lecz trafem osobliwym, gdy stary Godziemba przechodząc salę jedną i drugą, w której książęcy towarzysze się zabawiali — ku wyjściu dążył, nieco

pobłądziwszy, bo się nikogo nie chciał pytać o drogę, oko w oko nastreczył mu się ów wilk, pan Tadeusz Godziemba, o którym tylko co była mowa... Stary zobaczywszy go, pochwycił za rękę, i aż mu się lice rozjaśniło.

— A wy tu co robicie? zawołał.

— Ja, odparł dworzanin Brühla, na zwiady przyszedłem, gdzie i jak jutro zejść się mamy, aby razem ciągnąć na salę.

— Jużes to sprawił poselstwo?

— Tak, prawie... a waćpan dobrodziej co tu porabiasz? zapytał wesoło młody...

— E! ja — widzicie — szepnął pod rękę go biorąc Pińczuk, po staremu, chciałem się Radziwiłłowi submittować i przypomnieć... Skorzystałem więc z lustracyi i wcisnąłem się. Jeśli tu nie masz co robić... rzekł zawahawszy się — toć to ja wasz krewniak... a stary, odprowadziłbyś mnie do domu?

— Z duszy, serca — rzekł Tadeusz — chociaż natychmiast muszę wracać do Młocin... ale koń dobry... czas będzie na wszystko...

Stary stał we dworku przy Długiej, wyszli więc w podwórze najrząd, na którym dotąd życie i ruch nie ustawał — a dalej w ulicę, nie mniej prawie niż pałac ożywioną. Znać było z téj nocy już czém być miał dzień następny... stolica nie spała... Kupki podweselonéj szlachty przeciągały ulicami, a spotykając się okrzykiwały hasła...

Przychodziło do odgrózek i wyzywań, często do śmiechu i na niczém się kończyły wielkie zamachy, ale dawano sobie appel do jutra...

— Spotkamy się — rozprawimy się...

Tadeusz wzięwszy starego pod rękę, powiódł go, dobrze znając miasto, bokami tak, ażeby nieprzyjemnego zetknięcia uniknąć... Zdala tylko to tu, to owdzie dolatywały ich głosy podochoconych, i z wielu okien padało światło w ulicę, a na szynbach migały cienie... Nikt nie spał, oprócz mieszczan może a i z tych wielu, choć się nie mieszczeni do niczego, gorąco brało stronę jedną lub drugą.

Późna już była godzina, gdy do drzwi dworku drewnianego, w którym na dole stał Godziemba, zapukali...

Lecz kobiety znać oczekując na niego, spać się nie kładły, bo wnet ze światłem przyszła panna Agnieszka Godziembianka ojcu otworzyć... Chciał się pan Tadeusz zaraz cofnąć, supponując, że to do odwiedzin nie pora, bo się już panie i porozbierać musiały — ale dziwak stary zaklął go na wszystko najświętsze, aby choć na stołku przysiadł i lampkę wina z nim wypił; atak to brał do serca, że nie chcąc go gniewać, rad nie rad, powlókł się pan Tadeusz, po drodze przywitawszy kuzynkę, która się szeroką chustką otulała, bo w istocie strój miała nie od gości... Nie było jój z tém szpetnie, lecz się wstydziła okrutnie. Ojciec ją do-

brze przed księciem odmalował: w istocie była to hoża dziewoja wiejska, z twarzą wesołą i figlarnemi oczyma, samo zdrowie i młodość...

Stary tak wierzył w jęj urodę, iż miał za ślepego, komuby się nie podobała.

— Czego u djabła można więcjęj chcieć?... To kąsek choć dla króla... Pół korca pszenicy w jednęj ręce podnieść dla nięj fraszka... a łagodna jak baranek... i pięć wsi...

W pokoiku, do którego weszli, również chustką otulona, pani Godziembina, starsza tylko, ale żywy obraz córki, rumiana, otyła, przyjęła gościa trochę namarszczona...

— Niech mi pani tego za złe nie ma, że wchodzę aleć to przez posłuszeństwo...

Panna Agnieszka pośpieszyła do alkierza po gąsiorek i lampki... a tu się rozpoczęło gderanie za nocną włóczęgę...

— Dlatego prosił pana Tadeusza, aby mi towarzyszył, rzekł stary: interes mnie zmusił do późna zabawić, a o tęg godzinie ulice już niepewne...

Stuknięto lampkami, bo się dworzanin do Młocin wyrwał. Panna Agnieszka skryła swe wdzięki w cieniu pod piecem; jejmość nie ustąpiła. Stary się tęg niepokoił, że się córce nie mógł przypatrzeć lepiej kawaler, bo właśnie rachował, że w negliżu mu się może przedjęg podoba... Przywoływał więc ją co chwila, i zmuszał skłopotaną wychodzić na światło... Pan Tadeusz nie bardzo się przypatrywał

wiejskiej piękności; ale był w wyśmienitym humorze, jak każdy żwawy chłopak, gdy się w ogniu czuje. Podobał się więc matce, córce i w ojcu obudził nadzieję, że przy pomocy bożej i księcia Radziwiłła, coś z tego przecież być może...

Rozstali się serdecznie, młody pocałował w rękę gospodynię, w ramię gospodarza, pauna mu chustką się wciąż okrywając z pod pieca dygnęła... i — chłopak przebudzony otworzył drzwi dworku, a Godziemba co tchu nazad po konia i do Młocin pośpieszył...

XI.

Po wczorajszej scenie na sejmie i u pana hetmana *Familia* oczekiwała na pewno układów, ufając w to iż zastraszyć musiała, nie pomnając, że dumnego człowieka najboleśniej obrażała. Krzyżowali się neutralistowie i chcący pośredniczyć, z domu do domu przejeżdżając, szukając języka, a nie mogąc nic dokazać.

Stary Brühl zamknięty był, milczący, a o układach żadnych mówić sobie nie dawał. Bez niego się do króla dostać nie było sposobu.

Hetman Branicki zaraz po wyjściu Brühla, mimo respektu dla żony, ostro jój przymówił za wybuch, jakiego się dopuściła, a gdy wujowie się za nią ujeli, wystąpił do nich z gorzkimi prawdami, tak, że od słowa do słowa — rozeszli się bardzo kwaśno i jawném już się dla nich stało, że na hetmana

neutralność nawet nie rachować nie mogą. Brał jawnie i co raz goręcej stronę króla pozornie w istocie Brühlów, Potockich i Radziwiłła...

Tak więc co zbliżyć miało dwa obozy, przypieszyło tylko stanowcze zarysowanie się partyj i podział kraju. O pokoju ani było można myśleć.

Noc spłynęła na naradach i uzbrajaniu. *Familia* jakkolwiek czuła, iż będzie miała do czynienia z nieprzyjacielem, który nie był do pogardzenia miała rachuby pomocy obcej, na których się w przyszłości i ostateczności opierała...

Dzień nadchodzący, znalazł miasto niemal całe na uogach... Głucha wieść chodziła już z rana, że Szymanowski poseł ciechanowski, albo już manifest podał do akt sejm zrywający, lub wystąpić z nim był gotów... Nie wątpiono bynajmniej, iż uczyni to z naprawy starego Brühla; wiedzano nawet, a przynajmniej głośzono, że dostał za to wójtowstwo z pięćdziesięciu poddanymi, i tysiąc dukatów na zagospodarowanie.

Zamek wyglądał jakby się do obrony przeciwko nieprzyjacielowi gotowano... Ciągnęły doń niespokojne gromady posłów i arbitrów, ale formalne hufce orężne... Większa część przybywała konno w pancerzach na piersiach, z szablami nie dla zabawy, odostrzonemi jak brzytwy, — dworzanie téż uzbrojeni... miny marsowe... Już się tu po wczorajszemu zabawiać i śmiać nie miał nikt ochoty, ani bardzo się kto odzywał, milczano posepnie,

mówiono po cichu. A na czołach były gniewy i burze... Noc co ukołysać miała, do najwyższego stopnia rozdrażnienie podniosła.

Od rana do południa gromadziło się na sali, wchodziło i wychodziło, ustawiało i szykowało szczególniejsze stronnictwo *Famili*, bo długo bardzo z Radziwiłłowskich, którzy stanowili prawie sami obóz przeciwny, nikt się nie ukazywał. Domyślano się, że przybędą gromadnie i tak, aby od razu całą objawić siłę. Nie zaczepiaj! wara!...

Oprócz broni białej, bystrzejsze oko mogło za pazuchami kontuszów i po kieszeniach, dostrzedz u niektórych pistoletów...

Już z południa było, gdy gwar się stał w sali... z okien ktoś napatrzył i karete sześciokonną, tarantami ciągnioną księcia Radziwiłła, i cały oddział jego czaruny, z kilkuset głów złożony, otaczający ją do koła...

Na wschodach stał się gwar, usłyszano stąpanie tłumne, i księżę wszedł, pod rękę prowadząc bladego Brühla, z którego drugiej strony szedł Mokronowski.

Stolnik litewski, niemniej rozżarzony jak wczoraj upojony tą rolą, jaką raz pierwszy w życiu odegrywał, stał na tém samém miejscu co wczora, aby okazać, że się nie cofa i nie ustępuje... Więcej stokroć zaciętości i gniewu niż wczora było na twarzach wszystkich, rozgorączkowanie niebezpieczne...

Nikt się już nie łudził — szable musiały znowu z pochwę zabłysnąć...

Małachowski wśród głuchego szmeru laską uderzył i słabym głosem zagaił posiedzenie... Nie bardzo z razu słyhać go było, i nie słuchano zbyt pilnie... Mówił o „nadużyciu niesłychaném, jakie dnia wczorajszego się spełniło... że porządek i prawo przepisane dla sejmów naruszone zostało, że pogwałcono kardynalne ustawy... iż się spodziewa, że wszyscy posłowie dziś poddadzą się prawu i poszanują je —“

Domawiał tych wyrazów, gdy stolnik, nie dając się wyprzedzić nikomu, zawołał:

— Dopóki tu Brühla w izbie widzimy, nie ma na nic zgody!

— Nie ma zgody! huknęli za nim wszyscy familianci. Nie ma zgody!...

Wtém jakby dając znak, stolnik kapeluszem, który trzymał w ręku, nakrył głowę...

— Izba *in passivitate!*

W mgnieniu oka sto szabel błysnęło i zamieszanie w izbie stało się nie wymowne... Zaledwie pierwsi co stali za mówiącym; obnażyli oręż, radowiłowscy jak jeden szarpnęli szable i nikt nie mógłby być dostrzedz, kto pierwszy ich dobył...

Mokronowski, który stał wprost naprzeciw stolnika, nie tknął oręża... Ci, co się równie jak on wstrzymali od wzięcia za broń, rzucili się ku niemu, skupiając przy nim... Poparty i czując się pewien

siebie, Mokronowski z powagą postąpił kilka kroków naprzód, wcale się nie zdając lękać błyszczących ostrzów, które przeciwko niemu wymierzano.

— Panie stolniku—zawołał, pan jesteś sprawcą tego rozruchu; wzywam go, ażebyś swoich nakłonił do porządku...

Mówił jeszcze gdy z boku stojącego Brühla w téj chwili najmniej się tego spodziwającego (bo radziwiłłowscy tak nagtęj napaści nie przewidywali), zaczęto otaczać i naciskać. Cześnik był zmuszony chwycić już za oręż, gdy Mokronowski rzucił się ku niemu, osłaniając go sobą i szablę odgarniając rękami...

Kilkadzieśiat ich miał nad głową... Jedna z nich wyostrzona świeżo zraniła mu dłoń, co poczuwszy, Mokronowski przytomnie skrył ją, aby widokiem krwi nie dać hasła i podniety do walki... zdającój się prawie nie uniknionej.

Krzyk rozpaczliwy niemal Mokronowskiego, któremu towarzyszyło bicie laską o podłogę i wysilony błagający głos starca Małachowskiego — opamiętały na chwilę... Tłum napastujący począł się cofać zmieszany i zawstydzony, stolnik zamilkł, widząc przeciwko sobie występującego człowieka, którego szanował i nawykł był uważać za przyjaznego sobie...

Wszczął się spór najgwałtowniejszy na słowa...

— Stolnik! stolnika wino! krzyczano z jednéj strony...

— Pierwsi Radziwiłłowie szabel dobyli...

— Któż wczoraj rozpoczął? wołano...

Posypały się obelgi — a rozdrażnienie rosło... Brühl jak wczoraj, otoczony, beczynny, zmuszony stać, patrzeć, słuchać, ocierał z czoła pot i dręczył się niewymownie. Świadczyły o tém ścięte jego usta, i twarz dziwnie wywrócona i zmieniona.

Wczorajsze szabel dobycie mogło się niemal tłómaczyć uniesieniem, dzisiejsze działało się rozmyślnie, znaczyło wypowiedzenie wojny... Obie strony sypały na siebie obelgami... Arbitrowie i kobiety na galeryach, zakrywały oczy, łamały ręce, niektóre ratować musiano od omdlenia...

Stojący obok Brühla Radziwiłł, nie mniej od niego był blady, od początku rozruchu cisnął w rękę rękojęść karabeli, tak, że gdyby nie była z jednej sztuki agatu, pewnieby poszła w kawałki, pot kroplisty spływał mu na czoło... Po kilkoroć już zwrócić się miał ku swoim i mrugnąć; Lubomirski i Mniszech szeptali zaklinając go, aby *odium* tego porwania się zostawić *Familii*... Tymczasem *Familia* wygrywała, bo na języki była bezsprzecznie silniejsza... Litwini do wykrzykiwania nie byli wprawni, u nich poczynało się od — stu tysięcy diabłów, a kończyło na... na trzykroć stu tysiącach fur baczek tego samego... Wszyscy jak w tęczę oczy mieli wlepione w księcia, którego brwi im pokazywały to Mniszcha, to Lubomirskiego, to Mokronowskiego...

Narzekańia i hałas y nie ustawały... Stary Małachowski z głową na ręku podpartą dumał — nie było środka i sposobu, posiedzenie za ledwie zagajone, znowu odroczone być musiało... Dawano mu znaki, pokazywano rękami, to na stolnika i jego zastęp rozjadły i roznamiętniony, to na straszną jeszcze spokojność Radziwiłła, który stał jak posąg pewien siebie.. ale groźny... Milczenie jego urągało się temu dziecinnemu wrzaskowi... któremu krzyki kobiet z galeryj odpowiadały...

Stolnik, który nie miał już czasu podnieść oczu do góry — nie widział też dziś, jak wczora stojącej po nad sobą pani Sołłohubowej z rękami spuszczone i załamane, w posagowej postaci, z niewypowiedzianą wzdargą i dumą spoglądającej na niego, z litością i współczuciem na niemego Brühla, którego ręka drżała na szpadzie. Bohater ów siedmioletniej wojny, przyparty do muru, rozbrojony tem co go otaczało, musiał cierpieć i milczeć...

Naostatek głucho znowu uderzyła laska marszałka i płaczliwy głos jego zwiastował odroczenie posiedzenia... Nie było się już czém ludzi — sejm taki nie mógł przyjść do skutku. Brühl ustąpić nie byłby się ważył tak daleko zaszedłszy, nie odbierając sobie całej powagi i nie uznając się pokonanym, *Familia* nie chciała ustąpić. Aż do ostatniej chwili spodziewała się zmusić do układów z sobą...

Lecz niczém było odroczenie — zażarci przeciwnicy stali przeciwko sobie — nikt pierwszy do wyjścia ruszyć nie chciał. Łacno być mogło gdyby jedno stronnictwo posunęło się pierwsze do odwrotu że drugie korzystając z tego, mogło mu sięść na karki.

Chwila więc długa upłynęła, nim się kto z miesca śmiał poruszyć, stali wszyscy jak wkuci. Niektórzy z arbitrów bliżsi drzwi zaledwie potrafili się wymknąć. Główne korpusy mierzyły się oczyma i nie stąpiły kroku. Nikt pierwszy nie chciał iść, aby go nie pomówiono o ucieczkę z placu...

Wieczór się zbliżał, gwar ucichał, wszyscy czuli się znużeni — lecz nikt nie ruszał się jeszcze.

Mokronowski postąpił do stolnika...

— Długoż to tego będzie? zapytał...

Ten się zarumienił.

— Nie wiem — odparł.

— Przecież jakiś na to sposób wynaleźć potrzeba abyśmy wyszli?

— I ja tak sędzę...

— Ten od waćpana zależy...

Stolnik obejrzał się. Szable w znacznej części już do pochew popowracały, zaczęto zachęcać upartszych, aby je pochowali. Głód i zmęczenie przemawiało za tém... Litwini niektórzy także karabele spuścili.

— Jeżeli panu hrabiemu idzie o to, abyśmy koniecznie krwią tę salę i kartę historyi naszój sple-

mili — rozumiem jego milczenie — rzekł Mokronowski; w przeciwnym razie, powinniśmy oba skłonić naszych, do wyjścia razem i w porządku. Wyrazy te pochwyciono jako rodzaj hasła i środek ukończenia sporu, który rozwiązany inaczej być nie mógł, tylko wzajemnymi ustępstwami i odroczeniem *ad futura*.

— Razem w milczeniu i porządku! zaczęto powtarzać po szeregach, i tłum ten przed chwilą jeszcze zażarty, stłumiwszy i powściągnawszy gorączkę, skłonił się do wychodzenia, jak mu nakazano... Czapki ponakładano na głowy, ręce w kieszenie lub za pas, i z usty zaciętymi, ci co najmocniej gardłowali, poczęli wysuwać się nie patrząc, kogo obok siebie mieli... umyślnie oczy spuszcivszy... Radziwiłłowie tylko kupą otoczywszy znowu Brühla, wyprowadzili go z sali nie pierwszego, ani ostatniego, w poważném milczeniu.

Gdy raz ten *modus exeundi* przyjęty został i poparty przykładem główniejszych przewodzców — płynęły już dalej tłumy bez najmniejszego wypadku a nawet swaru i oprysku... Na sali pozostawało coraz mniej, i w końcu na ławach siedzieli już tylko ci, którzy woleli ściśle we drzwiach przeczekać, a za kratkami został sekretaryat sejmowy, wylękły i osłupiały...

— A co? a co? zapytał podkomorzy Laskowski który spokojnie kazawszy sobie snującemu się pod koniec chłopcu z butelkami, podać szklanę

piwa, smoktał ją postawiwszy na kolanie — a co? nie ma co mówić! pokazaliśmy sztuki... jakiej Rzeczpospolita od trzechset lat nie widziała!

Mówił to do starego przyjaciela Zagłoby, który stał naprzeciw niego z rękami w kieszeniach. Z sejmu zrobiliśmy sejmiczek, i obyczaj rąbania się po prowincjach, zaprowadzony w stolicy. Wyraźny postęp, mosterdzieju!

Mówił to z boleścią wielką, chociaż ze spokojem. Zagłoba, który był niemym świadkiem obu posiedzeń z rezygnacją filozofa go słuchał, na pozór obojętny, w rzeczy głęboko upokorzony i przejęty, a jak śmierć smutny.

Uśmiechając się z boleścią w oczy sobie patrzali

— Nie ma co mówić — dodał Laskowski... żaden sejm jeszcze tak znakomicie nie stanął jak ten. Nie sztuka zrywać, ale zrywając nasienie niezgody na długie lata skutecznie roli powierzyć — to mi się nazywa... rozum statysty!!

Zagłoba ramionami ruszył...

— Trzydzieści lat edukacyi dobrej coś znaczy — odezwał się ironicznie — nauczyliśmy się wiele i darmo chleba nie jedli... Dobrze tak! dobrze! Płazem uchodziło wiele, od Zygmunta III powtarzano, że nierzędem stoimy... musi nieład przyjść do chaosu, aż się ludzie opamiętają. Wypijemy do dna, cośmy dwieście niemal lat warzyli — na to pono nie ma ratunku...

Gwarzyli tak, gdy Żudra, który swoich odkomenderowywał znowu na stół pański, zbliżył się do nich. Sapał biedaczysko i podbródki mu tańcowały, pot ocierał z czoła, pasa poprawiał, znużony był tak, że na ławę padł. Laskowski z przyjaciółmi spojrzeli nań, ale się do niego nie odezwali, choć się ich wyzywać zdawał... Podkomorzy popatrzał nań tylko i oba zamilkli.

— No — rzeczy skończone! zawołał Żudra: nauczyliśmy Niemców rozumu!

— Myślę że i Polaków téż! rzekł krótko Zagłoba...

— Niech znają co *Familia* może...

— A no, prawda — wszyscyśmy to poznali, dodał pierwszy: że mówi o zaprowadzeniu ładu w osobliwszy sposób pięknie, i to nową metodą, doprowadzając anarchię do kresu...

Żudra popatrzał pogardliwie.

— Jam tam nie polityk! odezwał się — ja tam nie mędruję... ale my tu w domu u siebie, szołdrom przewodzić nie damy.

— Słusznie, potwierdził Zagłoba — lepić wszystko do góry nogami wywrócić. Z nazwiska sądząc, panie Żudra, dodał, myślałbym żeś Rusin i że mnie zrozumiesz — coś mi się przypomina przysłowie: *Ne kupyw bat'ko szapki, nechaj uszy merznut!*

Żudra się skrzywił.

— A wy co mówicie, panie podkomorzy? zapytał Laskowskiego...

— Waćpan mnie znasz, odparł spytany z powagą: nie taję się z myślami, jestem za domową zgodą pomiędzy braćmi... a tych co do wojny i rozdziału prowadzą... mam... za...

Wstrzymał się, zżymnął i nie dokończył. Kto znał umiarkowanie Laskowskiego, mógł zrozumieć jak rozdrażnionym był, gdy się na tak energiczne zebrał wyrażenie.

Żudra wstał.

— Myśmy niewiuni — zawołał — nam nóż przyłożyli do gardła — poddać się samowoli Brühla i dać zjeść w kaszy — a niedoczekanie...

— Pewnie — dodał Zagłoba, — niech nas raczej wszystkich razem djabli wezmą...

Żudra, znać nie pomiarkowawszy się, potwierdził: — A pewnie!!

— No — i wezmą! dokończył stary szlachcic — jak dwa a dwa cztery... Przyjdzie choćby anioł po Sasach rządzić, spadek tego nieładu odziedziczy — i rady nie da...

— E! mospaneńku! rękę w górę podnosząc zawołał Żudra — spadku tego nie weźmie kto inny tylko *Familia*... a ona — przy pomocy bożej i czyjś jeszcze... rady da! rady da! powtórzył z naciskiem.

Laskowski, któremu rozmowa już ciężką się stawać zaczynała, wstał i czapkę nałożywszy,

a Żudrze nawet nie skinąwszy głową, podał rękę przyjacielowi i z nim razem z sali opustoszałej się wyniósł.

Rozeszły się tedy obie strony w egzasperacyi wielkiej i nienawiści która przez tych parę dni wyrosła jak nigdy... Mówiono już wychodząc o zerwaniu sejmu, ale jeszcze *Familia* temu wierzyć nie chciała. Z zamkn dochodziły wieści, że król pragnął połatać sprawę i pogodzić, że chciał księcia Radziwiłła wzywać i uprosić, aby krzesła dobrowolnie ustąpił. Lecz Brühl uznał to niepodobieństwem. Manifest Szymanowskiego już był podany.

Brühl nie widząc się nawet z ojcem odjechał z gwardyą swoją do Młocin, pewien, że rzeczy są skończone i że więcéj stawić się pod tym pręgiem nie będzie już obowiązany... Sam jeden, osłoniiony płaszczem, zadumany, blady, kazał się zawieść do domu; wróciwszy zaledwie kilku grzecznemi słowy żonę przywitał, oświadczył, że potrzebuje spoczynku, i zamknął się w swém mieszkaniu. Doznawał tego uczucia, jakiém przejęty jest człowiek, który wyszedł z wielkiego niebezpieczeństwa i ma je za sobą. Oddychał swobodnie... poświęcił się dla ojca, teraz mógł zapomnieć o wszystkiém i trochę żyć — dla siebie.

Rachuby jednak były mylne, i zawód bliski; zaledwie usiadł w krześle, usiłując rozpędzić bolesne wspomnienia tego dnia i zapomnieć o wrzawie,

która mu jeszcze w uszach tętniała — gdy już turkotało i głosy w przedpokoju słyhać było...

Pobladł i załamał ręce... wszedł Sołłohub... Ten przynajmniej najmniej mu ciążył — odetchnął więc znowu...

— Wiem, rzekł od progu, że nie będę ci pożądanym gościem, ale mnie twój ojciec przysyła. Nie widziałeś się z nim, jest niespokojny...

— Posłałem oznajmić, że jestem cały i że potrzebuję spoczynku, zawołał Brühl wesoło... Chwała Bogu, że się jeszcze uścisnąć możemy, bo o niewiele chodziło aby mnie rozsiekali... gdyby nie Mokronowski...

— Mokronowski w rękę ranny — szepnął Sołłohub, jest to tajemnica, odpychając szablę, obciął sobie dłoń... ale przytomności umysłu jego dosyć wychwalić niepodobna...

— Myślę, że przecie na tém się skończy — dodał Brühl...

— Wcale na to nie wygląda — rzekł Sołłohub, jeśli wczorajsza noc była burzliwa, dzisiejsza straszniejsza jeszcze.

Już nie o kiereszowanie się na sejmie idzie, ale radziwiłłowscy szykują się do walki w ulicach. Nie mogą tego ścierpieć, że ich dziś powstrzymano i chcą koniecznie pokazać na karkach *Familii*, że tchórzami nie są... Dla tego ojciec twój mnie tu przysyła, abyśmy razem jechali do księcia wojewody...

Brühl obu rękami strzepnął.

— Miejcież litość nademną! nie mogę wszystkiego robić i za wszystkich... dajcie mi spocząć... wysiłony jestem i mam tego dosyć...

— Jeszcze jeden krok i koniec — sejm się jutro kończy, rzekł Sołłohub...

— Ale ja na Radziwiłła nie wpłynę — niech mu poszła kogo innego, zawołał rozpaczającym głosem cześnik. Wysoce szacuję jego zamaszystą rycerskość i waleczność — między nim jednak a mną, wierzaj mi, nie ma coby nas łączyło i zbliżało. Każdy z was lepiej i silniej do niego przemówić potrafi...

Sołłohub zamilkł smutnie, ale wzrokiem prosił ciągle...

Brühl widząc, że nie potrafi się uwolnić, porwał niechętnie i milcząco za kapelusz.

— Jedźmy — zawołał — dziej się wola boża. Kielich należy wysączyć aż do mętów na dnie.

Konie Sołłohuba stały gotowe, eskorta, bez której ruszyć się nie było podobieństwem, bo wśród takiego roznamiętnienia łatwo mógł Brühl w ulicy być napadniętym... stała też w pogotowiu. Cześnik nie zachodząc nawet do żony, siadł do powozu, przeklinając czasy, w których żył, i okoliczności, w jakie go wplątano.

Zbliżając się do stolicy, można już było dostrzedz, że Sołłohub nie przesadzał malując stan jej jako groźny. Ulice pełne były kup zbrojnych,

hałaśliwie krzyczących i zdających się zbierać w pewnych oznaczonych stanowiskach... Właśnie wieczorny chleb... a przy nim piwo i wino też posiliło szlachtę i dodało jój animuszu. Śpiewano więc pieśni, wykrzykiwano przeciwko Sasom, odgrażano się, i zdawano nie unikać, ale szukać walki. Dwa czy trzy razy na widok powozu, któremu saska gwardya towarzyszyła, posypały się odgróзки... Idący stanęli i złośliwym śmiechem salutowali karę Brühla... Po winiarniach i gospodach tłum i hałasy były ogromne.

Puszczono już wieść o zerwaniu sejmu, która *Familię* do ostatniego gniewu przywiodła. Nie mówiono o niczem, tylko by się bić, siekać i mścić..

Zbliżając się do pałacu Radziwiłłowskiego, dostrzegli i tu czarnych gromad w gotowości, stojących, milczących wprawdzie, ale nie mniej groźnych.. W dwóch salach jeszcze książę sam honoracyorów u stołów przyjmował. Siedział z księciem Stanisławem na podwyższeniu, w krześle, podparty na rękach, chmurny jak noc, zły i zniecierpliwiony... Coraz to kielich wina połknął, wąsy pociągnął i wzdychał. Bliżej siedząca szlachta patrzyła nań milcząca, a ci co dalej siedzieli, w miarę oddalenia od niego coraz byli gwarliwsi. Na przeciwnym końcu stołu... warczało i burczało jak we młynie... Litwa powstrzymywana przez dwa dni, nie mogła połknąć téj nieczynności sromotnej. Właśnie gdy Brühl z Sołłohubem wszedł, dwóch Korewów i nie

wiem ilu Rudominów, razem z Iliniczami i Wereszczakami, układało projekt podkradnięcia się w pewne miejsce, w którym się familiantów znaleźć spodziewali, i puszczenia nieco krwi... aby też nie wracać do domu szabel nie umoczywszy. Odbywała się narada pocichu i oczy pobłyskiwały...

Książę jak tylko zobaczył młodego Brühla, wstał i z kielichem nalanym, wystąpił naprzód z jego zdrowiem, które z okrzykiem ogromnym wypito...

Sołłohub mu coś szepnął na ucho, zabrali się tedy do gabinetu; ale nim poszli — wojewoda zawołał do siebie pana Lachowicza, który miał dowództwo zwierzchnie nad zebraną drużyną.

— Pulkowniku, panie kochanku — proszę wydać rozkaz, *sub poena infamiae* i wygnania, aby mi nikt na swoje ręce awantur nie robił. Widzę panie kochanku, z min, że się piwo waży, niechże czekają komendy... Pójdź waćpan po stołach, i powiedz, że Radziwiłł o to — prosi — a gdy mało, każe...

Lachowicz się oddalił.

Dwaj Radziwiłłowie, Brühl i Sołłohub do gabinetu weszli. Generałowicz był tłumaczem i począł zaraz prosić, w imieniu ministra, a bardziej jeszcze w imieniu króla, aby zwady unikano. *Familia* szukała tylko pozoru do rozlewu krwi, aby winę potem zrzucić na partję królewską...

Sołłohub mówił prędko, Brühl rzucanemi słowy

krótkiem i potwierdzał... Książę słuchał, patrząc nie na nich, ale na ścianę. Zdawał się roztargniony.

— Siadaj hrabio, panie kochanku — rzekł wreszcie wzdychając — a przebac z góry, że ja Litwin szczery i nie polityk... powiem co mam na sercu. Wytrzymać już nie mogę... Wszystko poszło źle — a czemu? oto dla tego, żeście mnie nie posłuchali i od razu nie pozwolili ich trochę posiekać... Wszystkoby już było dziś w porządku, a sejm, panie kochanku... szedłby jak po maśle. Jego Ekscellencya minister Brühl, i wy panie cześniku, znacie inne narody europejskie, ale naszego, mało. Myśmy żołnierze: jak nam krew zakipi, żadne *faenum graecum* nie pomoże, póki jęj sobie nie puścimy... Szast prast, i dopiero pokój, zgoda.. przyjaźń, serdeczność największa... panie kochanku... To darmo... Niemca można ugadać i przekonać, Francuza rozśmieszyć i rozbroić, a nas, panie — nie inaczej tylko przez łeb... U nas łby twarde, panie kochanku, i dlatego żadnego Polaka, a bodaj Litwina i Rusina, śmierć nie bierze inaczej tylko za nogi, bo wie, że pałce radyby nie dała...

Gdy książę wykladał tę teorię swoją z kompokeyą wielką i głębokim przekonaniem, Sołłohub patrzył na ziemię, a Brühl nie bardzo może jęj rozumiejąc, w snfit...

Król JMość zaklina, dodał generałowicz, żeby krwi przelewu uniknąć.

Zżymnął się Radziwiłł.

— A któżby tam, panie kochanku, dobrowolnie chciał chrześcijankę przelewać, rzekł; a no! są *necessitates*. Proszę sobie wystawić moich biedaków, którzy z pod Nieświeża tu na kulbakach tłukli się po to, aby im, panie kochanku, z pozwoleniem, *Familia* pod nos smrodziła, a oni musieli, nawet nosów nie śmiejąc pozatykać... wachać i dziękować... A no — i ja w tém położeniu!!

Książę ręce szeroko rozstawił...

Sołłohub go oczyma błagał...

— Bądź wasze spokojny, kuzynku — dodał książę — jak nie można, nie można, utrzymam moich choć na łańcuchu... ale to na tém koniec nie może być...

Książę podniósł się i przystąpił bliżej.

— *Familii* inaczej nie pokonamy, tylko krwi jój puściwszy... Bo to, panie kochanku, przez Sieniawskich w sadło porosło... rozwiemożniało, i bu-ta straszna — a świeża, więc gorąca... Ja mam, panie kochanku, sześć — mogę postawić do dzie-sięciu tysięcy ludzi, zbiwszy do kupy pospolite ru-szenie; pan wojewoda kijowski takżeby ze sześć postawił... Myślę, że hetman pójdzie z nami... więc, panie kochanku, krótka sprawa i najlepsza rzecz — w pole... Staniemy łeb na łeb... a ja już w tém, panie kochanku, że ich rozumu nauczymy, i będzie tak cicho i tak gładko...

Wpadł w téj chwili Lachowicz donosząc, że mimo najsurowszych rozkazów, o dwadzieścia kro-

ków od palacu kupka czarnych spotkała się z tymi co mieli kokardy czerwono-zielono-białe, kolory *Familii*, i że parę łbów zostało pokiereszowanych, ale ich rozbrojono. Sołłohub ręce załamał, książę nie zmieszał się wcale...

— Ale to tam nie! rzekł: bzdurstwo. Bez tego się żaden zjazd nie obchodzi.

I obracając się do Lachowicza:

— Zabito kogo, panie kochanku?

— Nie, ale poznaczono.

— To się wyliżą... byle pajęczyna i świeży chleb, najlepszy plaster, panie kochanku. A naszych?

— Para też dostała...

— Dać im naukę, panie kochanku, i niech młody Michaelis poopatruje — a ci, co pokiereszowani, żeby się na świat nie pokazywali.

Skończyła się tedy konferencya zapewnieniem księcia i pana Lachowicza, iż pokój zostanie zachowany, z warunkiem, byle go przeciwna strona nie naruszyła.

Brühl ścisnął rękę księciu milczący... wypito jeszcze raz zdrowie i wyszli.

W dziedzińcu właśnie plejzerowani wrzeszczeli odgrążając się, a szlachta do księcia zbierała się biedz prosić, aby pozwolił na odegraną... Brühl rwał się do domu — Sołłohub go musiał zawieść do ojca... W saskim pałacu pod bokiem króla, właśnie zgromadzona była rada; książdz prymas, hetman, biskup Sołtyk i wielu innych, wezwani na

nią, króla się starali uspokoić i zapobiedz dalszemu rozprzeżeniu... Nie było jednak innéj rady, nad ten sposób, którego przez lat wiele używano i nadużywano — sejm zerwać.

Brühl stał przy tém, uniewinniając się, iż był zmuszony...

Cześnik który na radę ani mógł, ani chciał wchodzić, pozostał długo w gabinecie, oczekując na ojca. Zmęczony, zrazu zniecierpliwiony, odzykiwał zwolna swą obojętność i po trosze już podżartowywał z siebie i drugih...

Gdy rada się skończyła, a senatorowie rozjechali, minister, któremu oznajmiono o synu, wpadł, jak zawsze rzucając mu się na szyję, i usiłując czułością wynagrodzić Nielitościwe z nim obejście...

— Kochany Alojzy... wszystko skończone... rzekł... Mężnie wytrwałś do końca... Król i ja wdzięczni ci jesteśmy... Wszystko czém mnie król najmiłościwiej w Polsce obdarzył, przekazuję tobie. Mam obietnice generalstwa artylleryi konnej, oddam ci je... bo wiem, że to lubisz, i że na tym stopniu użytecznym będziesz.. Sejm zostanie zerwany, a szlachectwo i honor nasz ocalony...

To mówiąc powtórnie, jakby z wybuchem czułości, rzucił mu się na szyję znowu... Pan Alojzy milczący wysłuchał, nie odpowiadając słowa. Minister wnet odwrócił się do Sołłohuba, który, dla wybawienia przyjaciela z przykrego położenia, począł o Radziwille opowiadać. Tak, trochę weselęj

i swobodniej zakończył się wieczór ten, a że pora już była spóźniona, cześnik zanocował w Saskim pałacu...

Nazajutrz rano, książę wojewoda posławszy na zwiady gdzie ma Brühla szukać, przybył po niego do Saskiego pałacu i zabrał na posiedzenie z sobą.

Tego dnia sala inny obraz przedstawiała, lecz choć mniej na pozór groźny, straszniejszy może niż dni poprzedzających. Namietności zdawały się wewnątrz pochłonięte zapowiadać niezblaganą walkę na przyszłość. Nie szło już o porwanie się na sali, czuli wszyscy, że się gdzieś w polu... rozstrzygnąć musi współzawodnictwo i nasycić nienawiść. Więcej pomiarkowania i powagi było na twarzach — lecz z czoł pochmurnych i oczu zaiskrzonych wiało pragnieniem odwetów... Stolnik osłonięty, stanął nieco dalej, niemal zawstydzony tryumfem, który do niczego nie doprowadził, a jego samego więcej kosztował niż był wart... Wychowanie i charakter osobisty, czyniły mu wstrętliwem to co dla *Familii* popełnić musiał...

Arbitrów nacisnęło się mnóstwo ciekawych... galerie były pełne, lecz wrzawa i gwar dawnych posiedzeń ustąpiły milczeniu posepuemu... Małachowskiemu rękę musiał podać Mokronowski, tak starzec szedł osłabły i smutny... Ręce mu drżały, gdy rozwinał papier, który niósł... i oznajmił o manifeście Szymanowskiego, posła ciechanowskiego.

Wymówienie imienia tego szmer wywołało, obejrzeni się wszyscy, szukano go oczyma. Napróżno... Wiedząc dobrze na co się narażał, Szymanowski zniknął, nie było go na sali.

Rozkazano czytać manifest, którego izba słuchała w milczeniu...

Szymanowski obwiniał w nim nienawiść i ambicję, które w niwecz najzbawienniejsze obróciły projekta... żalił się, że czas przeznaczony na obrady, upływał na zamieszkach, wiodących kraj do ostatecznej zguby... Dla tego, przewidując, iż niesnaski rozbudzone rosnać muszą i wzmaczać się, widząc, że kraj nie ma swobody należnej, zajęty będąc przez wojska obce; — gdy posłowie nie mają bezpieczeństwa osobistego, w téj świątyni praw zagrożonego do tego stopnia, że nie radzić musiano, lecz myśleć o obronie, — sejm poczytuje za niemożliwy i t. d.

Głuche milczenie, panowało po skończeniu czytania manifestu... nie odzywał się nikt... patrzali jedni na drugich, na twarzach partyi familijnej widać było tłumiony gniew i oburzenie...

Małachowski wniósł, aby trzech posłów wydelegować do Szymanowskiego i prosić o przywrócenie izbie — *activitatem*... Nikt się nie sprzeciwił temu... Naznaczono trzech z głównych prowincyj, i ci natychmiast wyszli.

Sejm w oczekiwaniu został *in passivitate*.

Godzina ta wydała się wiekiem wszystkim, po deputacyi mało się kto spodziewał. Była to raczej forma i pozór, niż krok, któryby skutek jakiś obiecywał. Stronnictwo Brühla wiedziało dobrze, iż Szymanowski, w obawie aby go przy takiem rozdrażnieniu, nie rozsiekano — rano wyjechał z Warszawy... Domyślali się tego i przeciwnicy...

Szeptano, spozierano, pomiędzy galeryami a salą dawano znaki... upłynęło wreszcie dosyć czasu, póki posłowie nie wrócili oznajmując, że Szymanowskiego nigdzie znaleźć nie mogli.

Małachowski wstał cały drżący...

— Niech pomsta boża ściga tego niecnego obywatela, winowajcę, gorszego od ojcobójcy....

Przeklęctwo to, które rozległo się wśród ciszy i od którego niejedne lica pobladły — dotyczyło nie tylko posła ciechanowskiego; spadało ono po części na tych, co byli przyczyną zamieszania i waśni. Stolnik litewski uśmiechnął się wprawdzie, lecz widać było po nim, że uczuł i on winę swoją.

— Spełniliśmy, dodał stary — obowiązki nasze do końca; dotrwaliliśmy na stanowisku, bo do ostatniego tchu — winniśmy bronić Rzeczypospolitej...

To były ledwie dosłyszane ostatnie wyrazy, któremi sejm został zamknięty... Małachowski padł na krzesło... w milezeniu smutném posłowie, jakby upokorzeni, płynąć zaczęli z sali... a narzekania

i przekleństwa po chwili napęłniły korytarze zamkowe...

U drzwi stała Poterucha z koszykiem, kiwając głową. .

— Nie ma już tu co robić! mruczała... a podobno na zamek drugi raz na sejm nie warto nóg fatygować...

I zwolna] razem z innymi ze wschodów schodzić poczęła...

Na wszystkich twarzach malował się smutek i zawód... Familianci tylko uśmiechali się, odgrazając na — poczekanie... „Na tém nie koniec... zobaczymy...”

Jeden cześnik może swobodnie] odetchnął, wychodząc z sali, którą Radziwiłł opuszczał, mimo otrzymanego województwa, niemal upokorzony...

— Co to wszystko warto, rzekł na wychodnym do Lubomirskiego — wodę warzyć, woda będzie... Gdybyśmy im byli trochę krwi puścili na razie — ale acinądziej wszyscy jesteście ciemiegi...

Najprzykrzejsze może było położenie stolnika, który użyty jako narzędzie, choć się chwilowo odznaczył pewną odwagą — przedstawił się mało-znanym współobywatelom w świetle fałszywem. Czuł to sam... W pierwszej chwili różne powody skłoniły go do podjęcia się téj roli, wyborné] dla jakiegoś podrzędnego sejmikowicza, nie dla hrabiego Poniatowskiego, któremu ów Fornica wieszczko wielkie przepowiadał losy... Lecz, trzeba było

nadrabiać fantazją, aby się nie przyznać do popełnionego błędu... Pan stolnik więc musiał twarz wesołą przybierać i swobodnym a szczęśliwym okazywać się w towarzystwie...

Chociaż hetman Branicki jawnie teraz był z dworem i Brühlem przeciw *Familii*, choć parę zdala krzywo spojrzał na szwagra, stolnik dowiedziawszy się o blizkim wyjeździe jego — poszedł do siostry z pożegnaniem... Hetmanowa była mu najulubieńszą ze wszystkich, może dla tego, iż go najgoręcej kochała i najświetniejszą prorokowała mu przyszłość... Umyślnie, jak się zdaje, stolnik wybrał do pożegnania chwilę, gdy już dwór cały był w pogotowiu, a hetman na wsiadaniem...

Siostra przyjęła go z okrzykiem, stary Branicki z grzecznością zimną i dumną... Bardziej niż kiedy, obchodził się z nim jak z młokosem, gdy stolnik do dojrzałości rościł sobie prawa...

Stało się tak, że pani hrabina Izabella zaprosiła brata... miał ją i hetmana przeprowadzić na Pragę... Branicki siadł razem z żoną, aby w jej towarzystwie przejechać stolicę, bo wyjazd, jak każdy krok hetmana, był uroczysty i reprezentacyjny.. Szły jego strażę przyboczne, janczarowie, konie powodne pod dywdykami, furgony, dworzanie, hajducy... cała ta świetna i liczna czereda, którą się otaczać lubił... Lud cisnął się, aby te parady podziwiać, Poniatowski siedział na przodzie w karecie... rozmawiał z siostrą, która na pół wesoła,

wpół niby smutna, podrażniona była i niespokojną. Długo się hetman do rozmowy nie mieszał wcale, siedział milczący, poglądając z góry na szwagra...

Gdy wreszcie hrabia zaczął mówić z nadrobionym zapałem o swoim znalezieniu się na sejmie, hetmanowi oczy błysły i twarz się zarumieniła.

— Kochany hrabio, rzekł nagle rękę mu kładąc na ramieniu — przypomnij sobie mój wiek i swój — to mi daje prawo powiedzieć ci słowa prawdy...

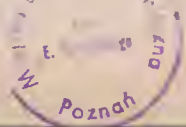
Nie będę ci winszował twojego występu na świecie i rozpoczęcia obywatelskiej kariery... Zły to początek, dla prywaty podjąć się zerwania narad, do których kraj największą przywiązywał wagę. Trochę animuszu na to było potrzeba, a bardzo mało talentu, w czémby waćpana lada szlachetka zastąpił... Zapisać się w pamięci ludzkiej, jednając sobie naraz pół kraju nieprzyjaźni.. nazwę błędem i smutną omyłką...

Z wielką żywością hetman w téj chwili domawiając nauki moralnej, która żonie jego rumieniec gniewu wywołała na twarz, zawołał na woźnicę, aby stanął.

— Nie fatyguj się dalej — rzekł do Poniatowskiego... Żegnam go...

Nie wiedząc co odpowiedzieć, zmieszany, nadrabiając uśmiechem, hrabia się skłonił, pocałował siostrę w rękę i wysiadł szybko, przenosząc się do powozu, który szedł za kareta, aby powrócić do Warszawy; a hetman jechał do Białegostoku.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.





Biblioteka Raczyńskich

JK 916



JK0916